

MÓWIA WIEKI

MAGAZYN HISTORYCZNY

RADA REDAKCYJNA

Andrzej Chwalba
Krzysztof Mikulski
Jacek Purchla
Andrzej Paczkowski
Henryk Samsonowicz
Jerzy Strzelczyk
Barbara Szacka

REDAKCJA

Tomasz Bohun
Błażej Brzostek
Andrzej Brzozowski
Marcin Czajkowski
Wojciech Kalwat (*zastępca redaktora naczelnego*)
Michał Kopczyński (*redaktor naczelnny*)
Bogusław Kubisz
Anna Liszewska (*sekretariat*)
Miłosz Niewierowicz (*sekretarz redakcji*)
Janusz Odziemkowski
Piotr Szlanta
Ewa Wipszycka

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Poddanie Bredy, mal. Diego Velázquez,
fot. z kolekcji Muzeum Prado w Madrycie

PROJEKT GRAFICZNY

Marcin Czajkowski, Miłosz Niewierowicz

SKŁAD I ŁAMANIE

Marcin Czajkowski

ADRES REDAKCJI

pl. Europejski 3, 00-844 Warszawa
tel./faks (+48) 22 457 03 86
e-mail mowiaiewiki@mowiaiewiki.pl

WYDAWCA

Oficyna Wydawnicza „Mówią wieki”
pl. Europejski 3, 00-844 Warszawa

PROMOCJA I REKLAMA

Mateusz Borucki
tel. (+48) 506 350 326
e-mail mborucki@mowiaiewiki.pl

KOLPORTAŻ I PRENUMERATA

tel. (+48) 22 457 03 86
e-mail prenumeratamw@gmail.com

DRUK

Drukarnia LOTOS POLIGRAFIA
ul. Wał Miedzeszyński 98,
04-987 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych
i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w tekstach.

Zachęcamy do odwiedzenia naszej strony:
www.mowiaiewiki.pl

Dołącz do nas na Facebooku:
www.facebook.com/mowiaiewiki



OD REDAKCJI

Rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej niemiecki ekonomista i historyk Werner Sombart opublikował drugi tom swych monumentalnych studiów nad dziejami współczesnego kapitalizmu. Jego tytuł brzmiał: *Wojna i kapitalizm*. Jak łatwo się domyśleć, Sombart podkreślał silny związek między jednym a drugim. Rozwój sztuki wojennej oraz stale powiększające się armie wymuszały koncentrację kapitału oraz masową produkcję standardowego uzbrojenia i wyposażenia. Wszystko to stanowiło wstęp do nowoczesnego przemysłu.

Piszący podczas drugiej wojny światowej amerykański historyk gospodarki John Ulric Nef w opublikowanej w 1950 roku książce *War and Human Progress* przedstawił zupełnie inną perspektywę. Jego zdaniem wielkość wynalazków i pomysłów dotyczących organizacji produkcji nie miała związku z wojną. Wręcz odwrotnie, rewolucja przemysłowa rozpoczęła się w Anglii, na której terytorium nie toczyła się w XVIII wieku żadna wojna. Nef zarzucał też Sombartowi uproszczenie polegające na pominięciu zniszczeń i strat wojennych, których rozmiary rosły wraz z postępem technicznym. O ile izolowane w przestrzeni wojny epoki nowożytnej były stosunkowo mało niszczycielskie (przynajmniej w porównaniu ze współczesnymi), o tyle wojny epoki cywilizacji przemysłowej mogły łatwo zagrozić jej istnieniu. Rzecz jasna Nef pisał już w innych czasach niż Sombart. Wiedział o okrucieństwach pierwszej i drugiej wojny światowej, na bieżąco śledził przebieg wojny koreańskiej, która stała się nowym wzorem „wojny ograniczonej”, jedynej możliwej w epoce broni atomowej.

Od tego czasu wojnom i ich wpływowi na gospodarkę poświęcono wiele uwagi. W niniejszym numerze nie chcemy ani wyczerpać tematu, ani budować nowej syntezy. Chcemy za to uświadomić czytelnikom, że historia wojskowości i historia gospodarcza, uchodzące w czasach naukowej specjalizacji za odrębne subdyscypliny nauk historycznych, mają ze sobą wiele wspólnego. Wyniki wojen nieraz decydują o dalszym rozwoju gospodarki. Same jednak zależą od potencjału gospodarek walczących stron.

Michał Kopczyński,
redaktor naczelnny „Mówią wieki”

SPIS TREŚCI

Michał Szukała	4	U źródeł średniowiecza. Karolińska rewolucja militarna czy wielka zmiana społeczna?
Bartłomiej Dźwigala	10	Konflikty na wyniszczenie. Wojny Polski z zakonem krzyżackim 1414-1422 i 1431-1435
Przemysław Gawron	16	Chorągwie zaciężne w Królestwie Polskim w XV wieku
Edmund Kizik	22	O nowożytnym Gdańsku, pieniądzach i chciwości
Dariusz Milewski	30	Obciążenia podatkowe i wojsko w dawnej Rzeczypospolitej
Paweł Skworoda	38	Albrecht von Wallenstein. Bóg wojny trzydziestoletniej
Od redakcji	44	Fossa Eugeniana
Karol Żojdź	46	Koń jaki jest, każdy widzi. Hodowla wierzchowców w Rzeczypospolitej w XVI i XVII wieku
Anna Pastorek	52	Kto na morzu rządzi, rządzi całym światem
Jan Jerzy Sowa	58	<i>Mare liberum, mare claustrum.</i> Grocjusz o prawie wojny i wojnie ekonomicznej
Michał Bąk	64	Ciemna strona Słońca. Negatywne konsekwencje imperialnej polityki Ludwika XIV
Thierry Lentz	70	Fałszywe pieniądze ministrów napoleońskiej policji
Hubert Korzeniowski	74	Małe państwo, wielka armia
Maciej Krawczyk	80	Z czym na Mikołaja?
Michał Górny	85	Ojciec chemii. Życie i śmierć Antoine'a Lavoisiera
Michał Kopczyński	90	Wojna i inżynierowie
John P. Dunn	97	Amerykańska broń w dziewiętnastowiecznym Egipcie
Michał Kopczyński	102	King Cotton. Wojna ekonomiczna Unii z Konfederacją
Zbigniew Tucholski, Maciej Krawczyk	108	Kolej i wojsko
Tomasz Bohun	114	Wojna rosyjsko-japońska i Kolej Transsyberyjska

Szanowni czytelnicy „Mówią wieki”!



Prenumerata Magazynu Historycznego „Mówią wieki”.

Prenumerata półroczna – 53 zł (8,8 zł za numer)

Prenumerata roczna – 99 zł (8,25 zł za numer)

Ceny obejmują VAT oraz koszt wysyłki

*Wzrost kosztów opłaty za prenumeratę nastąpił z powodu
drastycznej podwyżki cen za wysyłkę pocztową.*

ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu tradycyjnym można zamówić drogą elektroniczną, wysyłając maila na adres: prenumeratamw@gmail.com lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720

(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki, miesiąc rozpoczęcia prenumeraty, adres wysyłki oraz adres mailowy).

Każdy numer „Mówią wieki” ma objętość minimum 80 stron i jest dostępny również w wersji elektronicznej.

Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

e-prenumerata półroczna - 45 zł, e-prenumerata roczna 84 zł



⤴ Bitwa pod Poitiers, 732 rok. Według źródeł armia Karola Młota składała się w większości z jazdy, jednak wbrew opiniom niektórych badaczy rozwój tej formacji w czasach karolińskich był długotrwałym procesem. Fot. East News

U ŹRÓDEŁ ŚREDNIOWIECZA

Karolińska rewolucja militarna czy wielka zmiana społeczna?

MICHAŁ SZUKAŁA

Około VIII wieku na europejskich polach bitew pojawiły się armie zdominowane przez konnicę. Od ponad 100 lat geneza tej nowej rycerskiej formacji stanowi przedmiot zainteresowania mediewistów. Pasjonujący spór historyków wokół tego fundamentalnego zagadnienia historii techniki militarnej przeniósł się na inne, często pozornie odległe, obszary rozważań o przeszłości.

W pochodzącej z końca XII wieku *Pieśni o Cydzie* (*Cantar del mio Cid*) czytamy, że świta tego bohatera to ci, którzy jedzą jego chleb. Nie oznacza to, że Cyd i walczący u jego boku wojownicy byli podobni do Homerowych biesiadników, wspólnie ucztujących po zwycięskich bitwach. Hiszpański poemat jest swoistym echem porządku społecznego dominującego w chrześcijańskiej części Europy ok. trzech wieków wcześniej. Na Półwyspie Iberyjskim, gdzie chrześcijanie walczyli z muzułmana-

mi, wciąż nie wykształcił się nowy, „feudalny” system zarządzania kłuczowym elementem funkcjonowania ówczesnych państw – finansowaniem jego wysiłku militarnego.

Chrześcijańskie królestwa iberyjskie będące w permanentnym konflikcie ze swoimi muzułmańskimi sąsiadami organizowały nie tylko wyprawy wojenne w celu odzyskania utraconych wcześniej terenów, ale również typowe najazdy łupieżcze. W ich wyniku pozyskiwano wielkie bogactwa pozwalające przedstawicielom elity na zorganizowanie drużyny wojowników

nazywanych *criados*. W państwach iberyjskich, stworzonych przez plemiona barbarzyńskie i podobnie jak inne budowanych na gruzach Imperium Rzymskiego, uważano udział w walce za obowiązek niemal wszystkich członków wspólnoty.

U Longobardów wielką rolę odgrywała przysięga na wierność królowi, którą składali wszyscy mężczyźni. Dzięki temu tworzyło się stosunkowo egalitarne społeczeństwo – wspólnota wojowników. Tym samym obowiązek walki mieli wszyscy zdolni do noszenia broni. Przysięga ustanawiała również związek pomiędzy każdym człon-

był systemem organizacji społecznej stworzonym w celu wspierania rozwoju kawalerii. Zgodnie z ówczesnym stanem wiedzy Brunner zakładał, że armia frankijska w początkach VIII wieku w przytłaczającej większości składała się z piechurów, którzy, zgodnie ze słowami mozarabskiego kronikarza Izydora Pacensisa, w bitwie pod Poitiers *stali niczym ściana*.

Źródła, które powstały kilkadziesiąt lat po słynnej bitwie, wskazywały, że armia frankijska już wtedy była zdominowana przez konnicę. W 758 roku Pepin Krótki nakazał przyjmowanie od Sasów trybutu w koniach, a nie by-

badacze dowiedli, że rozwój jazdy trwał nie dziesięciolecia, ale kilka stuleci, a rozpoczął się w ostatnich dekadach istnienia Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Kwestionowano również znaczenie grabieży dóbr kościelnych za panowania Karola Młota.

STRZEMIONA

– REWOLUCYJNY WYNALEZEK

Mimo wielu niedostatków teorii Brunnera niektóre jej założenia stanowiły inspirację dla kolejnych pokoleń badaczy dziejów wojskowości średniowiecza, którzy przyznawali, że w okresie panowania Karola Młota i jego synów nastąpiły istotne przemiany. Jeden z najwybitniejszych, Marc Bloch, pisał: *Zwiastunem nowej epoki było w VIII wieku rozprzestrzenienie się wynalazku strzemiona*. Ta ważna innowacja rozwijała się w różnych formach m.in. w Asyrii, Indiach i Chinach. W V i VI wieku strzemiona były już na tyle popularne, że wzmianki o nich pojawiły się w chińskiej literaturze i w tamtejszej ikonografii. Za pośrednictwem plemion Azji Środkowej wynalazek dotarł m.in. do Persji i na Półwysep Arabski. Charakterystyczna dla kultury muzułmańskiej niechęć do przedstawiania wizerunków ludzi i zwierząt sprawiła, że dysponujemy jedynie pośrednimi źródłami potwierdzającymi używanie strzemion w VII i VIII wieku. W tym samym czasie znano je także w Bizancjum. Zostały opisane m.in. w *Strategikonie* – traktacie o sztuce wojennej przypisywanym cesarzowi Maurycjuszowi.

Nie do końca wiadomo, jak strzemiona przeniknęły do Europy Zachodniej. Źródła archeologiczne nie potwierdzają, że Longobardowie przejęli ten wynalazek od Awarów w czasie najazdów z końca VI wieku. O strzemionach nie wspominają również źródła z czasów monarchii Merowingów.

Heinrich Brunner postawił tezę, że feudalizm był systemem organizacji społecznej stworzonym w celu wspierania rozwoju kawalerii

kiem wspólnoty a stojącym na jej czele wodzem lub królem. Król był więc uważany za pierwszego wojownika. Taka definicja panowania (znawca epoki średniowiecza Karol Modzelewski nazywał je przewodem wspólnoty) wydaje się krańcowo odległa od tego, jak rozumiano władzę monarszą w państwach dojrzałego średniowiecza. Nowe wyzwania nowej postrzymskiej Europy sprawiały, że trzeba było wymyślić inny sposób zarządzania machiną państwa, a przede wszystkim wspólnotą wojowników. Ten proces wielkiej zmiany przyciągał uwagę historyków już u schyłku XIX wieku.

KONNICA CZY PIECHURZY

Niemiecki mediewista Heinrich Brunner po raz pierwszy zwrócił uwagę na znaczenie zmian w technice militarnej, które zaszły mniej więcej w połowie VIII wieku w państwie Franków rządzonym przez Karola Młota. W 1887 roku postawił tezę, że feudalizm

dle. W tym samym czasie zwyczajowy wiec frankijskich wojowników przeniesiono z marca na maj, gdy na polach była już świeża trawa potrzebna do wyżywienia koni. Zdaniem Brunnera kluczowe rewolucyjne zmiany w strukturze frankijskiej armii musiały zajść w ciągu zaledwie dwóch dekad. Jego zdaniem świadczyła o tym również szybko postępująca sekularyzacja dóbr kościelnych i ich podział pomiędzy ludzi z otoczenia Karola Młota. Papież Zachariasz (pontyfikat w latach 741–752) akceptował działania frankijskiego majordoma, uzasadniając je koniecznością walki z Saracenami, Sasami i Fryzami.

Teoria Brunnera miała jednak lukę: nie można było wskazać wrogów Franków, którzy dysponowaliby liczną konnicą. Niemiecki mediewista zakładał, że armie arabskie były zdominowane przez konnicę, nie miał jednak wystarczających dowodów przemawiających za tą tezę. Późniejsi



⤴ **Normańscy jeźdźcy atakują angielskich łuczników, fragment Tkaniny z Bayeux.**
 Normanowie używali strzemion – według badaczy kluczowego wynalazku prowadzącego do rozwoju konnicy w średniowiecznych armiach. Fot. Corbis

Lynn White w swojej słynnej analizie *Medieval Technology and Social Change* stwierdzał, że strzemion używano powszechnie dopiero w czasach Karolingów. Zdaniem badacza zwiększało to możliwości działania konnicy. Wygodniejsza, stabilniejsza pozycja w siodle pozwalała na użycie cięższego uzbrojenia i dokonywanie szarż na pozycje przeciwnika.

Późniejsi badacze krytykowali White'a za przywiązywanie zbyt dużej wagi do znaczenia strzemion. Zdaniem niektórych nie miały one zasadniczego wpływu na skuteczność ataku konnicy. Krytyczny wobec Brunnera i White'a francuski mediewista Philippe Contamine zaproponował teorię o powolnej ewolucji użycia i rozprzestrzeniania się tego wynalazku. Na podstawie licznych znalezisk archeologicznych stwierdził, że już w VII wieku jazda frankijska przeżywała względny rozkwit, który doprowadził do dalszego rozwoju tego

sposobu walki w ciągu kolejnych dwóch wieków, szczególnie za panowania Karolingów. Zwieńczenie tej długiej drogi nastąpiło za panowania Karola Wielkiego. Wciąż jednak jazda nie walczyła tak jak w okresie dojrzałego średniowiecza, szarżując na przeciwników potężnymi kopiami. Dopiero na wykonanej w latach osiemnastych XI wieku Tkaninie z Bayeux widzimy ten sposób walki. Są na niej jednak przedstawieni także inni wojownicy walczący konno lekkimi włóczniami (przypominającymi kawaleryjskie lance) i strzelający z łuków.

CZAS LAMENTU

Rozważając znaczenie strzemion dla sztuki militarnej i ich przenikanie przez niestabilne granice ówczesnych państwa, powinniśmy spojrzeć na system powiązań krajów Europy „wieków ciemnych”. W czasach Karolingów ostatecznie zakończyła się epoka późnego antyku. Najazdy arabskie

i osłabienie Bizancjum przerwały dotychczasowe związki w basenie Morza Śródziemnego, co doprowadziło do spadku wymiany handlowej w całej postrzymskiej Europie. Proces pauperyzacji najmocniej dotknął najbogatszych regionów dawnej Galii, których dobrobyt wynikał z handlu. Całkowicie zaniknęła grupa wyspecjalizowanych kupców. Ustąpili miejsca przygodnym handlarzom. W tym czasie rozpoczął się również długi proces przesuwania centrów handlu na północ.

Jeden z kronikarzy tego okresu Hinkmar z Reims określił go jako czas lamentu. Arcybiskup Hinkmar pisał z perspektywy kilku dziesięcioleci, w czasach, gdy panowanie Pepina Krótkiego można było uważać za prolog do budowy imperium Karola Wielkiego. Syn Karola Młota, pierwszy król Karoling, grabił klasztory i najważniejsze ośrodki kultury. Brutalność jego działań nie wynikała z osobistej chciwo-



Karol Wielki, mal. Albrecht Dürer. Za jego panowania zakończyła się budowa nowego systemu społecznego, jakim był feudalizm. Fot. Wikimedia Commons

pularnych w czasach merowińskich. Pieniądz miał budzić zaufanie i być manifestacją siły państwa. Kapitularze przewidywały surowe kary za fałszowanie monety, ale również za odmowę jej przyjmowania. Władcy zwalczali więc regionalną niechęć do narzucania „zewnętrznych” uregulowań dotyczących porządku gospodarczego.

NOWY ŚWIAT

Ponieważ dawny świat się załamał, należało stworzyć nowy, dostosowany do nowych wyzwań. Nie wystarczała do tego jedynie państwowa grabież majątków kościelnych. *Wszędzie słaby chciał szukać oparcia w kimś silniejszym* – pisał o czasach ostatnich Merowingów Marc Bloch w *Społeczeństwie feudalnym*. Ponieważ państwo było słabe, silni łatwo mogli zapanować nad słabymi. Spontanicznie tworzyła się struktura nowego społeczeństwa, w części czerpiąca z dawnych tradycji klientelizmu rzymskiego i zależności charakterystycznych dla plemion germańskich. Szczególnym przypadkiem tych ostatnich były zależności wojskowe. Osadli potomkowie zdobywców Imperium Rzymskiego zapominali o swojej wojowniczej historii. Odchodzenie do przeszłości dawnego barbarzyńskiego pospolitego ruszenia oznaczało narodziny warstwy zawodowych wojowników (m.in. wspomnianych hiszpańskich *criados*) skupionych wokół władców i możnych. Zdaniem Blocha dzięki długotrwałej budowie rozbudowanego systemu zależności Karolingowie, na początku jeden z wielu rodów arystokratycznych, stali się potężną siłą polityczną zdolną kontrolować słabą monarchię merwińską, a następnie przejął *de facto* pusty tron.

Spontaniczna budowa nowego systemu społecznego była już niemal zakończona w czasach Karo-

ści, ale z podporządkowania całego wysiłku państwa celom militarnym. Z obiegu handlowego niemal całkowicie zniknęły złote monety, stosunkowo często używane w czasach Merowingów. Rozpoczęte przez Pepina reformy monetarne, zakończone dopiero

w czasach Karola Wielkiego, przewidywały istnienie jedynie monet srebrnych.

O charakterze nowego systemu monetarnego oraz celów przyświecających Karolingom świadczy ograniczenie działalności lokalnych i prywatnych mennic, po-

la Wielkiego. Dawne zwyczajowe prawa barbarzyńców umożliwiały swobodną zmianę zwierzchnika, według prawa wizygockiego *człowiek wolny zawsze zachowuje władzę nad swoją osobą*. W państwie karolińskim podjęte zobowiązania były już niemal nierozzerwalne. Co więcej, w kapitularnym ogłoszonym w 810 roku Karol Wielki nie pozostawił złudzeń, że dawny świat słabej monarchii i dowolności w szukaniu oparcia w kimś silniejszym jest już tylko wspomnieniem: *Niech każdy zwierzchnik wywiera przymus na swoich podwładnych, aby ci coraz to lepiej, z sercem chętnym, okazywali posłuszeństwo rozkazom i zaleceniom cesarskim*. Władca imperium stawał się najwyższym patronem, zwierzchnikiem wszystkich umów zawartych pomiędzy jego poddanymi. Wierność była wynagradzana, a nadania ziemskie rozszerzały system zależności. Bezpośredni wasale cesarza (*vassi dominici*) mieli być jego najbardziej lojalnymi poddanymi, ale także lokalnymi reprezentantami. Sieć zależności ostatecznie przekroczyła granice stosunkowo wąskiej grupy najbliższych stronników władcy.

KRYZYS I TRWANIE NOWEGO ŁADU

Władcy rosnącego w siłę imperium, mimo bezprecedensowego wzmocnienia swojego panowania, musieli się liczyć ze zdaniem formalnie zależnej od siebie elity. Pod koniec VIII wieku Karol Wielki dokonał jasnego rozróżnienia dwóch typów majątków arystokracji. Co charakterystyczne, uczynił to w ramach regulacji powinności wojskowych. Odtąd z bronią na wezwanie władcy mieli obowiązek stawać właściciele dóbr alodialnych, czyli stanowiących ich bezpośrednią i dziedziczną własność, a nie nadane lenno. Kilkanaście lat później ustalono, że obowiązek

stawiania z bronią dotyczy posiadaczy co najmniej czterech łanów. Mniejsi właściciele byli zobowiązani do płacenia na cele wojskowe specjalnego podatku przekazywanego lokalnemu możnowładcy. Drugą formą zobowiązania wobec władcy był coroczny dar składany mu przez możnych. Ten aspekt wzmocnienia władzy zwierzchniej był korzystny także dla lenników, eliminował bowiem ryzyko zubożenia drobnych arystokratów. W połowie VIII wieku zdarzały się bowiem przypadki wymiany dziedzicznych gruntów i niewolników na miecz i konia.

Oprócz ustalenia obowiązków lenników dążono również do zwiększenia jakości uzbrojenia armii. W czasach Karola Wielkiego zakazano stawiania jedynie z drewnianym kijem.

W kontekście uregulowań prawnych warto zwrócić uwagę także na ideowe wzmocnienie pozycji monarchy. Pepin Krótki wynalazł monarchię na nowo. Gnuśni władcy merowińscy określali się jako *rex Francorum*, kolejna dynastia zastosowała nową formułę: *Dei gratia rex Francorum*. Pojawił się również zwyczaj namaszczenia nowego monarchy. Uświęcenie władcy wzmocniało autorytet władcy, niezbędny w sytuacji, gdy konieczne było jej wzmocnienie po dziesięcioleciach kryzysu. Co równie istotne, Pepin stał się obrońcą państwa i twórcą Państwa Kościelnego. Tym samym położył podwaliny uniwersalnego cesarstwa, na którego czele stanie jego syn. Dla Karolinga nie do pomyslenia było nazwanie cesarza bizantyńskiego najpobożniejszym ojcem, tak jak uczynił król Childeberty II.

Militarne sukcesy władców frankijskich konsolidowały elity państwa, a tym samym budowane imperium. Udział w kampaniach wojennych przeciwko sąsiadom państwa frankijskiego i zdobywanie na

nich łupów stawały się elementem arystokratycznego stylu życia. Najdoskonalszą i najbardziej prestiżową formą wasalstwa stało się słuzenie swojemu panu, co wymagało największej odwagi i stawiania na polu walki w pełnym rynsztunku jeźdźca. Ten prestiż wzmocniała rozwijająca się symbolika, szczególnie rytualnych hołdów, które ustanawiały formalną zależność.

Podział państwa stworzonego przez Karola Wielkiego i mnożące się partykularyzmy doprowadziły do tego, że z czasem coraz bardziej słabła władza centralna i jednocześnie rośli w siłę lokalni możnowładcy. *Król ma już z króla tylko nazwę i koronę [...] nie jest zdolny bronić przed zagrażającym niebezpieczeństwem ani swoich biskupów, ani innych poddanych* – pisał na początku XI wieku niemiecki duchowny z Burgundii. Dlatego *złożywszy dłonie, idą [biedniejsi lennicy, pozbawieni wsparcia króla – aut.] służyć możnym*. W ten sposób uzyskują pokój. Główny cel ustanowienia zależności wasalnej, czyli zapewnienie bezpieczeństwa, przetrwał więc epokę Karolingów i w nowej, podzielonej Europie przeżył największy rozkwit.

Wszelka władza i wszelkie panowanie wzięło początek z wojny – stwierdził u schyłku średniowiecza hrabia Jean de Bueil, czołowy dowódca wojsk francuskich w końcowym okresie wojny stuletniej. Był on zatem świadkiem zmierzchu epoki rycerstwa. Być może jego słowa są nieco przesadzone, de Bueil wykazał się jednak pewnym instynktem. Przeczynał bowiem, że jego świat został zbudowany nie tyle mocą oręża, ile dążeniem do spełnienia rzymskiej maksy o obowiązku stałej gotowości do wojny w imię zapewnienia pokoju.

Michał Szukała, redaktor portalu Dzieje.pl



KONFLIKTY NA WYNISZCZENIE

Wojny Polski z zakonem krzyżackim 1414–1422 i 1431–1435

BARTŁOMIEJ DŹWIGAŁA

Zwycięstwo pod Grunwaldem w 1410 roku stanowiło przede wszystkim decydujący cios w potęgę militarną zakonu krzyżackiego, jednak jego potęga gospodarcza nie została wówczas zachwiana. Musiały minąć jeszcze trzy dekady zmagania wojennych, aby ekonomiczne podstawy państwa zakonnego zostały zniszczone.

« Krzyżacy składają sztandary przed Władysławem Jagiełłą, rys. z połowy XIX wieku.
Choć zwycięstwo pod Grunwaldem mocno nadwreżyło siły zakonu krzyżackiego,
to gospodarka państwa zakonnego nie została naruszona. Fot. polona.pl

Postanowienia pierwszego pokoju toruńskiego nie zadawały żadnej ze stron konfliktu. Wielki mistrz Henryk von Plauen dążył do kolejnej militarnej konfrontacji z monarchią jagiellońską, aby przywrócić prestiż zakonu w oczach pruskich i pomorskich poddanych oraz na arenie międzynarodowej. Zbrojenia i akcje zaczepne wobec Polski nie były jednak popierane przez rycerzy zakonnych, co doprowadziło do depozycji Plauena w październiku 1413 roku. Jego następcą został Michał Kuchmeister, przedstawiciel stronnictwa optującego za dążeniem do utrzymania pokojowych relacji z Władysławem Jagiełłą. Rycerstwo zakonne obawiało się możliwych strat w kolejnej wojnie i wołało zachować postawę defensywną.

W reakcji na przygotowania wojenne Plauena elity polityczne Polski i Litwy postanowiły zacieśnić związek obu państw, podpisując unię w Horodle (2 października 1413 roku); opracowywano wówczas także taktykę nowej kampanii przeciwko zakonowi krzyżackiemu. Wiosną 1414 roku prowadzono jeszcze negocjacje, w których Jagiełło żądał zwrotu Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej, michałowskiej, wycofania zakonu z Kujaw i rezygnacji ze Żmudzi. Tych warunków Kuchmeister nie mógł spełnić.

24 lipca 1414 roku armia Jagiełły i Witolda zebrała się pod Zakroczymiem (tak jak przed bitwą pod Grunwaldem), a 28–29 lipca przekroczyła granice państwa zakonnego. Była liczniejsza niż cztery lata wcześniej – w 1414 polskiemu królowi, sprawującemu w czasie kampanii naczelne dowództwo, udało się zebrać nawet

40 tys. zbrojnych. W pierwszym etapie pochodu kierowano się od Nidzicy przez Kurzętnik do Olsztyna, a następnie Lidzbarka. W ramach działań wojennych jednocześnie oblegano miasta i zamki oraz prowadzono działalność niszczycielską: rabowano i palono wsie, młyny, magazyny. Polsko-litewskie zagony operowały w odległości nawet do 35 km od głównych wojsk. Ich celem było zapewnienie aprowizacji dla masy wojska, ale również delegitymizacja zakonu, niebędącego w stanie zapewnić bezpieczeństwa poddanym.

Taktyka Jagiełły wyniszczała państwo zakonne oraz pozbawiała Krzyżaków autorytetu. Kuchmeister nie był w stanie wydać armii polsko-litewskiej walnej bitwy, ograniczył się do wzmocnienia obrony miast i zamków oraz ograniczonych akcji ofensywnych. Kiedy w połowie sierpnia Jagiełło spod niezdożytego Lidzbarka skierował się w stronę Królewca, wielki mistrz rozpoczął grę na czas i odrzucał postulaty rewindykacji terytorialnych ze strony polskiej. Uważał bowiem, że tak duża armia polsko-litewska zacznie mieć poważne problemy aprowizacyjne i znacznie osłabnie.

Pod koniec sierpnia Jagiełło i Witold ruszyli na zachód. Ich wojsko bezskutecznie oblegało Pasłęk i kontynuowało głębokie zagony, plądrując m.in. Frombork z tamtejszą warowną katedrą. 9 września Jagiełło spalił Prabuty i pomaszerował na Kwidzyn, a potem ku Brodnicy, do której armia dotarła 14 września. Nieudane oblężenie trwało kilka tygodni, podczas których Krzyżacy organizowali wypadki na Kujawy i północne Mazowsze; zmusili wtedy do ka-

pitulacji polskie załogi wcześniej zdobytych Nidzicy i Olsztyna. Ponieważ armia polsko-litewska głodowała pod Brodnicą, a zbliżała się jesień, Jagiełło postanowił podjąć rozmowy z Krzyżakami, w których pośredniczył legat papieski bp Wilhelm z Chalanto. Na początku października wynegocjowano rozejm na dwa lata, potwierdzony układem w Raciążku. Trwający dziesięć tygodni niszczycielski pochód armii Jagiełły i Witolda przez ziemie Prus i Warmii nie przyniósł monarchii jagiellońskiej nabytków terytorialnych, ale mocno nadszarpnął prestiż zakonu i jego gospodarcze zaplecze.

WOJNA GOLUBSKA 1422

W lipcu 1419 roku Jagiełło i Witold zebrali mniej liczną armię niż wcześniej. Planowali powtórzyć scenariusz „wojny głodowej”. Wyprawa z 1419 roku, nazwana przez Jana Długosza odwrotową, zakończyła się podpisaniem przedłużenia rozejmu brodnickiego jeszcze przed wkroczeniem do państwa zakonnego. Natomiast na początku 1420 roku Zygmunt Luksemburski jako król rzymski i polubowny rozjemca wydał we Wrocławiu wyrok, w którym potwierdził pokój toruński z 1411 roku, pozostawiając pod władzą zakonu Pomorze Gdańskie (w 1339 roku przyznane Polsce przez sąd papieski), a także uznające prawo Krzyżaków do rozciągnięcia panowania na Żmudź. Dlatego Jagiełło postanowił kolejny raz zebrać armię, aby zawalczyć o odzyskanie dostępu do Bałtyku i przeciwstawić się agresywnej polityce krzyżackiej. Pod koniec lipca 1422 roku wojska polsko-litewskie wkroczyły do państwa zakonnego w rejonie ziemi lubawskiej.

Wielki mistrz Paul von Rusdorf zdołał zmobilizować oddziały zbrojne, które miały nie dopuścić do powtórki katastrofy z roku 1414, kiedy zostały zniszczone wielkie połacie Prus i Warmii. Krzyżacy pamiętali jednak także o wielkich stratach poniesionych pod Grunwaldem, co w znacznym stopniu paraliżowało ich morale, powodując niechęć do śmielszych działań ofensywnych.

✚ Krzyżacki piechur

» i (na stronie obok) jeździec.

Rys. Marek Szyszko



W ostatnich dniach lipca 1422 roku armia Jagiełły i Witolda maszerowała w kierunku Lubawy, gdzie spodziewano się napotkać obozujące w tym rejonie wojsko krzyżackie dowodzone przez marsz. Ulryka Zengera. Liczono się z możliwością stoczenia walnej bitwy z oddziałami zakonnymi. Te jednak, po uzyskaniu informacji o sile armii polsko-litewskiej, wycofywały się z zajmowanych pozycji za Drwęcę, w kierunku zamku w Bratianie. W tym czasie Polacy i Litwini oblegali trudną do zdobycia Lubawę.

Po przeprawieniu się na drugi brzeg Drwęcy większość oddziałów Zengera odmówiła dalszej służby i rozeszła się w atmosferze paniki na wieść o ruchach wielkiej armii Władysława Jagiełły. 6 sierpnia monarcha postanowił odejść spod Lubawy i skierować się ku zamkowi w Bratianie. W obozie polsko-litewskim wiadano już o rozsypce oddziałów krzyżackich. 7 sierpnia spod Bratiana wysłano pismo do wielkiego mistrza z wezwaniem do rozmów pokojowych, niszcząc jednocześnie okolicę za pomocą dalekich zagonów. Około 10 sierpnia polsko-litewska armia ruszyła na północ w kierunku Pomezanii i Żuław. Zdobyto Prabuty. Ponieważ Rusdorf mimo jagiellońskiej przewagi nie był skory do ustępstw, król Władysław zdecydował się zaniechać niszczycielskiego pochodu w głąb państwa zakonnego. Nowym celem działań zbrojnych stały się ważne punkty w ziemi chełmińskiej. Wszystkie siły rzucono do Golubia. Do 23 sierpnia udało się przełamać obronę miasta, trudniejszym zadaniem było zdobycie dobrze ufortyfikowanego zespołu zamkowego górującego nad nim. Strona polsko-litewska rozpoczęła intensywny ostrzał artyleryjski, obrońcy podpalili trudne do obrotu przedzamcze. Szturm na zamek

wysoki rozpoczął się 25 sierpnia. Następnego dnia Krzyżacy skapitulowali, a zamek został zniszczony przez atakujących. Był to największy sukces kampanii 1422 roku – mniej szczęścia miał Jagiełło pod Kowalewem, gdzie nie udało mu się zdobyć zamku i musiał przerwać oblężenie 6 września. Armia polsko-litewska kontynuowała działania wojenne, ale wracając do działań niszczycielskich w ziemi chełmińskiej. Prowadzono je do 17 września, kiedy zakon wystąpił z propozycją zawieszenia broni.

Rokowania prowadzone nad jeziorem Mełno zakończyły się podpisaniem traktatu 27 września 1422 roku. Przewidywał on oddanie Polsce kujawskiej Nieszawy wraz z kilkoma wsiami oraz ostateczną rezygnację z pretensji zakonu do Żmudzi. Na tej podstawie miał zostać zawarty wieczysty pokój.

W dziejach zmagania polsko-krzyżackich wojna golubska jest ważna dlatego, że w czasie tej kampanii potężny jeszcze 20 lat wcześniej zakon został rzucony na kolana

W dziejach zmagania polsko-krzyżackich wojna golubska jest ważna dlatego, że w czasie tej kampanii potężny jeszcze 20 lat wcześniej zakon został rzucony na kolana. Nie był zdolny nie tylko do skutecznej obrony swoich ziem i poddanych, ale nawet do podjęcia jakiegokolwiek akcji zaczepnej wobec armii polsko-litewskiej, swobodnie operującej na terenach w głąbi władztwa krzyżac-

kiego. Zniszczenia były ogromne, co wywoływało kryzys w gospodarce państwa zakonnego. Trzy wielkie kampanie wojenne stanowiące wspólny wysiłek Polski i Litwy z lat 1410, 1414 oraz 1422 doprowadziły do złamania krzyżackiej potęgi: zakon stracił prestiż, siłę wojskową i gospodarkę.

WALKA Z POLSKO-LITEWSKĄ JEDNOŚCIĄ 1431-1435

W latach dwudziestych XV wieku miały miejsce istotne wydarzenia. Narodzili się długo oczekiwani męscy potomkowie króla Jagiełły: Władysław (późniejszy Warneńczyk) oraz Kazimierz (późniejszy Jagiellończyk), stary władca zaczął więc zabiegać o zapewnienie synom sukcesji. Jednocześnie wielki mistrz krzyżacki Paul von Rusdorf oraz król rzymski Zygmunt Luksemburski dążyli do rozerwania jedności polsko-litewskiej. Elity zakonne wiedziały, że przed połączonymi siłami Krakowa i Wilna mogą się tylko chronić w wysokich zamkach, ale ewentualne rozbitcie unii i poróżnienie Polski i Litwy mogłyby przekreślić sukcesy Jagiełły i zepchnąć Polskę do defensywy.

Sytuacja polityczna w Wielkim Księstwie i Polsce była napięta. U schyłku życia Witold grał o koronę królewską z Krzyżakami i Zygmuntem Luksemburskim, z kolei Jagiełło chciał umocnić swoją dynastię na tronie krakowskim. Dlatego w 1430 roku wydał w Jedlni przywilej mający zapewnić mu poparcie szlachty. Po śmierci Witolda w tymże roku władzę na Litwie za zgodą Jagiełły objął jego najmłodszy, buntowniczy brat Świdrygiełło, który zamyślał wspólne z zakonem działania przeciwko Polsce. Wielki mistrz Rusdorf i Świdrygiełło razem z Zygmuntem Luksemburskim oraz hospodarem mołdawskim Aleksandrem tworzyli niezwykle

groźny sojusz. W 1431 roku podjęto wspólne działania przeciwko Koronie Królestwa Polskiego.

Król Władysław zebrał wojska pospolitego ruszenia z Małopolski i Wielkopolski oraz mazowieckich lenników i ruszył na Łuck, aby wyrzucić nacisk na Świdrygiełłę i rozerwać jego przymierze z zakonem. Kiedy oblegano zamek, gospodar Aleksander najechał Pokucie, ale szybko został

odepchnięty. Zaangażowanie Polaków na Wołyniu stało się okazją dla Krzyżaków, którzy postanowili zaatakować mimo postanowień pokoju mełneńskiego. Rusdorf chciał skorzystać z tego, że Korona nie mogła się bronić głównymi siłami przed atakiem z północy. W ostatnich dniach sierpnia na Polskę uderzyły trzy korpusy krzyżackie: główny, dowodzony przez wielkiego marszał-



ka Josta von Strupperga, skierował się na Kujawy, oddziały komtura toruńskiego zaatakowały ziemię dobrzyńską, a siły wójta Nowej Marchii Heinricha Rabensteina wtargnęły do północnej Wielkopolski. Najbardziej ucierpiały Kujawy – zniszczono główne ośrodki tej dzielnicy Inowrocław i Włocławek. Straty materialne były bardzo duże – Krzyżacy zniszczyli świeżo zbierane plony, co doprowadziło do katastrofalnej sytuacji miejscowa ludność. Kiedy 10 września nadeszła informacja o podpisaniu rozejmu pod Łuckiem, Rusdorf wstrzymał działania i wycofał się.

W pierwszych dniach września Krzyżacy sformowali jeszcze czwarty korpus złożony z posiłków z Inflant, do których dołączyły oddziały z Tucholi, Człuchowa i Chojnic, dowodzony przez

marsz. Wenera von Nesselrode. Wielki mistrz nakazał tej grupie atak na rejon Nakła, który rozpoczął się 10–11 września. Niszcząc okoliczne ziemie (m.in. spalono Łobżenicę), Krzyżacy parli dalej ku prawemu brzegowi Noteci. W rejonie Nakła korpus Nesselrodego niepodzewanie napotkał oddziały polskie. Naprzeciw Krzyżaków liczących ok. 700 konnych i kilkaset piechoty stanęły mniej liczne oddziały składające się przede wszystkim z uzbrojonych chłopów krajeńskich i wielkopolskich oraz konnej szlachty. Krzyżacy jednak, rozproszeni w poszukiwaniu zdobyczy i niespodziewający się kontrataku, zostali zaskoczeni silnym natarciem i rzucili się do ucieczki. Utrudniał ją bagnisty i leśny teren porzecinany rzeczkami. Piechota chłopska, mszcząc się za niszczą-

ce najazdy, nieustępliwie ściagała uciekających. Polowano na zagubionych w lasach rycerzy zakonnych, a wielu z nich skończyło życie w męczarniach.

W bitwie nieopodal wsi Dąbki korpus Nesselrodego poniósł znaczne straty i utracił łup, a sam marszałek dostał się do niewoli. Pięć zdobytych chorągwi inflanckich umieszczono w katedrze na Wawelu. Zwycięstwo pod Dąbkami ratowało prestiż Korony, która nie była w stanie przeciwstawić się niszczącym najazdom krzyżackim, a po tej bitwie siły zakonne już nigdy nie najechały północnych dzielnic Polski. Wielkie straty poniesiono jednak na Kujawach, w ziemi dobrzyńskiej i Krajnie. Chylący się ku upadkowi zakon, który, dążąc do pomszczenia klęsk z lat 1410, 1414 i 1422, zламаł traktat o pokoju wieczystym,



⤴ Franciszek Sypniewski, *Obrona zamku w Dobrzyniu*. Po kampaniach Jagiełły z lat 1410, 1411 i 1422 zakon krzyżacki był już mocno osłabiony, miał jednak siłę, aby dokonywać pustoszących rajdów w głąb Korony. Fot. archiwum „Mówią wieki”



♠ Polskie rycerstwo w XIV–XV wieku, rys. według Jana Matejki. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

mógł podejmować tylko takie akcje ofensywne.

JAGIEŁŁO KONTRA ŚWIDRYGIEŁŁO

Na przełomie sierpnia i września 1432 roku władza Świdrygiełły została zanegowana przez Zygmunta Kiejstutowicza, który zdołał opanować północno-zachodnie (litewskie) ziemie Wielkiego Księstwa zdominowane przez szlachtę katolicką. Świdrygiełłę popierali prawosławni bojarzy. Wybuchła walka o władzę w Wielkim Księstwie. Świdrygiełło, mimo poparcia Krzyżaków, Tatarów i Mołdawian, w 1432 roku ponosił same klęski. W październiku zawarto unię grodzieńską, dążąc do potwierdzenia i wzmocnienia związku Krakowa i Wilna. Natomiast król Władysław zawarł sojusz z husytami, na mocy które-

go latem 1433 roku zorganizowano wspólną polsko-czeską kampanię przeciwko państwu zakonemu. Pierwszym celem stała się Nowa Marchia, gdzie w czerwcu operowały wojska husycko-wielkopolskie. Po wzmocnieniu wojsk pospolitym ruszeniem z Małopolski ruszono na Chojnice – okazało się to błędem, bowiem wojska Jagiełły strawiły na bezskutecznym oblężeniu zbyt dużo czasu. Ostatecznie 15 sierpnia kilkunastotysięczna armia polsko-czeska odeszła w kierunku Świecia nad Wisłą, pustosząc okoliczne ziemie. Dalej skierowano się na północ: ograbiono opactwo w Pelplinie, a 29 sierpnia zdobyto Tczew i ruszono na Gdańsk. Ten był dobrze przygotowany do obrony, mimo to wojska Jagiełły splądrowały Oliwę.

13 września podpisano rozejm pod zdobytym Jasińcem. Pod-

czas kampanii 1433 roku wojska polsko-czeskie dokonały wielkich zniszczeń w Nowej Marchii i przede wszystkim na Pomorzu Gdańskim. Natomiast 15 grudnia 1433 roku zawarto rozejm łęczycki. Krzyżacy zobowiązali się wtedy, że nie będą wspierać Świdrygiełły. Później pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą polsko-litewska armia pobiła połączone siły Świdrygiełły i wojsk inflackich, co doprowadziło do podpisania traktatu w Brześciu Kujawskim (31 grudnia 1435 roku). Na jego mocy zakon zerwał przyznanie ze Świdrygiełłą oraz zaakceptował unię polsko-litewską, nie będąc w stanie jej podważyć.

Bartłomiej Dźwigala, historyk, wykładowca na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

CHORAĞWIE ZACIĘŻNE

w Królestwie Polskim w XV wieku

PRZEMYSŁAW GAWRON

We wczesnym średniowieczu podstawę armii tworzyli rycerze, którzy stawali w polu na każde wezwanie króla. Z czasem walczyli coraz niechętniej, woląc w zamian płacić podatki, z których utrzymywano żołnierzy zaciężnych.



Rozważania na temat wojsk zaciężnych w służbie polskich królów w XV wieku należałoby zacząć od omówienia różnicy pomiędzy najemnikami – tych spotykamy w wojskach jagiellońskich części w pierwszej połowie XV stulecia – a zaciężnymi, dominującymi w drugiej połowie wieku. W systemie najemnym dowódca (lub przedsiębiorca wojskowy, który nie sprawował komendy osobiście) samodzielnie tworzył oddział, po czym oddawał go na służbę władcy w ramach umowy określającej wysokość wynagrodzenia oraz czas służby. Następnie odbierał pieniądze od wynajmującego i wypłacał je podkomendnym, dla których był rzeczywistym pracodawcą. W systemie zaciężnym władca zlecał opłaca-

nemu przez siebie oficerowi zaciąg określonej liczby żołnierzy. Dowódca zaciężnych pobierał wynagrodzenie z królewskiego skarbu i był odpowiedzialny przed władcą, co oznaczało, że mógł być przez niego odwołany. W takim wypadku nie rozwiązywano jednak zaciągniętej przez niego jednostki, władca mógł bowiem powierzyć komendę innemu oficerowi, mógł też przenosić żołnierzy z jednego oddziału do drugiego. W przypadku najemników oba te zabiegi nie były możliwe. Należałoby jednak dodać, że niejednokrotnie źródła nie pozwalają na jednoznaczny identyfikację oddziału jako najemnego lub zaciężnego.

Obecność obcych wojowników w wojskach polskich władców jest poświadczona choćby dla czasów

Mieszka I oraz Bolesława Chrobrego. Płatne wojsko pojawiało się w czasach Władysława Hermana oraz w wojnach toczonych przez Piastów w czasie rozbitcia dzielnicowego. Władysław Łokietek dysponował najemnikami w czasie wyprawy przeciwko zakonowi krzyżackiemu w 1329 roku. Najemnikami byli m.in. dowódcy oddziałów czesko-morawskich Laczek z Krawarzy oraz Jan Sokół z Lamberku, którzy w latach 1409–1411 walczyli u boku wojsk polskich. Latem 1410 roku w armii polsko-litewskiej służyć mogło ok. 4 tys. zaciężnych, głównie Czechów i Morawian, co stanowiłoby 20 proc. sił królewskich. W czasie bitwy grunwaldzkiej Jan Sokół z Lamberku i Jan Solawa z Tovačowa znaleźli się w otocze-

✂ *Bitwa pod Grunwaldem, mal. Stefan Garwatowski.*

Podczas tej batalii po stronie polskiej walczyli zaciężni głównie z Czech i Moraw, mogło ich być nawet 4 tys. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie



niu Jagiełły, co można interpretować jako wyraz zaufania króla do ich umiejętności wojskowych. Zwycięstwo w tej batalii było zasługą także tych żołnierzy.

Najemny charakter miała służba husyckich „sierotek” pod wodzą Jana Czapka z Sán w czasie wyprawy na Pomorze w 1433 roku. Czesi – oddział liczący 700 jeźdźców, 7–8 tys. pieszych oraz 350 wozów – stanowili połowę wojsk królewskich dowodzonych przez zastępującego chorego Jagiełłę kasztelana krakowskiego Mikołaja z Michałowa. Jagiełło sięgał też po zaciężnych, np. w 1414 roku chorągiew słynnego Zawiszy Czarnego z Garbowa wzięła udział w wyprawie na ziemię zakonu krzyżackiego.

PODATKI ZAMIAST SŁUŻBY

W pierwszych latach wojny trzy-nastoletniej Kazimierz Jagiellończyk miał do dyspozycji nie tylko pospolite ruszenie, choć stanowiło ono wówczas o sile polskiej armii. W 1454 roku pod Chojnicami walczyło nieco ponad 2 tys. zaciężnych, uzupełniając szeregi polskiego oraz pomorskiego pospolitego ruszenia liczącego ok. 13,5 tys. ludzi. Rok później monarcha zgromadził na potrzeby nieudanego oblężenia Łasina 25–30 tys. żołnierzy, z których ok. 3 tys. stanowili zaciężni.

Z biegiem czasu rycerstwo coraz mniej chętnie brało udział w wojnie o Prusy i Pomorze. Po części było to spowodowane tym, że po wydaniu aktu inkorporującego ziemie zakonne do Korony król uznał, iż konflikt toczy się wewnątrz królestwa, co z kolei oznaczało, że rycerze nie dostaną żołdu przysługującego im podczas wyprawy poza granice kraju. Rycerze – wśród których coraz więcej było przedsiębiorców rolnych, nadzorujących prace folwarczne i ceniących sobie spo-

kój zamiast szczęku oręża – woleli płacić podatki na utrzymanie zaciężnych, niż osobiście brać udział w działaniach wojennych. Dostrzec można coraz wyraźniejsze oznaki osłabienia dyscypliny w szeregach rycerstwa: uchylanie się od służby, niewypełnianie rozkazów królewskich, samowolne opuszczanie obozu czy wreszcie popełnianie przestępstw na szkodę ludności cywilnej.

We wrześniu 1461 roku sejm obozowy w Chojnicach zgodził się na podatek w wysokości 5 proc. dochodu szlachty przeznaczony na utrzymanie zaciężnych. Kolejne świadczenia w postaci obciążającej miasta akcyzy oraz łanowego w wysokości 12 gr z łanu uchwalił w grudniu zjazd w Nowym Mieście Korczynie. Dochody z tego tytułu, uzupełnione licznymi pożyczkami zaciągniętymi przez władcę u możnowładców koronnych oraz miast, pozwoliły na stworzenie niewielkiej, liczącej 2 tys. zaciężnych, armii, którą dowodził marszałek nadworny Piotr Dunin z Prawkowic. Najważniejszym sukcesem tych wojsk było pokonanie zaciężnych krzyżackich pod Świecinem (17 września 1462) oraz zajęcie Gniewu, Nowego, Starogardu i Chojnic w latach 1463–1466, co zmusiło Krzyżaków do zawarcia pokoju.

ZACIĘŻNI W SŁUŻBIE KRÓLÓW RZECZYPOSPOLITEJ

W 1471 roku Władysławowi Jagiellończykowi, spieszącemu po koronę czeską, towarzyszyło 7 tys. piechoty oraz 2 tys. jazdy zaciężnej pod komendą Pawła Jasieńskiego. W tym samym roku roszczenia królewicza Kazimierza do korony świętego Stefana wspierało 11 tys. zaciężnych, na których czele stanął Piotr Dunin. Trzy lata później Kazimierz Jagiellończyk zmobilizował zaciężnych w sile ok. 3500 żołnierzy do wy-

prawy na Śląsk, gdzie mieli wspierać pospolite ruszenie. Choć armia królewska liczyła w sumie ok. 40 tys. ludzi, nie odniosła poważniejszych sukcesów w walce z oddziałami Macieja Korwina. Połączone siły Kazimierza i Władysława bezskutecznie próbowały zdobyć Wrocław (23 października–19 listopada), po czym rozeszły się do domów. Wojnę popią na Warmii (1477–1479) przeciwko pretendentowi do biskupstwa warmińskiego Mikołajowi Tungenowi oraz wspierającym go Krzyżakom i Węgom król prowadził wyłącznie siłami zaciężnych (1300 piechoty oraz 4 tys. jazdy). Rosnąca liczba zaciężnych oraz długotrwały charakter działań wojennych skłoniły Jagiellonów do powoływania dla wojska zaciężnego osobnego dowódcy w osobie hetmana (*campiductor*). Pierwszym został w 1461 roku Piotr Dunin z Prawkowic.

W 1492 roku, po kilku nieudanych podejściach, Jan Olbracht utworzył stałe wojsko zaciężne, czyli obronę potoczną, dla obrony Rusi Czerwonej. Jego pierwszym hetmanem był Stanisław z Chodcza, mający tytuł *exercituum terrestrium Russiae capitaneus*. Podległe mu oddziały liczyły – w zależności od stanu skarbu królewskiego – od 200 do 2 tys. żołnierzy. W 1497 roku Jan Olbracht zmobilizował na wyprawę mołdawską 50 tys. ludzi, z czego 3 tys. stanowili zaciężni (2 tys. piechoty oraz 1 tys. jazdy). Trzonem wojsk było pospolite ruszenie z Małopolski, Wielkopolski, Rusi oraz Podola. Oddziały zaciężne brały udział w oblężeniu Suczawy i poniosły ciężkie straty – podobnie jak posiłkowy oddział krzyżacki – w czasie niespodziewanego ataku wojsk Stefana Wielkiego pod Koźminem 25 października. Zaciężni odgrywali także ważną rolę w odpieraniu najazdów tatarsko-tureckich, które spadły na południowo-wschod-



⤴ **Zawisza Czarny z Garbowa (fragment *Bitwy pod Grunwaldem* Jana Matejki). W 1414 roku jego chorągiew wzięła udział w wyprawie przeciw Krzyżakom. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie**

nie pogranicze Rzeczypospolitej w ostatnich latach XV stulecia.

ORGANIZACJA I REKRUTACJA

Organizacja oraz sposób wynagradzania rot zaciężnej piechoty w Polsce nie odbiegały od wzorców zachodnioeuropejskich. Żołd polskich zaciężnych był co prawda niższy niż ich francuskich, niemieckich czy angielskich kolegów, ale niższe były także koszty utrzymania żołnierza. Wysokość gaży polskiego zaciężnego była natomiast zbliżona do zarobków czeskich najemników, którzy m.in. z tego powodu chętnie zaciągali się na służbę u Jagiellonów. Dzięki Czechom następowała w Polsce recepcja wzorców organizacyjnych wojsk zaciężnych. Oddział zaciężny nazywano rotą (po

łacinnie *comitiva*), od niemieckiego rzeczownika *die Rotte*, który z kolei pochodził od łacińskiego słowa *rutta, rupta*, czyli właśnie oddział. Na jego czele stał rotmistrz (*rothmagister, magister rotae*). Czasami, zwykle w przypadku tworzenia jednostki poprzez połączenie kilku mniejszych oddziałów, było w niej kilku rotmistrzów. O tym, kto faktycznie dowodził rotą, decydowali sami dowódcy.

Zasadniczo procedurę rekrutacji oddziału zaciężnego rozpoczynało wydanie listu przypowiedniego, określającego warunki służby. Dokument ten zwykle wystawiał monarcha, ale w 1471 roku czynił to zamiast niego król Kazimierz, nominalny dowódca wyprawy wojennej. Hetmani, którzy mieli prawo przyjmo-

wania do służby, nie mogli samodzielnie wydawać listów przypowiednich, dlatego zdarzało się, że otrzymywali odpowiednie formularze z pustym miejscem pozostawionym w celu wstawienia imienia rotmistrza oraz liczebności jego oddziału. Starano się przyjmować do służby osoby znane królowi lub jego urzędnikom, niejednokrotnie krewnych dworzan królewskich, a także rekomendowane przez innych dowódców.

Zwykle żołnierzy rekrutowano w różnych miastach i prowincjach, nie zdarzało się zatem, aby oddział składał się z przedstawicieli jednego regionu. Rotmistrz mógł zazwyczaj liczyć na pomoc towarzyszy przy okazji werbunku roty. Po osiągnięciu wskazanego w liście przypowiednim miejsca zbornego, najczęściej obozu wojskowego, odbywał się popis jednostki, w czasie którego wyznaczeni przez króla ludzie – często doświadczeni wojskowi – sprawdzali, czy liczebność oraz wyposażenie jednostki zgadzają się z wymogami określonymi w liście przypowiednim. Od takiego przeglądu rozpoczynała się służba, a żołnierzom przysługiwał umówiony żołd. Przy okazji popisu żołnierz otrzymywał zaliczkę na poczet żołdu w wysokości 1–3 florenów, resztę dostawał w ratach w toku kampanii. Czasami przed przystąpieniem do działań wojennych rotmistrzowie wysyłali wrogiemu władcy listy wypowiednie, w których informowali przeciwnika o rozpoczęciu działań wojennych – tak było w latach 1410, 1414, 1454 oraz 1491. Pokłosem działań zbrojnych były natomiast wykazy strat do określenia wysokości wynagrodzenia za szkody powstałe w czasie wojny, które skarb winien wypłacić zaciężnym zgodnie z pierwotną umową. Wskazywano w nich liczbę oraz rodzaj utraconych koni i uzbrojenia.

CZY OPLACA SIĘ BYĆ ZACIĘŻNYM

Dzięki badaniom Tadeusza Grabarczyka dysponujemy wiedzą na temat społecznego oraz narodowego składu rot zaciężnej piechoty. W latach 1454–1500 co najmniej połowa rotmistrzów wywodziła się z ziem podległych władzy króla polskiego, ponadto 17 proc. stanowili Czesi, 8 proc. Ślązacy, 4 proc. Węgrzy, zaś w przypadku nieco ponad jednej piątej dowódców ich pochodzenie jest nieznanne, choć można przypuszczać, że byli cudzoziemcami. Porównując przedostatnią i ostatnią dekadę XV wieku, widzimy wyraźny wzrost liczby Polaków rotmistrzów (z 61 do 80 proc.), głównie kosztem Czechów (21–10 proc.). Piechotę rekrutowano głównie w Czechach, na Śląsku oraz w Małopolsce, można przyjąć, że trzech na czterech zaciężnych wywodziło się z tych terenów. Znacznie mniej było przedstawicieli pozostałych regionów Królestwa Polskiego, w tym Wielkopolski i Kujaw, podobnie jak krajów niemieckich i Węgier.

Wśród rotmistrzów dominowali szlachcice oraz mieszcianie, których było nawet więcej niż szlachetnie urodzonych. Nieco inaczej rzecz wyglądała w przypadku jazdy, gdzie wśród kadry oficerskiej można znaleźć piastowskich książąt ze Śląska, choć dominowali przedstawiciele drobniejszej szlachty koronnej. Wśród zwykłych piechurów byli przedstawiciele wszystkich stanów, zwłaszcza ci, którzy znajdowali się na granicy pomiędzy grupami społecznymi: ubożsi rycerze, niezamożni mieszcianie czy synowie lepiej zarabiających chłopów.

W początkowym okresie wojny trzynastoletniej kwartalny żołd zaciężnego jeźdźca wynosił 13 florenów, zaś piechura o połowę

mniej. W następnych latach pobory obniżono: jeździec otrzymywał 10–12 zł, piechur 5 zł. W oddziałach piechoty pawężnicy oraz kopijnicy – ci ostatni pojawili się w armii polskiej pod koniec lat dziewięćdziesiątych XV stulecia – otrzymywali podwójny żołd, czyli 10 zł. Dochody rotmistrza zależały w znacznej mierze od wielkości roty, dowódcy większych oddziałów, liczących ponad 200 ludzi, mogli zarabiać nawet 40 zł. Grabarczyk szacuje, że suma ta przewyższała wartość czynszu z jednej trzydziestołanowej wsi, nic zatem dziwnego, że zawód rotmistrza był atrakcyjny dla drobnej szlachty.

SKĄD WZIĄĆ PIENIĄDZE

Zawsze, kiedy używano zaciężnych w czasie kampanii, trzeba było znaleźć nadzwyczajne źródła dochodu. Skarb królewski, do którego wpływały środki z królewszczyzn, żup solnych, olbory olkuskiej, poradnego oraz ceł, na przełomie XV i XVI wieku dysponował rocznym dochodem w wysokości raptem ok. 96 tys. florenów, co pozwalało na utrzymanie 45 tys. zaciężnych przez rok. Nic dziwnego, że władcy ratowali się pożyczkami u możnowładców oraz zamożnych kupców. Siłą rzeczy musieli także nakładać nowe podatki. Badania Tadeusza Szulca



♠ Jan Olbracht, król Polski w latach 1492–1501, utworzył stałe wojsko zaciężne dla obrony Rusi Czerwonej. Fot. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie

pokazują, że pomiędzy wydaniem przywileju w Koszycach a rokiem 1446 szlachta jedynie dwukrotnie (w 1404 oraz 1440 roku) zgodziła się na nadzwyczajne podatki, tymczasem za panowania Kazimierza Jagiellończyka (1447–1492) podjęto od 29 do 32 uchwał w tej sprawie, większość w latach 1454–1480, głównie w związku z prowadzonymi przez władcę wojnami i wiążącą się z tym koniecznością przyjęcia na służbę zaciężnych. Monarcha korzystał z „hojności” poddanych szczególnie często w czasie wojny trzynastoletniej, kiedy szlachta godziła się na świadczenia nawet trzy razy w ciągu roku (1455). Jan Olbracht (panował w latach 1492–1501) czterokrotnie zdołał przekonać panów braci do udzielenia mu wsparcia w postaci podatku. Szczególnie hojny okazał się sejm w Piotrkowie obradujący w styczniu–lutym 1498 roku. Szlachta, pod wrażeniem niedawnej porażki bukowińskiej oraz odwetowych najazdów turecko-tatarskich, wyraziła wtedy zgodę na pogłównę (1 gr od osoby), podatek od wsi oraz łanowe (12 gr z łanu). Podatki nakładano także na dobra kościelne (1459, 1466, 1479), na co zgodę musiało wyrazić duchowieństwo.

Monarcha nakładał podatki na miasta, w tym akcyzę, którą jednorazowo obciążono miasta królewskie w 1459 roku. W czasie wojny trzynastoletniej Kazimierz Jagiellończyk korzystał ze wsparcia miast pruskich – np. Gdańsk wyłożył 470 tys. florenów, zaś Toruń 125 tys. Pomoc ta nie była jednak bezinteresowna, bowiem władca zapłacił za nią przywilejami nadanymi tym miastom. Kraków wyłożył na wydatki wojenne 40–80 tys. florenów.

Król pożyczał także pieniądze u możnowładców, sięgał też do kieszeni rotmistrzów, którzy w obliczu pustego skarbu wykla-

dali własne środki na utrzymanie podległych im oddziałów, uzyskując zabezpieczenie pożyczki w postaci zastawu na dobrach domeny królewskiej. Władca rewanżował się także nadaniami ziemskimi oraz urzędami dla oficerów.

PLUSY I MINUSY ODDZIAŁÓW ZACIĘŻNYCH

Nieterminowe opłacanie żołdu mogło mieć opłakane skutki – wypowiedzenie służby przez dowódców, a nawet przejście na stronę przeciwnika czy dochodzenie należności zbrojnie. W latach 1455–1458 Kazimierz Jagiellończyk musiał odpierać najazdy nieopłaconych śląskich i czeskich najemników na Małopolskę i ziemię wielką. Kiedy próby siłowego rozwiązania problemu – za pomocą lokalnego pospolitego ruszenia – zawiodły, monarcha został zmuszony do zawarcia porozumienia z niedawnymi pracownikami, w wyniku którego otrzymali oni, choć nie bez przeszkód, zaległy żołd.

Królowie starali się zapobiegać podobnym niedogodnościom, powierzając zarząd dóbr koronnych najemnikom, co wiązało dowódcę z władcą i czyniło wypowiedzenie służby mniej opłacalnym. W późniejszym okresie wojny trzynastoletniej Kazimierz Jagiellończyk coraz chętniej przyjmował do służby zaciężnych dowodzonych w większości przez oficerów rodzimego pochodzenia, jak Piotr Dunin z Prawkowic, Paweł Jasiński czy Wacław Nieborowski. Nie było to jednak gwarancją lojalności, o czym świadczą próby buntu jednego z dowódców, starosty nakielskiego Władysława z Danaborza, podnoszone przez niego w latach 1460–1467. Powodem były głównie zaległości w wypłacie żołdu. Kazimierzowi udało się uniknąć losu wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego Ludwiga von Erlichhausena, którego

nieopłaceni zaciężni, z czeskim dowódcą Ulrichem Czerwonką na czele, wygnali z Malborka, przekazując miasto w ręce króla polskiego. Należy także pamiętać, że nieopłaceni żołnierze stawali się plagą dla ludności cywilnej, łupiąc ją bezlitośnie.

Mimo wszystko Jagiellonowie nie mogli zrezygnować z zaciężnych, którzy bili na głowę pospolite ruszenie doświadczeniem, uzbrojeniem, umiejętnościami oraz dyscypliną. Porównajmy np. prędkość marszu w czasie kampanii. W ostatniej fazie konfliktu z Mikołajem Tungenem niewielkie zaciężne wojska koronne poruszały się z przeciętną prędkością 20 km dziennie, co pozwoliło na wyprowadzanie szybkich ciosów i zaskakiwanie przeciwnika. Dwadzieścia lat później, w czasie wyprawy bukowińskiej Jana Olbrachta, tempo marszu olbrzymiej armii królewskiej – złożonej w większości z oddziałów pospolitego ruszenia – wynosiło raptem kilka kilometrów dziennie, co miało niebagatelny wpływ na fiasko całego przedsięwzięcia i bolesne straty zadane wojskom koronnym w czasie bitwy pod Koźminem. Koszty wojny, zwłaszcza jeśli doliczyć do nich wydatki na artylerię: cenę zakupu dział, prochu, pocisków, wynagrodzenie puszkarzy, a w przypadku artylerii polowej i oblężniczej wydatki na transport (woźnice, konie, wozy itp.), rosły jednak niebotycznie, co w następnym stuleciu w nie małym stopniu przyczyniło się do sformułowania programu reform skarbowych przez ruch egzekucyjny i doprowadziło do częściowej przebudowy ustroju Korony.

Przemysław Gawron, historyk, wykłada na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, specjalizuje się w nowożytnych dziejach Rzeczypospolitej

○ NOWOŻYTNYM GDAŃSKU, *pieniądzach i chciwości*

EDMUND KIZIK



^ Handel zbożem w porcie gdańskim,
mal. Wojciech Gerson.
Fot. archiwum „Mówią wieki”

Bogactwo i potęga Gdańska od końca XV do XVIII wieku były oczywiste dla każdego przybysza, któremu zdarzyło się stanąć u bram tego miasta. Ponieważ skarb Rzeczypospolitej wiecznie świecił pustkami, kolejni władcy próbowali się dobrać do gdańskich pieniędzy. Z reguły z miernym skutkiem.

Sz szczególnie pomyślny rozwój Gdańska przypadł na długi okres od zwycięskiego kompromisu z królem Stefanem Batorym (1577) aż do wojny polsko-szwedzkiej 1655–1660 za Jana Kazimierza. W tym czasie Gdańsk, pośredniczący w handlu pomiędzy Rzeczpospolitą a Europą Zachodnią, wzniósł potężne fortyfikacje, które chroniły kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców miasta, zajmujących się handlem i transportem, przechowywaniem i konfekcjonowaniem zbóż i drewna oraz usługami rzemieślniczymi. Aż do drugiej połowy XVIII wieku Gdańsk był nie tylko największym miastem Rzeczypospolitej, lecz również jednym z najludniejszych ośrodków w tej części Europy. Liczba jego mieszkańców w latach 1616–1620 i 1621–1625 jest szacowana na odpowiednio 58 800 i 61 200 osób, a w latach 1641–1645 i 1646–1650 już nawet na 68 700 i 67 600. W następnych latach nastąpił spadek i stabilizacja liczby ludności na poziomie ok. 60 tys., która wzrosła, zbliżając się do wartości maksymalnych, w latach 1686–1690 wynosząc 68 100 osób.

Niezwykła koniunktura miała miejsce zwłaszcza w latach czterdziestych XVII stulecia. W okresie 1640–1644 przeciętna roczna wartość obrotów handlu zamorskiego Gdańska w przeliczeniu na srebro osiągnęła 259 tys. kg kruszcu, a w latach 1649–1651 obroty wzrosły przeciętnie do 266 tys. kg rocznie. Była to równowartość od ok. 3 197 000 do 3 283 000 guldenów albo złotych. Do XIX wieku wartości handlu odnotowanego w rachunkach celnych nie osiągnęły już tak wysokiego poziomu. Na rachunkach kamlarii (urzędu miejskiego zarządzającego finansami) w 1641 roku dochód z handlu wynosił 1 089 697 grzywien (726 464 floreny; grzywna obrachunkowa to 20 gr, floren, złoty to 30 gr),





↗ Dukat gdański z czasów panowania Jana Kazimierza. Fot. Wojciech Kalwat

a w 1644 roku 1 417 171 grzywien przy wydatkach odpowiednio 598 373 oraz 724 186 grzywien. Na kontach tzw. Kasy Funduszków Posiłkowych, która pełniła rolę banku komunalnego, odnotowywano wpływy z lokat. W 1659 roku kasa miała 1 588 886 florenów i 1 221 385 florenów w roku następnym. Stan finansów ówczesnego Gdańska był ściśle strzeżoną tajemnicą, znaną jedynie kilku, może kilkunastu, osobom ze ścisłej elity rządzącej miastem.

Wojny połowy XVII stulecia negatywnie wpłynęły na rozwój miasta, jednak dzięki szczególnemu położeniu u ujścia Wisły Gdańsk miał wystarczająco duże dochody, aby utrzymać ponadregionalną pozycję. Stanowisko miasta miało kluczowe znaczenie podczas bezkrólewia po śmierci Jana III Sobieskiego, ale dopiero elekcja Augusta III (Gdańsk popierał Stanisława Leszczyńskiego) oraz kapitulacja przed wojskami rosyjsko-

-saskimi w 1734 roku ukazały realne znaczenie miasta. Trwające 145 dni oblężenie oraz poparcie udzielone Leszczyńskiemu kosztowały Gdańsk 1 542 460 talarów (1 talar to ok. 115 gr), czyli w przeliczeniu na kruszec według kursu z 1734 roku odpowiednio 37 507 082 kg srebra, ewentualnie 2 512 266 kg złota.

Aby zbilansować budżet, władze Gdańska były zmuszone do zwiększenia akcyzy na żywność oraz rozpisania pożyczek wewnętrznych. Te przyniosły 1 350 000 florenów, papiery dłużne na sumę 420 tys. florenów wykupiły także osoby spoza miasta. Nie pokryło to jednak potrzeb Gdańska, dlatego za pośrednictwem dwóch banków amsterdamskich (Georg Clifford & Sons i Frederik Berewout) zaciągnięto w Holandii pożyczki na sumę 3 mln guldenów. Były oprocentowane na 5-6 proc. Pozwoliło to uregulować zobowiązania finansowe wobec carycy Anny

oraz króla Augusta III. 29 kwietnia 1736 roku pokwitowano wypłatę carycy Annie miliona bitych talarów. Pożyczki w Holandii były rozpisane na 20 lat i tyle czasu płacił Gdańsk za poparcie Stanisława Leszczyńskiego. Było to dostatecznie długo, aby zrozumieć, że wiatry historii całkowicie przebudowały już scenę polityczną regionu. Jednak zanim do tego doszło, Gdańsk był potęgą, z którą należało się liczyć.

KREZUS U UJŚCIA WISŁY

Bronią gdańskich kupców były pieniądze: posiadane, pożyczane, roztropnie wydawane i rozdawane. Gdańsk miał prawo do bicia monety; konsekwentnie utrzymywał jej wartość w czasach, gdy inflacja stała się utrapieniem Rzeczypospolitej. Pieniądże z budżetu pozwalały na opłacenie żołnierzy zaciężnych, zapewnienie wdzięczności możliwych tego świata oraz łagodzenie gniewu (z regu-



↗ Talar gdański z czasów panowania Jana Kazimierza. Fot. Wojciech Kalwat

ły krótkotrwałego) obrazonych na miasto władców Polski. Zdarzało się jednak, że miasto przeciągnęło strunę, np. podczas konfliktu ze Stefanem Batorem w 1577 roku trzeba było sięgać po srebra kościelne i majątek cechów, aby wybić talar oblężniczy, na którym oblicze króla polskiego zastąpił wizerunek Chrystusa z symptomatyczną inskrypcją *DEFENDE NOS CHRISTE SALVATOR*. To była jednak sytuacja wyjątkowa, a zwycięski dla Gdańska kompromis z Batorem opłacił się wielokrotnie. Gdańczycy nie pozwolili na odebranie swoich praw i dyktowanie warunków gospodarzy przez dwór królewski.

Szczęśliwie zachowały się gdańskie księgi kasowe od schyłku XVI do końca XVIII wieku, prowadzone nowoczesną metodą podwójnej włoskiej księgowości (winienna). Dzięki temu możemy się zorientować w finansach miasta. Bieżące wydatki finansowano

z budżetu oraz pożyczek zaciągniętych od mieszkańców i różnych instytucji (szpitale, kościoły). Budżet był zasilany przede wszystkim podatkami od obrotów handlowych, czynszami od nieruchomości miejskich, opłatami od przemiału ziarna, akcyzą żywnościową, testamentami, podatkami od wywożonych spadków itd. W razie potrzeby pieniądze zdobywano, podnosząc podatki bezpośrednio, liczone jako procent od oszacowanego majątku, ewentualnie zaciągając pożyczki wewnętrzne oraz zewnętrzne. Kamlaria Gdańska działała jak rodzaj banku, w którym swoje nadwyżki finansowe lokowały zarówno kościoły miejskie i wiejskie, szpitale, jak i wiele osób prywatnych (nie tylko z miasta, ale i z całej Rzeczypospolitej), co zapewniało miastu zachowanie płynności finansowej. Pieniądze trafiały na wydzielone konta wpływów nadzwyczajnych, czyli do wspomnianej Kasy

Funduszy Posiłkowych. Były na nich notowane wpływy, ich kapitalizacja, przeksięgowanie do wpływów oraz wypłaty procentów od kapitałów.

Obracanie tak znacznymi sumami stanowiło nie lada pokusę dla urzędników. Warto wspomnieć o procesie z 1700 roku przeciwko Hermannowi Bolte, złotnikowi z zawodu, który od 1693 roku jako urzędnik miejski prowadził księgi kasowe. Falszerstwo było genialnie łatwe – polegało na wpisaniu do księgi fikcyjnych wkładów kapitałowych dokonanych przez rzekomo istniejące osoby. W terminie zapadalności odsetek wystarczyło wypłacić sobie odpowiednią gotówkę w kasie. Sprawa wydała się przypadkowo po latach, gdy urzędnicy kamlarii poprosili napotkanego w winiarni klienta, który z tytułu lokaty 15 tys. florenów rzekomo miał tego dnia zainkasować 750 florenów, o postawieniu im po kielichu

wina. Bolte został skazany na dożywocie.

Miasto dbało o swoje dobre imię i nie szczędziło wydatków na mniej czy bardziej szczerych pochlebców – uczonych literatów, którzy zarzucali rajców i burmistrzów różnymi panegirykami z dedykacjami na cześć ich miasta. Autorami takich tekstów często byli również uznani historycy. Dla przykładu w księgach kasowych miasta na kontach zatyłowanych *Verebrungen und Geschenke* (uhonorowania i podarki) znajdują się wypłaty dla honorowego profesora Gimnazjum Akademickiego Joachima Pastoriusa. W 1652 roku za przesłany miastu nieznany traktat dostał 20 talarów, w 1655 roku za orację 270 grzywien, a za lirykę przygotowaną z okazji złożenia hołdu przez gdańszczyzan królowi Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu w 1670 roku otrzymał 5 dukatów, czyli 45 florenów. Inna z wybitnych postaci, Eberhard Wasenberg, królewski historiograf, w 1641 roku za panegiryk poświęcony i dedykowany królowi Władysławowi IV dostał 450 grzywien. Lista historyków lizusów sprzed kilkuset lat jest dostatecznie długa, chociaż większość osób, które obdarowywano, to urzędnicy, magnaci. Konta z nazwiskami obdarowanych oraz ugoszczonych (osobno pod określeniem *Tracktamenta* odnotowywano skrupulatnie wydatki na bankiety) ukazują nam dyskretną stronę prowadzenia polityki, szczególnie że wykwinne uczyty urządzało często w twierdzy Wisłoujście, broniącej wejścia do portu. Widok potężnych fortalicji, saluty artyleryjskie na cześć gości, liczne statki stojące na redzie portu, wino, kwieciste toasty. Pojętni goście nie mieli problemów ze zrozumieniem aluzji. Propaganda sukcesu kosztowała, lecz w ostatecznym rachun-

ku opłacała się, budując zaufanie do trwałości potężnego Gdańska i jego finansów. Jednocześnie wzbudzało to zazdrość czy wręcz zawiść dworu oraz chęć wyciśnięcia nieco pieniędzy z bogatego miasta. Zbożnych pretekstów nie brakowało, a i szlachecka opinia publiczna nie miała nic przeciwko temu, aby Gdańsk (nazywany Chłzańskim) podzielił się częścią swego bogactwa z rodakami i ojczyzną, będącą jak zwykle w pilnej potrzebie.

MIASTO I MONARCHOWIE

W istocie stałe daniny finansowe Gdańska na rzecz królów polskich oraz Korony były stosunkowo ograniczone. W zamian za przywileje i finansowanie wojny trzynastoletniej zakończonej w 1466 roku włączeniem części Pomorza i Prus Zakonnych (jako Prus Królewskich) do Polski królowie otrzymywali od miasta corocznie raptem 2 tys. florenów węgierskich, czyli dukatów. Podatek, określane niekiedy jako czynsz (gdański), był uiszczany w dwóch ratach: na świętego Jana (21 czerwca) oraz Boże Narodzenie (25 grudnia). Za panowania Zygmunta I zwiększono te kwoty. W przywileju z 22 lipca 1526 roku jest mowa o dodatkowych 3 tys. grzywien (czyli 2 tys. florenów albo złotych płaconych w ratach na Zwiastowanie Panny Marii – 25 marca – i św. Michała – 29 września). Obowiązkiem miasta było goszczenie władcy wraz z towarzyszącym mu dworem przez trzy dni na swój koszt (stacja). Ponieważ monarchowie aż tak często do miasta nie przybywali, ustalono zryczałtowaną sumę w wysokości 750 florenów. Do tego dochodziły jeszcze nieregularne wpływy z dóbr pochodzących z rozbitych statków oraz kaduków, czyli majątków bezdziedzicznych, które przypa-

dały władcy. W 1660 roku Gdańsk za 50 tys. florenów odkupił prawo do kaduków od Jana Kazimierza, który zachował jednak pretenzje do skonfiskowanych majątków zdrajców stanu oraz kaduków powyżej 50 tys. florenów. Z obowiązku wzniesienia i utrzymania pałacu królewskiego wraz z odpowiednim zapleczem gospodarczym Gdańsk nigdy się nie wywiązał, i to mimo wielokrotnych napomnień. Ale przecież nie po to w 1454 roku w pośpiechu rozebrano do fundamentów zamek krzyżacki, aby innemu władcy, choćby polskiemu i kochanemu, budować nową siedzibę. Jeszcze zechciałby tam zostać na zawsze. Wykręty, tłumaczenia, a następnie nadzwyczajne podarki pozwalały władcóm Polski przełknąć tę zniewagę.

Monarchowie starali się wymusić udział dla siebie w dochodach z ceł, czyli tzw. palowego, którym obciążano towary wywożone i przywożone drogą wodną. Podatek uiszczano od wartości frachtu oszacowanego przez urzędników portowych. Zawarty w 1585 roku traktat o palowym przewidywał wprawdzie podwyższenie opłat z 2 do 4 denarów od grzywny wartości i przeznaczenie połowy dla skarbu królewskiego, lecz administracja pozostawała w ręku gdańszczyzan. Innymi słowy, była poza zewnętrzną kontrolą. A księgi handlowe, jak całe finanse miasta, były tajne i burmistrzowie jedynie z największym oporem godzili się na wgląd w miejską buchalterię. Nie poznali jej nawet Szwedzi, którzy podczas konfliktu z lat 1626–1629 bezceremonialnie zaczęli pobierać cła od statków. W 1628 roku szwedzkie dochody z ceł pruskich (poza Gdańskiem również Królewiec) osiągnęły łącznie prawie 20 proc. ogólnych dochodów państwa. Rację miał król Gustaw Adolf, mówiąc, że *bellum se ipsum alet* – istotnie, pro-

wadzone przez Szwecję wojny same się żywiły. Warunki rozejmu z Altmarku (Starej Wsi) pozwalały Szwedom w dalszym ciągu obciążać polski handel morski opłatami w wysokości 3,5 proc. od wartości przewożonych towarów. W okresie obowiązywania rozejmu (do 1636 roku) dochody z tego tytułu wyniosły bez mała 2 mln talarów. Opłaty nakładane przez gdańszczan wynosiły 2 proc. wartości, przy czym połowę odstępowano królowi polskiemu. W 1636 roku Władysław IV usiłował podwyższyć kwoty należne królowi, ale bezskutecznie. Po targach monarcha zrzekł się swoich pretensji za cenę 800 tys. złp, ale jedynie połowę sumy uzyskał od razu, reszta wymagała dodatkowych ustaleń.

Nie znaczy to, że Gdańsk nie służył swoim bogactwem królom polskim. Wręcz przeciwnie, każdy z władców wyjeżdżał z mia-

sta z pełnymi sakwami pieniędzy, lecz nie były to podatki, lecz „dobrowolne”, wspianałomyślnie dary i różnego rodzaju pożyczki. Te ostatnie często były zabezpieczone na królewskich zastawach wydanych w zastaw gdańszczanom (np. starostwo puckie). Spór ze Stefanem Batorym kosztował Gdańsk 200 tys. florenów wypłacanych w ratach przez pięć lat. Kiedy w 1587 roku do miasta przybył nowo wybrany Zygmunt III Waza, otrzymał 10 tys. florenów tytułem zaliczki na palowe, dodatkowo udzielono władcy kredytu na 30 tys. talarów (35 tys. florenów), a gdy opuszczał miasto, wręczono mu jeszcze złoty puchar z 1 tys. dukatów. 70 tys. florenów kosztowało zatarcie złego wrażenia po tumulcie, do jakiego doszło w 1593 roku w czasie wizyty króla w mieście. Jednak każdy grosz był wydawany z namysłem i pod pewnymi warunkami, aby

nie stwarzać wrażenia, że chodzi o jakieś stałe podatki.

Część pożyczek lub darów gdańszczanie przekazywali w formie okazjonalnie bitych złotych donatyw – monet podarunkowych służących uhonorowaniu władców, upamiętniających ich śluby, narodziny potomstwa albo wizyty w Gdańsku. Złożone do złotych pucharów i przykryte jedwabną purpurą, były jednocześnie demonstracją zamożności miasta, jego potęgi militarnej oraz gestu ofiarodawcy. Do najpiękniejszych zabytków tego typu należy 30-dukutowy medal wybity w złocie (również w srebrze) z 1617 roku, który zadedykowano królowi Zygmuntovi III Wazie. Na awersie widnieje portret władcy w paradnej zbroi ze stosowną inskrypcją. Na rewersie zaś przedstawiono panoramę Gdańska wraz z Wisłoujściem ujętą z Biskupiej Górki na tle morza z licznymi żaglowca-



⤴ Panorama Gdańska z *Civitates Orbis Terrarum* Georga Brauna i Fransa Hogenberga. Fot. archiwum „Mówią wieki”



☛ Medal pamiątkowy wybity dla Zygmunta III.
Fot. Muzeum Okręgowe w Toruniu,
Wojciech Kalwat

mi. Medal był dziełem działającego w mieście rytownika Samuela Ammona, jednego z najwybitniejszych twórców tego rodzaju drobnej plastyki złotniczej nie tylko w skali Rzeczypospolitej, ale i całej Europy Środkowej i Północnej.

KRÓL I ZDRAJCA

Nawet najpiękniejsze prezenty nie rozwiązywały jednak konfliktu, czyli sporu o udział Gdańska w finansowaniu wydatków króla oraz całego państwa. Po raz ostatni rozgorzał on za sprawą Gotthilfa Wernicka, gdańskiego *homo novus*, trybuna ludowego wyniesionego przez opozycyjnych wobec rajców reprezentantów średniego mieszczaństwa (100 mężów Trzeciego Ordynku) do najwyższych stanowisk w mieście. Wernick, kramarz ożeniony z córką pakowacza śledzi, za demagogiczne poparcie stanowiska dworskiego, wspierany przez króla Augusta III i jego wszechwładnego mi-

nistra Henryka Brühla, w 1752 roku został członkiem rady miejskiej. Opiewanemu przez okazjonalnych wierszokletów, uwiecznionemu na medalu z 1754 roku politykowi powierzono stanowisko burgrabiego oraz różne funkcje nadzorcze, m.in. nad miejskim Urzędem Zapasów (zakupy interwencyjne) oraz Urzędem Budowlanym (koncesje i place budowlane). Znajomość tajnych dokumentów poza dodatkowymi dochodami ułatwiała nawiązanie wpływowych znajomości i zdobywanie kredytów.

Niespodziewanie szybka kariera Wernicka mogła współczesnym mu przypisać o ból głowy i warta jest osobnej opowieści. Dość powiedzieć, że szybko zatracił się on w świecie wielkiej polityki i pieniędzy. Wprawdzie nie był w tym odosobniony, lecz skala jego bezwstydnosci była szczególna. Wdał się w spekulacje monetarne i na przełomie 1759 i 1760

roku, w czasie wojny siedmioletniej (1756–1763), poniósł olbrzymie straty na próbie sprzedaży zboża dla wojsk rosyjskich, zadłużając się ostatecznie na niewyobrażalną sumę blisko 2 mln guldów. Próba sprzedaży niechcianego zboża w Holandii nie powiodła się, ponieważ wierzyciele żądali spłaty weksli. Bankructwo Wernicka doprowadziło do ruiny wielu kredytodawców.

Co ciekawe, zachowały się księgi handlowe jego przedsiębiorstwa. Według ówczesnego prawa bankruci niemogący spłacić swoich zobowiązań trafiali często do więzienia. Wernick pod pretekstem krótkiego wyjazdu do Malborka zbiegł z miasta i w kwietniu 1760 roku znalazł schronienie przed wierzycielami na warszawskim dworze swego protektora króla Augusta III. Ten, od dawna skonfliktowany z Gdańskiem, skorzystał z nadarzającej się okazji. Mściwy zdrajca sekre-



☛ Medal pamiątkowy wybity dla Władysława IV.
Fot. Muzeum Okręgowe w Toruniu,
Wojciech Kalwat

tów miejskich, jak określił Wernicka historyk Władysław Konopczyński, dostarczył królowi dowody na machinacje finansowe miasta. W drukowanych paszkwilach ukazywał skalę prawdziwych i rzekomych oszustw rady miejskiej, omijanie praw należnych królom Polski. Dwór zlecił władzom miasta wydanie ksiąg palowych, a skalę nieotrzymanych podatków za lata 1733–1760 wyliczono na bajeczną sumę 2 067 123 talary (1 talar to 5 florenów). Żądania Augusta III były przesadzone, lecz i władze Gdańska, zbijając argumenty w równie licznie kolportowanych drukach, nie były całkiem bez winy, uporczywie uchylając się od pewnych zobowiązań. Jasne było, że jedynie argument finansowy może załatwić sprawę. Król odstąpił od procesu i zrzekł się dochodzenia pretensji do palowego za cenę 540 tys. florenów dla siebie i 160 tys. dla zaangażowanych w sprawę dworzan (Brühl i jego

zaufani). Gdańsk zażądał jednak wydania Wernicka. Król przystał na to, bowiem były gdański rajca nie był mu już potrzebny. Aresztowano go w Dreźnie i osadzono w twierdzy Königstein. Przez cały czas utrzymywano go w błogim przekonaniu, że to tylko dla jego bezpieczeństwa, albowiem czyhają nań wynajęci przez gdańszczan siepacze. Następnie pod pozorem konieczności przedstawienia swoich racji na sejmie w Warszawie Wernick pod przybranym nazwiskiem został odstawiony do Gdańska (9 września 1762 roku). Osadzono go dożywotnio w twierdzy Wisłoujście (zachowały się rachunki za utrzymanie więźnia oraz raporty komendanta), a po śmierci w 1773 roku bez rozgłosu pochowano w forticznym kościele.

Na tle Rzeczypospolitej Gdańsk był miastem bogatym, lecz nierozrzućnym. Nawet najbogatsi z patrycjuszy nie budowali pałaców, a w protestanckim mieście nie

wzniesiono żadnego wielkiego nowego kościoła. Jedynie fundacja biskupa Andrzeja Olszewskiego i Jana III Sobieskiego – katolicka Kaplica Królewska – przypominała, że styl gotycki już dawno przeminął. Równocześnie z uporem podtrzymywana mieszczańska propaganda sukcesu tworzyła mit bogactwa, zapewne przerastający stan faktyczny. Stąd ponawiane przez władców państwa polsko-litewskiego próby sięgnięcia do miejskiej kasy, tak jak przy okazji afery Wernicka. Ale bez złudzeń, pieniądze wyciśnięte z Gdańska nie wzmacniały Rzeczypospolitej, lecz trafiały do prywatnych kieszeni. Poprawa stanu finansów publicznych kraju nie powinna się zaczynać od zabierania dóbr mieszczanom.

Edmund Kizik, historyk, profesor na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Gdańskiego, kierownik Zakładu Historii Nowożytnej

OBCIĄŻENIA PODATKOWE

i wojsko w dawnej Rzeczypospolitej

DARIUSZ MILEWSKI



Łacińskie powiedzenie *pecunia nervus belli* (pieniądz nerwem wojny) dobrze oddaje istotę problemu, przed jakim stawało i staje każde państwo. Wyszukolenie i utrzymanie armii zdolnej do odparcia najazdu przeciwnika bądź prowadzenia własnej agresywnej polityki zawsze było bardzo kosztowne. Pieniądże zdobywano więc zasadniczo na dwa sposoby. Pierwszym było obciążenie mieszkańców państwa obowiązkiem wojskowym w zamian za różne przywileje. Drugim utrzymywanie stałego wojska, opłacanego z dochodów państwa (władcy) albo z podatków nakładanych na ludność.



Oba systemy miały swoje zalety i wady. Pierwszy oznaczał „tanie państwo”. Władca dysponował siłą zbrojną, z reguły bardzo liczną, choć nie zawsze odpowiednio wyszkoloną. Jeśli państwo toczyło permanentne wojny, można było liczyć na to, że jego armia „z poboru” będzie zachowywać wysokie walory bojowe. Sprawdzało się to często, czy to w starożytnym republikańskim Rzymie, czy u średniowiecznych Słowian, wikingów bądź Mongołów i Tatarów, czy wreszcie w początkach imperium osmańskiego. Zaletą tego systemu była duża odporność na klęski i straty własne. Wadą – z punktu widzenia władcy – konieczność liczenia się ze zdaniem żołnierzy. Dla tego system „powszechnej służby wojskowej” sprawdzał się dobrze

« *Batory pod Pskowem*, mal. Jan Matejko. Za panowania Batorego monarcha musiał zaciągać dodatkowe oddziały na potrzeby każdej kampanii wojennej. Aby zdobyć na to pieniądze, każdorazowo musiał prosić sejm o zgodę na stosowne podatki, z których finansowano wojska zaciężne. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

w państwach o ustroju republikańskim. Gdy jednak kształtowała się w nich silna władza monarchiczna – co często było koniecznością wynikającą z potrzeby zarządzania zdobyciami terytorialnymi zaborczych republik – potrzeby polityki wewnętrznej skłaniały władców do przechodzenia na system armii zawodowych.

Takie armie były z reguły mniej liczne, ale za to dobrze wyszkolone i w stałej gotowości bojowej (czego nie dało się powiedzieć o armiach poborowych, które często przerywały działania wojenne na okres zimy bądź zbiorów zbóż oraz słabo nadawały się do długotrwałej służby poza ziemiami ojczystymi – najlepszym przykładem bunt żołnierzy Aleksandra wobec jego planów inwazji na Indie). Co więcej, związane raczej z władcą, który je utrzymywał, dobrze się nadawały do kontrowania również własnej ludności. To dostrzegali zarówno władcy, jak i poddani (obywatele). Nic więc dziwnego, że tam, gdzie obywatele mieli wiele do powiedzenia – a tak było w dawnej Rzeczypospolitej – zawodowej armii nie poważano i była utrzymywana na minimalnym poziomie.

STAŁE WOJSKO W RZECZYPOSPOLITEJ

Przyjrzyjmy się zatem, jak to wyglądało w Polsce nowożytnej. Jagiellonowie odziedziczyli po ostatnich Piastach system armii poborowej oparty na powszechnym obowiązku służby wojskowej rycerstwa w zamian za przywileje, najpierw ekonomiczne (prywatna własność ziemiska), później sądowe i polityczne. Taka armia całkiem nieźle sprawdzała się do połowy XV wieku, wiktoria grunwaldzka jest tego najlepszym dowodem. Inaczej jednak było, kiedy przyszło odpierać najazdy Tatarów na kresy wschodnie – ry-

cerstwo, nawet dobrze wyszkolone i uzbrojone, zbierało się zbyt wolno, aby stawić czoło szybkiemu i mobilnemu przeciwnikowi. Ostatecznym sprawdzianem dla armii rycerskiej stała się wojna trzynastoletnia z zakonem krzyżackim (1454–1466). Rozpoczęła się od klęski polskiego rycer-

nie swego stanu posiadania (nie-małego przecież) niż o rozszerzenie granic.

Po zlikwidowaniu zagrożenia krzyżackiego i wobec na ogół dobrych stosunków z Habsburgami jedynym stałym zagrożeniem dla Polski i Litwy były państwa wschodnie: imperium osmań-

Armie zaciężne były mniej liczne, ale dobrze wyszkolone i w stałej gotowości bojowej, czego nie dało się powiedzieć o armiach poborowych, które często przerywały działania wojenne na czas zimy bądź zbiorów i nie nadawały się do długotrwałej służby poza ziemiami ojczystymi

stwa pod Chojnicami (1454), a zakończyła zwycięstwami polskich wojsk zaciężnych (z najsłynniejszym w bitwie pod Świecinem w 1462 roku). Katastrofa wyprawy bukowińskiej Jana Olbrachta w 1497, a następnie niedojście do skutku wyprawy Zygmunta przeciw Mołdawii w 1537 roku (wojna kokosza) były gwoździem do trumny marzeń o skuteczności bojowej pospolitego ruszenia.

W czasach ostatnich Jagiellonów jasne było, że obrona państwa wymaga stałej siły zbrojnej. Postanowiono jednak pogodzić to z utrzymaniem wolności szlacheckich – znający dobrze dzieje antyczne Polacy i Litwini nie zamierzali podzielić losu republiki rzymskiej, zlikwidowanej przez ambitnych wodzów stojących na czele zwycięskich legionów. Aby osiągnąć ten cel, postanowiono zatem utrzymywać armię możliwie jak najmniej liczną. Korzyścią tego rozwiązania była redukcja obciążeń podatkowych, efektem ubocznym niechęć do prowadzenia aktywnej polityki zagranicznej i wzrastająca bierność państwa, dbającego raczej o utrzyma-

nie swego stanu posiadania (nie-małego przecież) niż o rozszerzenie granic. Próbowano prowadzić pokojową politykę wobec nich, opłacając nawet Tatarów – co zresztą wobec Turków dawało dobre efekty (choć znów za cenę wycofania się z Mołdawii). Z Moskwą przedłużano rozejmy, wdając się w dłuższą wojnę dopiero w 1558 roku (o Inflanty).

W tej sytuacji w XVI wieku państwo polsko-litewskie trzymało się zasady, że stała armia ma być utrzymywana z dochodów własnych króla, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo. W razie wielkiego zagrożenia przewidywano zwołanie pospolitego ruszenia. Po śmierci Zygmunta Augusta wymyślono nawet, że nie tylko nie może być ono używane do wojen zaborczych, ale nawet dzielone na polu bitwy – co z wojskowego punktu widzenia było nonsensem.

Liczebność stałych wojsk tzw. obrony potocznej, utrzymywanych na kresach wschodnich z dochodów z dóbr monarszych (królewskich), rzadko przekraczała 1 tys. żołnierzy. Mogły one zwalczać Tatarów i drobniejsze wypadki Mołdawian, ale niewiele więcej. Widząc to, w latach sześćdziesią-



⤴ Za panowania Zygmunta III Wazy wyszła na jaw słabość polskiej skarbowości. W efekcie podczas wojen o Inflanty oraz z Moskwą wojska były nieopłacane na czas i buntowały się, odmawiając walki. Fot. Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie

tych XVI wieku na żądanie szlachty przeprowadzono wreszcie tzw. lustracje dóbr królewskich (dla oszacowania ich dochodowości) oraz egzekucję (królewsczyzny odebrano zastawcom dzierżącym je zbyt długo). W zamyśle szlachty miało to zwiększyć dochody króla, którego zobowiązano do przekazywania określonej wysokości zysków na utrzymanie stałego wojska. W ten sposób na bazie obrony potocznej powstało wojsko kwarciane – opłacane z jednej czwartej (a faktycznie, po odliczeniu kosztów własnych dzierżawcy, z jednej piątej) dochodów dóbr królewskich. Pozwoliło to na zwiększenie siły zbrojnej państwa do ok. 4 tys. ludzi.

MARNE SKUTKI OSZCZĘDNOŚCI

Taka oszczędnościowa polityka nie pozwalała jednak na wiele. Dlatego na potrzeby dużych kampanii wojennych zaciągano dodatkowe wojska, opłacane z podatków uchwalanych każdorazowo przez sejm. Król przedstawiał obradującym potrzeby militarne, ich szacunkowy koszt i musiał przekonać ich do uchwalenia stosownych podatków. Szlachta była skłonna płacić, gdy istniało duże niebezpieczeństwo, a zarazem realna szansa na jego zażegnanie na drodze wojny. Przekonał się o tym Stefan Batory, gdy na kolejnych sejmach przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XVI wieku uzyskał zgodę na podatki na wojnę z Moskwą o Inflanty. Już na wyprawę połocką w 1579 roku wydusił od szlachty ponad pół miliona złotych, wystawiając 56-tys. armię z prawie 100 działami. Król musiał jednak rok po roku starać się o pieniądze na sejmie, a gdy ten oponował, odwoływał się nawet do sejmików. Co więcej, zaciągał też pożyczki, poświęcając dla zdobycia gotówki

istotne interesy polskie nad Bałtykiem (ustępstwa wobec Gdańska i Hohenzollernów w Prusach Książących). Nie zabrakło i zrzeczenia się prerogatyw królewskich, gdy Batory zgodził się na utworzenie trybunałów Koronnego i Litewskiego, nadając szlachcie niemal pełną autonomię sądowniczą.

Oczywiście natychmiast po zwycięskim zakończeniu wojny armię rozpuszczono, utrzymując jedynie wojsko kwarciane w Koronie (Litwa w ogóle nie miała zawodowej armii). Rzeczpospolita, choć rozległa, była zatem faktycznie zdemilitaryzowana. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Na Ukrainie szerzyła się swawola kozacka, co prowadziło do nieustannych zadrażnień z Osmanami i Tatarami. W 1596 roku Stanisław Żółkiewski skutecznie pokromił Kozaków, ale już kilka lat później udzielono im amnestii, gdyż pilnie potrzebowano ich pomocy w nowych wojnach. W ciągu półwiecza wyrosło na Ukrainie silne bractwo wojskowe, którego bunt w 1648 roku wstrząsnął osadami Rzeczypospolitej.

Brak stałej armii zawodowej dał się wyraźnie odczuć również w Inflantach. Gdy pozbawiony korony szwedzkiej Zygmunt III ogłosił w 1600 roku włączenie Estonii do Rzeczypospolitej, sejm skwapliwie to przyjął. Nie uchwalono jednak w związku z tym żadnych podatków. Wojewoda wendeński Jerzy Farensbach planował wówczas przerzucić wojska do przychylnej Zygmunтови Finlandii, skąd można by się pokusić o wyprawę zbrojną na Szwecję i odzyskanie tronu. Cóż z tego, skoro wojewoda miał ledwo 4,5 tys. żołnierzy. W tym czasie stryj Zygmunta Karol Sudermański wylądował w Inflantach z 14-tys. armią i do jesieni opanował cały kraj, spychając Polaków i Litwinów nad Dźwinę. Dopiero wo-

bec tej klęski sejm na początku 1601 roku uchwalił podatki i podjęto działania zbrojne. Poprowadził je hetman wielki koronny Jan Zamoyski, który częściowo sfinansował je z własnej kieszeni. Król prosił o wsparcie nawet Prusaków – to nie może dziwić, skoro zaczęto wojnę, mając w arsenałach tylko dwa ciężkie działa na Litwie i 13 w Koronie.

PIENIĄDZ NERWEM WOJNY

Podczas wojen Zygmunta III doskonale widać niedomagania polskiej skarbowości. Podatki uchwalane każdorazowo na sejmie były z reguły niewystarczające i przychodziły za późno. Co więcej, podczas rokoszu sandomierskiego (1606–1609) król musiał się liczyć z brakiem gotówki na wojsko, zaciągał więc pożyczki. W wojsku rosło niezadowolenie. Żołnierze zawiązywali konfederacje i odmawiali służby, dopóki nie dostaną zaległego żołdu. Mimo zdecydowanej przewagi militarnej nad Szwedami nie udało się więc zakończyć zwycięsko wojny o Inflanty. Prowincję tę kilkakrotnie odbijano, to znów tracono, gdy brakowało żołnierzy do jej utrzymania.

Rzeczpospolita ostatecznie przegrała walkę o Inflanty po rozpoczęciu wojny z Moskwą w 1609 roku. Poszły na to pieniądze przeznaczone pierwotnie dla wojsk inflanckich. Mimo początkowych sukcesów (zajęcie Moskwy w 1610 i odzyskanie Smoleńska w 1611 roku) wojna się przeciągnęła, generując olbrzymie koszty. W roku 1612 nieopłaceni żołnierze zawiązywali kolejne konfederacje i spustoszyli znaczne połacie Rzeczypospolitej, sami wybierając sobie zapłatę. W tej sytuacji skuteczne działania na wschodzie były niemożliwe. W 1613 roku bezprecedensowo obradowały aż dwa sejmy, uchwalając wysokie podat-



⤴ Kapitulacja polskiej załogi na Kremlu, 1612 rok. Fot. archiwum „Mówią wieki”

ki. Ostatecznie samego żołdu wypłacono ponad 5 mln zł, a całość kosztów konfederacji łącznie ze szkodami poczynionymi przez żołnierzy szacuje się na 10 mln zł. Skutkiem były byłe jakiś rozejm w Inflantach oraz utrata stolicy państwa moskiewskiego. Wojnę z Moskwą zakończono dopiero po wielkiej wyprawie z lat 1617–1618, podczas której nie obyło się bez pomocy kozackiej.

W 1613 roku zrozpaczona szlachta zakazała królowi wszczynania wojen bez zgody sejmu. Niby sensownie, bo skoro sejm ma wojnę opłacać, to musi zawczasu o niej wiedzieć. W praktyce ta zasada nie pozwalała na prowadzenie aktywnej polityki zagranicznej. Zgodnie z nowymi przepisami wojnę udało się wypowiedzieć tylko dwa razy – Turkom w 1683 i Szwedom po sejmie lubelskim

w 1703 roku (choć ci byli już na terenie Rzeczypospolitej). W 1646 roku Władysław IV nie uzyskał zgody sejmu na wojnę z Osmanami i musiał rozpuścić zaciągnięte już wojska, na co wydał posag żony. Gdy próbował sprowokować wojnę rękami Kozaków, doprowadził do wybuchu ich powstania. Nie udało się też Janowi III zaatakować Prus Książęcych w dogodnym dla Polski momencie. Z kolei August II zaczął wojnę w Inflantach jako elektor saski, a skoro ponosił klęskę, mimowolnie sprowadził na Rzeczpospolitą niszczycielski najazd Szwedów Karola XII.

WIĘKSZA ARMIA, WIĘKSZE KOSZTY

Permanentne wojny obronne toczone przez Rzeczpospolitą od 1648 roku doprowadziły do zwiększenia liczby wojska. Od 1652 ro-

ku w państwie funkcjonowało tzw. wojsko komputowe. Komputo to liczba żołnierzy określana każdorazowo przez sejm, który przeznaczał podatki na ich utrzymanie i określał czas trwania służby (przy czym formalnie nadal istniało wojsko kwarciane). Żołnierze utrzymywali się z żołdu, który stopniowo rósł, a płacony był kwartalnie. Wynosił przykładowo dla husarza 41 zł w 1648 i 51 zł w 1654 roku. Żołnierz jazdy lekkiej brał odpowiednio 31 i 32 zł (lecz dopiero od 1677 roku). Ponadto wojsku przysługiwała hiberna, czyli utrzymanie w zimie w dobrach królewskich. Z czasem przekształcono ją w obowiązek płatniczy w wymiarze 20 zł od łanu, dzięki czemu od 1667 roku żołnierz otrzymywał hibernę w wysokości równej żołdowi. W praktyce, wobec zaległości z wypłatą żołdu,

hiberna bywała często jedynym pewnym dochodem żołnierza. Od czasu do czasu trafiały się donatywy – nagrody pieniężne, np. za wygraną kampanię. Osobny budżet miała artyleria. Osobno płacono też pensje hetmanom, wysokim urzędnikom wojskowym i Kozakom rejestrowym, pozostającym na żołdzie Rzeczypospolitej.

Wraz z rozbudową armii dla obrony kraju rosły koszty jej utrzymania. O ile w 1648 roku samego żołdu kwarcianym wypłacono niecałe 645 tys. zł, o tyle już rok później trzeba było wydać niemal 1,3 mln, a kampania berestecka kosztowała prawie 4,5 mln zł. W czasie największego natężenia walk ze Szwedami i Moskwą na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XVII wieku na sam żołd trzeba było przeznaczyć grubo ponad 5 mln zł. Podobnie było, gdy szykowano się na wojnę z Turcją w 1673 oraz po 1683 roku.

SKĄD BRAĆ PIENIĄDZE

Dochody państwa, których lwią część szła na utrzymanie wojska, dzieliły się na stałe (ordynaryjne) oraz ekstraordynaryjne. Do pierw-

szych należały m.in. kwarta, cła, dochody z mennicy, pogłówny żydowski, donatywa kupiecka (choć dwa ostatnie raczej w teorii, gdyż zwykle decydował o nich sejm). Wpływy nadzwyczajne to m.in. pożyczki, dotacje od papieża, opłaty za indygenaty i nobilitacje, grzywny z kar sądowych i wreszcie podatki. Te zależały od woli sejmu i były uchwalane w razie potrzeby. Nierzadko zdarzało się, że posłowie odmawiali podjęcia uchwały podatkowej, odsyłając tę sprawę do sejmiku. Co więcej, można było też przedstawić abjuraty – zaprzysiężone zeznania o szkodach, które zwalniały z zapłacenia podatku.

Do połowy XVII wieku na potrzeby wojska uchwalano najczęściej tzw. pobór łanowy. Obejmował on wszystkich, chociaż w nierównej wysokości. Podstawowa stawka wynosiła 15 gr (pół złotego) od łana. Tyle płacił m.in. szlachcic niemający poddanych. Od księży ściągano już 1 zł od osiadłości. Mieszczanie płacili tzw. szos w wysokości 1 zł (30 gr) od włóki. Sejm uchwalał przy tym pobór w wysokości podstawowej

bądź z wielokrotnionej. Przykładowo drugi sejm z 1613 roku dla spłacenia konfederatów uchwalił sześciokrotne łanowe. Sejmiki z kolei mogły ingerować w wysokość poboru.

W czasie kosztownej wojny ze Szwecją o ujście Wisły pierwszy sejm w 1629 roku uchwalił podymne, czyli podatek płacony od domostwa (dymu). W uniwersale poborowym określono jego wysokość, żądając w dużych miastach po 3 zł od większych kamienic i 2 zł od mniejszych, a w miasteczkach po 2 zł od kamienic i 15 gr od domków. Podymne musieli też zapłacić chłopci z dóbr szlacheckich. Spodziewano się uzyskać ponad 400 tys. zł – do budżetu wpłynęła połowa tej sumy.

Osobnym podatkiem, o którym warto wspomnieć, było czopowe (akcyza), płacone od wyrobu i wyszynku alkoholu. Uchwalone po raz pierwszy dla Prus Królewskich, na pierwszym sejmie w 1629 roku zostało doprecyzowane i rozciągnięte na cały kraj. W drugiej połowie XVII wieku przeszło w gestię samorządów szlacheckich. Taryfa czopowe-

✧ Epizod wojenny z XVII wieku, rycina według obrazu Franciszka Sypniewskiego. Fot. archiwum „Mówią wieki”



go określona przez sejm przewidywała wpływ ponad pół miliona złotych – a więc więcej niż z poddymnego. Faktycznie do 1631 roku zebrano niemal 500 tys. zł.

Najbardziej radykalnym podatkiem było pogłównne, płacone przez wszystkich mieszkańców. Zwykle ściągano je od Żydów w wysokości 1 zł od osoby. Żydzi płacili ryczałt, obniżając faktyczną sumę w zamian za szybką wypłatę. Pogłównne mogło być też wielokrotnione. Średnio przynosiło 20 tys. zł. Najwięcej z tego tytułu ściągnął Zygmunt III – 80 tys. zł.

W 1662 roku sejm uchwalił pogłównne generalne, aby spłacić skonfederowane wojsko. Stawki były zróżnicowane – biskupi np. płacili od 300 do 1800 zł (w zależności od zamożności diecezji), szeregowi księża po 10 zł. Od wojewodów ściągano po 300 zł, kasztelanów większych 150 zł, mniejszych 75 zł, szlachcic osiadły bez urzędu płacił 3 zł, szlachcic osiadły, ale bez poddanych, 2 zł i po 1 zł od żony i dzieci. Urzędnicy miejscy uiszczali po 10 zł, bogaci kupcy po 30 zł. Od chłopów ściągano po złotówce. Podatek ten przyniósł ponad 2,5 mln zł już w 1664 roku, a wpłacane jeszcze wiele lat później zaległości dały ok. 150 tys. zł. Po raz drugi uchwalono pogłównne na potrzeby wojny tureckiej w 1673 roku, uzyskując do 1676 roku ponad 2 mln zł.

Mimo dużych jednorazowych wpływów podatkowych Rzeczpospolita miała mały budżet. Tym większą wagę przykładano więc do wydatków. O ile dochody z dóbr królewskich na utrzymanie kwarcianych płynęły do skarbu w Rawie i były dysponowane przez podskarbiego, o tyle po 1652 roku zaczęto decentralizować najpierw system zbierania, a później również wydawania podatków. Wynikało to z niezadowolenia szlachty z wyników prowa-

dzonych wojen. Już za Zygmunta III skarżono się, że mimo wysokich podatków wojsko jest nieopłacone, a wojna się przeciąga. Z dyspozycji pieniędzmi za każdym razem rozliczał się podskarbi koronny na sejmie, przed specjalną komisją sejmową. Przedstawiał wykazy wpływów z podatków oraz wydatków. Ich zatwierdzenie było swoistym wotum zaufania zarówno dla podskarbiego, jak i króla.

KONTROLA WYDATKÓW I MINIMALIZACJA KOSZTÓW

System ten sprawdzał się jako tako, choć przysparzał niemało kłopotów zarówno podskarbiem, jak i hetmanom, domagającym się zawsze więcej pieniędzy, niż podskarbiowie mogli dać. Często trzeba było zaciągać pożyczki, a później tłumaczyć się z nich szlachcie. Brak pewności finansowej przekładał się również na sposób wojowania. Skoro hetman już miał wojsko i wiedział, że jest opłacone np. do końca bieżącego roku, starał się doprowadzić do decydującego zwycięstwa i zakończyć wojnę. Inaczej groził wariant inflacji – wojsko się rozchodziło, a wróg najeżdżał bezbronny kraj.

Wojny kozackie od 1648 roku mocno namieszały w systemie. Po pierwszych klęskach szlachta, która po latach pokoju była zamożna i nie szczydziła grosza na wojsko, była bardzo hojna. Miała w tym swój interes – zmierzano do szybkiej pacyfikacji Ukrainy i powrotu do normalności. Później panowie bracia uznali jednak, że trzeba bardziej kontrolować wydatki na wojsko. W 1652 roku postanowiono, że to poborcy wojewódzcy ściągający podatki, z których finansowano armię, będą wypłacać pieniądze na komisjach zwoływanych przez sejm w celu obliczenia należności dla żołnierzy. W 1667 roku wojsko podzielono pomiędzy poszczególne wo-

jewództwa i odsyłano deputatów żołnierskich wprost do skarbow wojewodzińskich, by tam odebrali żołd dla swoich oddziałów. Szlachta chciała mieć pełną kontrolę nad wydatkami wojskowymi. System ten utrwalił się, a w 1717 roku sejm niemy, uchwalając stały komput wojska, zarazem na stałe przyporządkował poszczególne oddziały do wskazanych województw i powiatów, z których miały odbierać żołd.

Podczas licznych wojen utrwaliła się wreszcie zasada minimalizacji kosztów wojskowych i przejęcia kontroli nad nimi przez samorządy szlacheckie. Zapewniło to szlachcie poczucie bezpieczeństwa, zarazem jednak uniemożliwiło Rzeczypospolitej aktywną politykę na arenie międzynarodowej. Zwiększenie liczby wojska na potrzeby ewentualnej wojny nadal bowiem leżało w gestii sejmu. Ten mógł być jednak łatwo zerwany za pieniądze i w interesie państw ościennych, toteż nie było mowy o powiększeniu armii. Przekonał się o tym August III w czasie wojen śląskich w latach czterdziestych XVIII wieku. Sami Polacy zaś już w 1733 roku przekonali się, że armia, jaką dysponuje Rzeczpospolita, nie może skutecznie obronić państwa – legalnie wybrany Stanisław Leszczyński został pokonany przez Rosjan i Sasów. Dopiero Sejm Wielki, emancypując się spod rosyjskiej kontroli, uchwalił zwiększenie armii do 100 tys. żołnierzy. Także wtedy trudności finansowe uniemożliwiły realizację tego planu, choć armię powiększono do 65 tys. żołnierzy. Był to jednak łąbędzi śpiew zagrożonej przez sąsiadów Rzeczypospolitej.

Dariusz Milewski, historyk, wykłada na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, redaktor „Mówią wieki”



ALBRECHT VON WALLENSTEIN

Bóg wojny trzydziestoletniej

PAWEŁ SKWORODA

Albrecht Václav Eusebius z Valdštejna był jednym z najwybitniejszych wodzów cesarskich w XVII wieku i chyba najbardziej znanym kondotierem epoki nowożytnej. Urodził się w rodzinie drobnej szlachty czeskiej. Później, aby ułatwić sobie karierę, zmienił wyznanie z protestanckiego na katolickie. Zaczął też pisać się z niemiecka: Albrecht Wenzel Eusebius von Wallenstein (von Waldestein).

Za panowania cesarza Rudolfa II Wallenstein służył na Węgrzech pod komendą Giorgio Basty. W 1606 lub 1609 roku ożenił się z bogatą wdową Lukrecją Nikossie von Landeck, a po jej śmierci odziedziczył majątek na Morawach. W 1617 roku podczas konfliktu z Wenecją wystawił oddział kawalerii, który walczył pod sztandarem arcyksięcia Styrii, późniejszego króla Czech i cesarza Ferdynanda II Habsburga. W 1623 roku Wallenstein ponownie się ożenił – tym razem jego wybranką była Izabela Katarzyna von Harrach, córka Karola von Harracha, cesarskiego ministra i członka Nadwornej Rady Wojennej.

Na polach bitew wojny trzydziestoletniej, która miała unieśmiertelnić jego imię, walczył od 1620 roku w stopniu pułkownika przeciwko protestantom, którzy zagarnęli jego majątki. Po bitwie pod Białą Górą (1620) nie tylko odzyskał włości, ale nawet je powiększył. Z pozyskanych ziem po wygnanych protestantach powstało księstwo Friedlandu, zwane tak od tytułu, który otrzymał Wallenstein za swoje przewagi na polach bitew w latach 1622–1625. Był wtedy jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Po ataku Duńczyków w 1625 roku zobowiązał się, wobec braku pieniędzy w cesarskim skarbie, do wystawienia armii na własny koszt w zamian za zysk z łupów i kontrybucji, które miały płacić protestanci miasta niemieckie.

KONDOTIER PRZEDSIĘBIORCA

Tu dotykamy sedna geniuszu naszego bohatera, który, cokolwiek by pisać o jego charakterze czy umiejętnościach taktycznych, zdecydował się prowadzić wojnę na skalę przemysłową, jako przedsięwzięcie gospodarcze. Majątki Wallensteina w Czechach stały się magazynem wojskowym, pełnym manufaktur wytwarzających broń i ubrania. Jednak najważniejszym warunkiem zwycięstwa w walce było wyżywienie armii – nie tylko coraz liczniejszej masy żołnierzy i koni, ale i podążających za nimi kobiet, dzieci i służby. Aby wyżywić, zaopatrzyć i przede wszystkim opłacić swoje wojsko, Wallenstein postanowił przenieść koszty działań na terytorium wroga.

« Albrecht von Wallenstein.
Fot. Wikimedia Commons



♠ Wallenstein: scena z wojny trzydziestoletniej, mal. Ernest Crofts. Fot. Bridgeman Art Library

Drobiazgowy aż do obsesji, pozyskał pieniądze m.in. od finansisty Hansa de Witte. Jednak aby mieć otwarty kredyt, musiał zorganizować sprawny system eksploatacji okupowanych terenów. Stworzył system kontrybucji, przejęty z czasem przez wszystkie armie walczące w Niemczech.

Do momentu powstania armii Wallensteina mieszkańcy sprzedawali wojsku żywność w zamian za kwity skarbowe. Tę praktykę zastąpiły żądania wykładania na wojsko sum w gotówce, która nie trafiała wprost do żołnierzy, ale szła do kasy armii. Dzięki temu zapewniono regularne wypłacanie żołdu, ograniczono rabunki i nadużycia dokonywane przez wojsko na własną rękę. Rzecz jasna, najwięcej stracili na tym mieszkańcy terenów, na których toczyła się wojna. Wysokość

kontrybucji systematycznie rosła, aż w końcu została podniesiona tak wysoko, że przeciwnicy Wallensteina nie bez racji mówili o rozboju dokonywanym za zgodą cesarza. Jednak w skali operacyjnej ten system uczynił armię niemal samowystarczalną i niemożliwe stało się jej odcięcie od źródeł zaopatrzenia.

Wallenstein doskonale rozumiał, że aby przetrwać, jego armia powinna pozostawać w ruchu tak długo jak się da, wybierając kontrybucje na wciąż nowych obszarach, które obejmowano w zarząd wojskowy. Aby zagwarantować materialne zaplecze, pojawili się w jej szeregach oficerowie sztabowi. Dalekie przemarsze i wielkie bitwy nie byłyby możliwe bez oficerów prowiantowych (prowiantmistrzów), dowódców taborów, komendantów żandarmerii polowej,

prokuratorów wojskowych, skarbników i przede wszystkim tzw. inkasentów, czyli oficerów odpowiedzialnych za ściąganie kontrybucji. W armii habsburskiej pojawili się także oficerowie nadzorujący przewodników, którzy musieli pochodzić z lokalnej ludności. Ich lojalność mogły zapewnić jedynie groźby i obietnice. Zresztą tę metodę Wallenstein stosował też wobec żołnierzy i oficerów.

WÓDZ

Niewysoki, o ziemistej cerze, chudy i zniekształcony przez gościec, chorujący na kiłę i podagrę, nie żałował złota tym, którzy walczyli pod jego sztandarami, bez litości jednak usuwał wszystkich, którzy podważali jego rozkazy czy próbowali z nim rywalizować. Wallenstein bezgranicznie wierzył astro-



⤴ Obóz wojskowy podczas wojny trzydziestoletniej, litografia z końca XIX wieku. Fot. AKG/East News

logom, był introwertykiem ulegającym wielu obsesjom. Pod tym względem był dzieckiem swojej epoki, ale dzieckiem genialnym; nie ryzykował bez powodu walki w otwartym polu i szukał raczej osłony umocnień. W ten sposób w 1626 roku pokonał przy moście w Dessau innego wielkiego kondotiera epoki Ernsta von Mansfelda. Następnie w 1627 roku zajął Śląsk i odkupił od cesarza księstwo za-gańskie. Pokonał też Duńczyków (razem z wodzem armii Ligi Katolickiej Johanem von Tillym), za co otrzymał tytuł księcia Meklemburgii i został mianowany generałem Morza Oceanicznego (Północnego) i Bałtyckiego. Jego majątek już w 1629 roku szacowano na 3 mln talarów. Nie udało mu się jednak zdobyć Stralsundu, gdzie wylądowały posiłki szwedzkie i duńskie.

W 1630 roku został odsunięty przez cesarza Ferdynanda II, który podejrzewał go o nadmierne ambicje. Obawiał się też, że zrujnowane przez kontrybucje ziemie utracą wartość dla Habsburgów. Wallensteinowi przybywało też wrogów na dworze cesarskim, a niemieccy książęta, troszczący się o własne skarbcze, nie kryli oburzenia z powodu wyzysku i nadmiernego luksusu, jakim się otaczał. Naczelną komendę wojsk cesarskich przejął Tilly, a Wallenstein osiadł we Friedlandzie. Tym samym skończył się też strumień pieniędzy dla wojska płynący z Czech i Meklemburgii. Jednak śmiertelna rana odniesiona przez Tilly'ego w bitwie nad rzeką Lech zmusiła cesarza do zmiany stanowiska. Już wiosną 1632 roku Wallenstein mógł poddyktować władcy swoje warun-

ki i wyruszyć w pole na czele odbudowanej armii jako generalissimus, szybko odbijając Pragę z rąk Sasów. Następnie zaatakował zaplecze armii szwedzkiej, doprowadzając do konfrontacji z Gustawem II Adolfem pod Norymbergą. Przez niemal dwa miesiące obaj wielcy rywale próbowali się wzajemnie zagłodzić, ostatecznie to szwedzki monarcha zaryzykował natarcie na zalesione umocnione wzgórza. Dobrze okopani żołnierze cesarscy utrzymali pozycje, co zmusiło Gustawa do opuszczenia obozu i wycofania się.

LÜTZEN

W kolejnych miesiącach obaj wodzowie układali plany, których realizacja miała – w ich mniemaniu – rozstrzygnąć losy wojny. Wallenstein zamierzał uderzyć na Sak-

sonię, by zniechęcić do sojuszu ze Szwecją elektora Jana Jerzego. Przy okazji zagroził szwedzkim liniom komunikacyjnym (przez Erfurt wiodły drogi nad Bałtyk) i zmusił Gustawa II Adolfa do działania. Szwedzki monarcha miał nadzieję na stoczenie bitwy w otwartym polu i zniszczenie armii cesarskiej. Ostatecznie Lew Północy zaskoczył Wallensteina, którego oddziały były rozproszone na znacznej przestrzeni. Jednak opór Rudolfa freiherra von Colloredo pozwolił Wallensteinowi zebrać znaczną część armii.

W związku z nasilającą się podagrą Wallensteina coraz większą rolę w jego armii odgrywał Duńczyk Heinrich Holk, zawodowy żołnierz, który po wycofaniu się Danii z wojny wstąpił do wojsk cesarskich. Jednooki doświadczony pułkownik, zdolny taktyk i administrator, szybko zwrócił uwagę Wallensteina, który awansował go do stopnia feldmarschall-leutnanta i powierzył dowodzenie lewym skrzydłem armii w nadchodzą-

cej batalii. Była to konieczność, gdyż osłabiony podagrą Wallenstein miał duże problemy z okiełznaniem ambicji feldmarsz. Gottfrieda Heinricha hrabiego zu Pappenheim. Tego odważnego aż do granic niesubordynacji oficera, walczącego od 1620 roku, obawiał się nawet sam szwedzki król. Pod Lützen walczył brawurowo, co kosztowało go życie. Sytuację na polu bitwy miał uratować Holk, który dwoił się i troił pośród cesarskich szeregów, rozkazem, groźbą i przykładem utrzymując żołnierzy w korbach. Po bitwie został mianowany feldmarszałkiem. Należy też wymienić wysoko cenionych w armii cesarskiej oficerów włoskich Ottavio Piccolominiego (pod Lützen pięć razy ranny, szarżował dziesięć razy) i wspomnianego już Rudolfa von Colloredo.

Obok Gustawa II Adolfa na polu bitwy znajdujemy młodego Bernharda Weimarskiego (księcia Sachsen-Weimar), uważanego za jednego z najdzielniejszych

niemieckich wodzów tej wojny. Miał za sobą służbę w armii protestanckiej i duńskiej oraz studia w Niderlandach. Walczył też pod sztandarami Hesji i w końcu trafił na służbę szwedzką. Odważny i pełen entuzjazmu, był ulubieńcem niemieckich żołnierzy Lwa Północy, a jego armia ostatecznie przeszła na służbę francuską. Przeciwwagą dla niego był generał major armii szwedzkiej Dodo von Innhausen und zu Knyphausen, zawodowy wojskowy, który doradzał Gustawowi Adolfowi ostrożność przy toczeniu bitew w otwartym polu. Miał za sobą służbę holenderską, protestancką (dostał się do niewoli podczas bitwy o most w Dessau), angielską (podczas ekspedycji do La Rochelle) i szwedzką. Świadek wielu porażek protestantów, nie zawiódł ich sprawy w krytycznej chwili. Pod Lützen to właśnie on miał tonować zachowania innych oficerów i dowodzić przez niemal dwie godziny w krytycznej fazie bitwy po śmierci Lwa Północy.

✚ **Bitwa pod Lützen, jedna z największych batalii wojny trzydziestoletniej. Wallenstein dowodził wtedy wojskami Ligi Katolickiej. Fot. Bridgeman Art Library**



Śmierć szwedzkiego monarchy pokazuje, że na ówczesnym polu bitwy dowódca często angażowali się w walkę lub dowodzili z niewielkiego dystansu, aby zapanować nad wojskiem. Z kolei spośród oficerów niższych szarż należy wskazać na cenionych w armii szwedzkiej Szkotów i Anglików. Możemy tu wymienić szkockiego kapitana Henry'ego Lindsaya of Bainshow, który podczas szwedzkiego ataku na cesarskie centrum został ciężko ranny, czy angielskiego kapitana George'a Fleetwooda, który miał zatrzymać uciekających z pola bitwy szwedzkich piechurów. Widać wyraźnie, że w obu armiach ceniono doświadczonych weteranów wielu narodowości.

Cesarskie oddziały składały się z doświadczonych żołnierzy różnorodnego pochodzenia. Byli wśród nich Austriacy, Czesi, Włosi, Węgrzy, Polacy i Chorwaci (regimenty Walonów przybyły o zmroku). Cesarska piechota stanęła w batalionach, posługiwała się artylerią regimentową i ści-

Wallenstein był zaskoczony, ale uczynił wszystko, aby jego oddziały zajęły mocne pozycje obronne, wspierane ogniem baterii ciężkich dział. Na jego rozkaz rowy odważniające zamieniono w okopy, artylerię skupiono na niskim wzgórzu, a w glinianych murkach dzielących ogrody wokół Lützen wybito strzelnice dla muszkieterów. Najwyraźniej cesarski wódz zamierzał wykrwawić atakujących Szwedów, co niemal mu się udało. Nie mając sił do obrony samego miasta, kazał je podpalić, i to raczej dym z miasta niż poranna mgła miał wywołać zamieszanie w szwedzkich szeregach. Podczas bitwy Wallenstein przemieszczał się konno, będąc tam, gdzie nakazywała sytuacja. Dwukrotnie otarł się o śmierć: najpierw kula muszkietowa uderzyła go w lewe udo, potem heski jeździec chybił z zaledwie czterech kroków. Kiedy o zmroku Bernhard Weimarski zdobył cesarską baterię na wzgórzu, bitwę przerwano. Wallenstein podjął wtedy kontrowersyjną decyzję o odwołaniu, wskutek czego Szwedzi i protestanci mogli

UPADEK

W 1633 roku Wallenstein miał dużo mniejszy zapal do walki. Być może dawały o sobie znać choroby, a może ambicje polityczne. Uważając edykt restytucyjny Ferdynanda II z 1629 roku (nakazywał zwrot Kościołowi katolickiemu posiadłości sekularyzowanych po 1552 roku) za błędny, zamierzał się porozumieć z niemieckimi protestantami, a nawet Szwecją i Francją, aby zmusić cesarza do zawarcia pokoju. Jego propozycje nie zostały przyjęte, więc ponownie podjął walkę i pokonał Sasów pod komendą Heinricha Matthiassa von Thurna pod Steinau (1633). Zimą spędzał z armią w Czechach, w okolicach Pilzna. Był pewny poparcia żołnierzy i zlekceważył fakt, że cesarz starał się go odsunąć od komendy. Dopiero kiedy postawiono mu zarzut zdrady stanu, udał się do Chebu. Tam został zamordowany przez kilku oficerów wiernych cesarzowi, działających prawdopodobnie na jego osobisty rozkaz.

W ten sposób zszedł ze sceny ostatni z wielkich kondotierów, człowiek, któremu historycy przypisali wielkie ambicje polityczne. Wskazywano zarówno na jego chęć zdobycia korony św. Wacława, jak i idealistyczne podejście do idei Rzeszy Niemieckiej, którą chciał zachować w dotychczasowym kształcie i uwolnić od obecności obcych armii. Choć Wallenstein jest wciąż postacią kontrowersyjną, nikt nie neguje jego zdolności administracyjnych i logistycznych, dzięki którym wystawił wielkie armie funkcjonujące skutecznie w myśl zasady „wojna sama się wyżywi”.

Paweł Skworoda, historyk wojskowości, znawca nowożytnych dziejów Europy

Pewny poparcia żołnierzy, Wallenstein zlekceważył fakt, że cesarz starał się go odsunąć od komendy. Został zamordowany przez kilku oficerów, prawdopodobnie na jego rozkaz

śle współpracowała z kawalerią, która stanęła nie tylko na skrzydłach, ale i pomiędzy jednostkami piechoty w centrum szyku. W toku bitwy związaną walką od czoła tzw. starą brygadę niebieską, elitarną jednostkę weteranów Gustawa Adolfa, zniszczyli cesarscy kirasjerzy. Także szwedzka tzw. stara brygada żółta poniosła ogromne straty. W konsekwencji Szwedzi zaczęli przywiązywać większą niż dotąd wagę do współdziałania ze swoją kawalerią.

ogłosić zwycięstwo. Być może obawiał się, że jego armia ulegnie na skutek strat rozkładowi, może bał się też o własne życie. A może po prostu zabrakło mu wiary w zwycięstwo w bitwie zaczepnej, którą powinien stoczyć kolejnego dnia. Po zakończonej kampanii nagroził i awansował wielu żołnierzy i oficerów, nie zawahał się jednak skazać na śmierć tych, którzy uciekli z pola walki, piętnując ich postawę poprzez publiczną egzekucję na praskim rynku.



FOSSA EUGENIANA

Odwracanie biegu rzek nie jest produktem Stalinowskiej manii wielkości. Już najstarsze cywilizacje zawdzięczały swe istnienie modyfikacji warunków hydrograficznych. Inżynieria wodna nieobca była też średniowiecznym Europejczykom, a jej prawdziwymi mistrzami byli Włosi i Flandryjczycy.

Jeden z wielkich inżynierów wodnych tej epoki Leonardo da Vinci opracował w 1504 roku plan zmiany biegu rzeki Arno. Chciano w ten sposób zmusić do kapitulacji Pizę, która broniła się przed Florentyńczykami. Budowę rozpoczęto, ale ostatecznie zamysłu nie zrealizowano.

Znacznie większe konsekwencje polityczne i gospodarcze miałyby później o 125 lat projekt odwrócenia biegu Renu i skierowania go w koryto Mozy, przez co zbuntowane przeciw Hiszpanom Niderlandy utraciłyby kluczową arterię handlową i zarazem osłonę południowo-wschodniego skrzydła swej obrony przed hiszpańską Armią Flandrii. Cały handel z niemieckim zapleczem położonym w dorzeczu Renu miałby odtąd iść przez Niderlandy hiszpańskie. Inną konsekwencją tego planu byłoby zalanie miasta Dordrecht leżącego u zbiegu Mozy i stanowiącej jedno z ramion ujściowych Renu rzeki Waal.

Na ambitny pomysł wpadł Jan van den Wouvere, który w 1621 roku kierował modernizacją portu w Dunkierce. Wowerius, jak brzmiało jego zlatynizowane nazwisko, był antwerpczykiem, członkiem rady miejskiej, wy-

bitnym humanistą, przyjacielem Rubensa i wpływowym dworzaninem Izabeli Klary Eugonii, córki Filipa II, od 1621 roku pełniącej urząd namiestniczki hiszpańskich Niderlandów. Właśnie w tym roku na nowo rozgorzała wojna przeciw zbuntowanym prowincjom Niderlandów Północnych. Cztery lata później padła Breda. Choć poddanie przez Holendrów tej pogranicznej twierdzy Hiszpanie uznali za sukces, to zdawano sobie przecież sprawę, że wojna ma charakter pozycyjny i może potrwać nawet kilkadziesiąt lat. Zapewne dlatego namalowani przez Diego Velázqueza hiszpańscy żołnierze wcale nie mają radośnych min. Zakończenie wojny mogło przyspieszyć tylko zadanie mocnego ciosu w gospodarkę buntowników.

Decyzja o realizacji planu zapadła w 1626 roku. W czerwcu Wowerius wraz z naczelnym inżynie-

rem Armii Flandrii Giovannim Medyceuszem, markizem di Sant Angelo oraz licznymi inżynierami rozpoczął prace nad wytyczeniem nowych szlaków wodnych. Na początku zamierzano przekopać kanał od nadreńskiego Rheinbergu przez Geldern do Venlo nad Mozą. Miał mieć długość 60 km, szerokości 25 m, głębokości 1,5 m, kosztować ok. 500 tys. złotych florenów i być jedynie wstępem do wielkiego planu zmiany biegu rzeki.

21 września 1626 roku hiszpański namiestnik Geldrii hrabia Hendrik van den Berg uroczyście zainaugurował rozpoczęcie prac w pobliżu rheinberskiej fortecy. Przyglądało się temu kilka tysięcy osób, w tym dygnitarze, robotnicy i liczni żołnierze mający strzec bezpieczeństwa pracujących przed ewentualnym holenderskim atakiem. Cztery dni później Stany Generalne Zjednoczonych Prowincji Niderlandów upoważniły swego namiestnika księ-

cia Fryderyka Henryka do podjęcia wszelkich starań, jakie uzna za konieczne do powstrzymania nieprzyjacielskiego zamiaru zmiany biegu Renu. Odtąd przebiegowi prac przyglądały się z niewielkiego oddalenia dwie wielotysięczne armie. Prace szły szybko, a w pobliżu kanału Hiszpanie wznosili także strażnice wojskowe. Czasem dochodziło do drobnych starć zbrojnych. Do połowy listopada 1626 roku kanał na odcinku od Rheinbergu do Geldern był niemal gotowy, choć na razie osiągnął jedynie połowę planowanej szerokości. W zimie tempo prac osłabło z powodu przymrozków, a wiosną z powodu braku środków finansowych. Poprzestano jedynie na wydaniu pięknej mapy pokazującej przebieg kanału i zmianie nazwy z Fossa Eugenia-

na na lepiej brzmiącą Fossa sanctae Mariae. Mapa była jednak bardziej wytworem propagandy niż opisem rzeczywistości.

Przyczyną zatrzymania prac nad budową kanału, nie mówiąc już o zamiarach odwrócenia biegu rzeki, były kłopoty finansowe, a sytuacja, zamiast się poprawiać, ulegała pogorszeniu. Rozpoczęta w 1628 roku hiszpańsko-francuska wojna o Mantuę oraz zagarnięcie niemal całej hiszpańskiej srebrnej floty u wybrzeży kubańskich przez eskadrę holenderską dowodzoną przez adm. Pieta Heina nie zapowiadały korzystnego finału ambitnego projektu. Kiedy Hiszpanie musieli przerzucić środki między różnymi placami boju, Holendrzy mogli za hiszpańskie srebro zaciągać najemników. Kanał pozostaje niedokończony

jedynie z powodu braku środków, które zostały wydane w innych miejscach, tak więc z powodu wojen we Włoszech i w Niemczech jesteśmy tu bez pieniędzy – pisał w lecie 1628 roku w liście do znajomego przyjaciela Woweriusa i entuzjasta projektu Peter Paul Rubens. Rok później Holendrzy podeszli pod Rheinsberg, a w 1632 roku ostatecznie pogrzebali wszelkie hiszpańskie plany, zajmując dolinę Mozy, w tym Venlo i Maastricht.

To właśnie dlatego namalowani przez Velázqueza w 1635 roku żołnierze na obrazie *Poddanie Bredy* mają takie smutne miny. Sławny obraz i sławny las pik był już tylko pokrzepieniem serc, zaledwie wspomnieniem wielkich nadziei rozpalonych w połowie lat dwudziestych XVII wieku.

Od redakcji



KOŃ JAKI JEST, KAŻDY WIDZI

Hodowla wierzchowców w Rzeczypospolitej w XVI i XVII wieku

KAROL ŻOJDŹ

W armii państwa polsko-litewskiego kawaleria grała główną rolę, toteż zapotrzebowanie na konie było bardzo duże. Nic zatem dziwnego, że hodowla koni w Rzeczypospolitej miała niebagatelne znaczenie.

Ksiądz Benedykt Chmielowski, autor jednej z najstarszych polskich encyklopedii, wydanych po raz pierwszy w 1745 roku *Nowych Aten*, pod hasłem „koń” miał w niej zapisać, że jaki jest, to każdy widzi. Anegdota zabawna, lecz nieprawdziwa. Hasło było znacznie dłuższe i, co równie istotne, kompozycyjnie nie odbiegało od pozostałych. Chmielowski przytoczył wiele anegdot na temat wierzchowców słynnych postaci historycznych, ale punkt wyjścia stanowiło wyliczenie rodzajów koni. W połowie XVIII wieku w Polsce rozróżniano m.in. konie angielskie, anatolijskie, tureckie, hiszpańskie, arabskie, perskie czy neapolitańskie. O obfitości typów hodowanych zwierząt świadczą również inne określenia, tworzone nie tylko według klucza pochodzenia, ale też

dla opisanie ich kształtu czy masy. Najmniejsze konie nazywano: konikami, parepami, mierzynami. Roślejsze – dylongami, dryblasami, bucefałami. Samice – kłaczkami, kobyłami, świerzopami, zdolnych do rozrodu samców – ogierami, stadnikami, źrebcami, a wykastrowane okazy wałachami lub wałaszczkami. W obiegu były także określenia odnoszące się do sposobu użytkowania zwierzęcia. Do czego innego i komu innemu służyły bowiem konie jezdne, bojowe, karetno, rozstawne, robocze.

Duża ilość nazw (wymieniono ledwie kilka z nich) to jedno. Tego, że hodowla koni miała w dawnej Rzeczypospolitej ogromne znaczenie, dowodzi emocjonalny stosunek wielu właścicieli do swoich wierzchowców. Jest on wyraźny w staropolskiej literaturze, że wspomnę tylko twórczość Jana Ko-

chanowskiego (*Nagrobek koniowi*) czy wzruszające epitafium poświęcone dereszowi Jana Chryzostoma Paska. Najdobitniej o rozwoju teorii z zakresu wychowu, szkolenia i leczenia koni oraz o zapotrzebowaniu na tę wiedzę w szerszych kręgach świadczą jednak ówczesne publikacje fachowe. Spośród polskojęzycznych podręczników należy wymienić zaginione dzieło Adama Micińskiego (*O świerzopach i ograbach*) oraz prace Krzysztofa Moniwida Dorohostajskiego (*Hippika to jest o koniach księgi*, Kraków 1603) i Krzysztofa Pieniążka (*Hippika albo sposób poznania, chowania i stanowienia koni*, Kraków 1607). Dobre wierzchowce miały szczególne znaczenie na wojnie, bowiem od wyszkolenia żołnierzy i dosiadanych przez nich zwierząt zależało życie i zdrowie jeźdźców oraz wynik walki.



⤴ Hetman Jan Karol Chodkiewicz z husarią, mal. Wojciech Kossak.
W XVI i XVII wieku kawaleria odgrywała główną rolę w armii
Rzeczypospolitej, dlatego zapotrzebowanie na konie było duże.
Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

**STAROPOLSKA
SZTUKA WOJENNA
A UPRZYWILEJOWANA
ROLA JAZDY**

Przez cały XVI i XVII wiek w armii koronnej i litewskiej jazda odgrywała pierwszoplanową rolę, co wynikało ze specyfiki teatru działań wojennych, zasad staropolskiej sztuki wojennej oraz charakterystyki wroga. Walkę prowadzono przeważnie na rozległych i słabo zurbanizowanych południowo-wschodnich peryferiach Rzeczypospolitej, gdzie najczęstszym przeciwnikiem byli Tatarzy, nastawieni na dokonanie grabieży, zebranie jasyru i ucieczkę. Przeciwstawić im się mogły siły zdolne do szybkiego operowania w terenie. Ze zrozumiałych przyczyn naj-

piej nadawała się do tego jazda, lecz nawet w starciach ze Szwedami i Moskwą, na obszarach bardziej nasyconych umocnionymi punktami, dominacja kawalerii po stronie polsko-litewskiej była zauważalna. Rzecz jasna, stosunek ilościowy jazdy do piechoty bywał różny, wyraźna jest jednak pewna prawidłowość. Jeszcze w połowie XVI wieku proporcje wynosiły 3:1 na korzyść jazdy. Podczas kampanii batoriańskich ten stosunek zmniejszył się do 2:1, a w XVII wieku szybko się wyrównał. W drugiej połowie stulecia kawaleria stanowiła przeważnie ok. 50 proc. całości sił polsko-litewskich, co wyraźnie odróżniało je od armii zachodnioeuropejskich, w których piechota była kilkukrotnie liczniejsza.

Nie oznacza to jednak, że w XVII wieku zmniejszyło się zapotrzebowanie wojska na konie. Aby skutecznie prowadzić działania wojenne, należało zapewnić armii właściwe zaopatrzenie, do czego niezbędne były konie pociągowe i wozy. Do przewozu żywności dla garnizonów oraz aparatu wojennego hetmani często wynajmowali prywatnych przedsiębiorców – furmanów, co stanowiło poważny wydatek. Ponadto państwo miało coraz większe potrzeby. W 1659 roku liczebność wojsk koronnych i litewskich osiągnęła rekordowe 60 tys. stawek żołdu. Zatem mimo wyrównania stosunku jazdy do piechoty w XVII wieku żołnierze tej pierwszej formacji wciąż potrzebowali wielu wyszkolonych wierzchowców, zwłaszcza że każ-



⤴ Tresowanie koni, ilustracja z traktatu Krzysztofa Dorohostajskiego *Hippika to jest o koniach księgi*.
Fot. polona.pl

dy jeździec powinien dysponować co najmniej dwoma lub trzema rumakami bojowymi.

KTO I GDZIE HODOWAŁ KONIE W PAŃSTWIE POLSKO-LITEWSKIM

Największe stadniny dawnej Rzeczypospolitej znajdowały się na Wołyniu, Podolu i Rusi. Nie brakowało ich również w Małopolsce i na Podlasiu. W relacji z 1568 roku nuncjusz Giulio Ruggieri zachwalał hodowane na tych obszarach zwierzęta jako dzielne, rosłe i wyjątkowo piękne, chociaż nie tak rączne jak tureckie. Przeciwwstawiał je także koniom z Wielkiego Księstwa Litewskiego, które miały być mniejsze i słabsze. Nie sądzę, by litewscy hodowcy wyraźnie ustępowali pod względem umiejętności swoim kolegom z Korony. Zaobserwowane przez Włocha różnice były prędeż konsekwencją odmiennych warunków naturalnych.

Ze względu na duże zapotrzebowanie na konie, przede wszystkim ze strony wojska, hodowla tych zwierząt miała dla państwa strategiczne znaczenie. Dowodzą tego zakazy ich wywozu za granicę, ogłaszane m.in. w latach 1538, 1550 czy 1647. Pozwala to przypuszczać, że nie zawsze odnosiły pożądaną skuteczną, tym bardziej że w grę wchodziły poważne pieniądze. Hodowla była zajęciem intratnym, ale raczej nie zajmowali się nią na szerszą skalę przedstawiciele średniozamożnej i uboższej szlachty. Milczy na ten temat Anzelm Gostomski w swoim *Gospodarstwie*, skierowanym przede wszystkim do przedstawicieli tej warstwy uprzywilejowanego stanu. Ponadto aby odnosić w tej dziedzinie sukcesy, trzeba było dysponować znacznymi środkami finansowymi oraz odpowiednią infrastrukturą pozwalającą na utrzymanie stada. Przeciętny szlachcic mógł oczywiście

zaspokajać zapotrzebowanie własne i najbliższego sąsiedztwa na wierzchowce, ale niewiele ponadto. Znane są zamożniejsze rodziny szlacheckie, które realizowały się na tym polu. Renomą cieszyły się stadniny m.in. Aksaków i Rozwadowskich – rodziny pielęgnujących także żołnierską tradycję. Nie ulega jednak wątpliwości, że największe były hodowle w latyfundiach magnackich oraz w dobrach należących do monarchy. Szacuje się, że w połowie lat sześćdziesiątych XVI wieku stada Zygmunta Augusta liczyły 3 tys. koni. Największe były te w okolicach Knyszyna i Medyki. W tym drugim przypadku w pobliżu miasta znajdowały się trzy pastwiska, a powinność opieki nad zwierzętami spoczywała na kmieciach z wsi Torki.

Władcy utrzymywali liczny, profesjonalny personel stajenny. Z ordynacji dworu Zygmunta III z 1589 roku wynika, że król opłacał obrocznego, czterech kowali, 69 wóźniców oraz 31 masztalerzy. Zakres obowiązków tych ostatnich był dosyć szeroki, obejmował m.in. podjeżdżanie, pielęgnację, a nawet leczenie chorych zwierząt. Najwyżej na liście płac w królewskiej stajni byli jednak kawalkatorzy, zawodowi trenerzy i ujeżdżacze, uchodzący za wybornych znawców koni. W tym czasie Zygmunt III korzystał z usług Gaspara Maisnera oraz Klearcha Maffona. Obaj pobierali jurgielt i strawne w wysokości 226 zł. Dla porównania – nadworny teolog ks. Piotr Skarga otrzymywał 200 zł jurgieltu.

Atrakcyjne wynagrodzenie kawalkatorów szło w parze z przekonaniem o braku dobrych specjalistów w kraju. Przywoływany nuncjusz Ruggieri, który nie mógł się nachwalić polskich koni, bardzo krytycznie oceniał umiejętności jeździeckie szlachty oraz kwalifikacje miejscowych ujeżdżaczy.

Za najlepszych uchodzili Włosi, w szczególności ci z Neapolu, ale nie było ich wielu w Rzeczypospolitej. Zazwyczaj zatrudniali ich władcy i najmożniejsi panowie, np. Stanisław Lubomirski.

RODZAJE HODOWLI ORAZ PRZEBIEG SZKOLENIA

Rozróżniano kilka metod wychowu koni. Dziki polegał na ograniczeniu ingerencji człowieka do minimum. W tym przypadku stać do cały rok przebywało pod gołym niebem. Zgodnie z modelem polowym latem konie pozostawiano na pastwiskach, a do stajni spędzano je dopiero na zimę. Ostatnią metodą był wychów stajenny, popularny zwłaszcza w gęściej zaludnionych, centralnych województwach Korony. W tym wariancie zwierzęta noce spędzały w zamknięciu. Na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, gdzie były pomyślne warunki do hodowli, najpopularniejsza była druga metoda. Za jej przyjęciem przemawiało kilka argumentów, ale kluczowe znaczenie miało to, że umożliwiało rozpoznanie związków pokrewieństwa pomiędzy zwierzętami (np. ciężarne klacze odłączano od reszty stada) oraz utrzymanie nad nimi straży. Zagrożenie ze strony koniokradów było poważne, czego dowodem zwyczaj piętnowania zwierząt oraz surowe kary dla złodziei, przewidziane chociażby w III Statucie litewskim.

W literaturze wiele miejsca poświęcono warunkom, jakie należało stworzyć koniom. Zdaniem ówczesnych autorytetów stajnia powinna być przestronna, należycie ocieplona i oświetlona. Wyodrębnione prostokątne boksy wymagały wyposażenia w żłoby, drabiny i zaczepy, do których można było przywiązać zwierzę cugłami. Niezbędne było również osobne pomieszczenie gospodarcze do skła-

dowania siodła, munsztuków, akcesoriów maszталerskich, łopat, wiader oraz innych sprzętów potrzebnych do zadbania o porządek.

Hodowcy bardzo uważnie do bierali reproduktora, wtedy zwanego stadnikiem, który przekazałby potomstwu pożądany zestaw cech. Co ciekawe (i typowe dla epoki), charakter zwierzęcia wiązano z jego umaszczeniem. Zwracono też uwagę na predyspozycje psychiczne, stan zdrowia, proporcje budowy, wreszcie wiek stadnika, rozpoznawany po stanie uzębienia. Zdecydowanie mniej uwagi poświęcano klaczom, selekcjonowanym spośród tych dobrze zbudowanych. Za najlepszy czas na reprodukcję uchodził marzec lub kwiecień. Ogiera dopuszczano wówczas do odłączonej od stadu klaczy.

Zdaniem współczesnych ekspertów nie sposób stwierdzić, że w XVI–XVII wieku hodowano w Rzeczypospolitej czystej krwi konie arabskie. Te sprowadzone ze Wschodu, czy to w formie zakupów, czy łupów wojennych, przeważnie służyły do uszlachetnienia miejscowych, bardzo różnorodnych, typów. Krzyżowano również konie azjatyckie z europejskimi. Na dobrą sprawę w Polsce można mówić o rasach koni dopiero od lat siedemdziesiątych XX wieku. W szesnasto- i siedemnastowiecznych stadninach panowała pod tym względem dość duża różnorodność, co zresztą bywało odnotowywane. Jeszcze w XVIII wieku polski przyrodnik ks. Jan Kluk podkreślał wielką różnorodność typów, form i charakterów polskich koni.

Pośrednio dowodzą tego nawet listy przypowiednie, w których bardzo ogólnie wskazywano, że towarzysze powinni mieć konie dobre. Nie ulega wątpliwości, że na potrzeby wojenne preferowano ogiery, nie za młode, ale też nie w podeszłym wieku. Solid-

ny wierzchowiec musiał być wytrzymały, szybki i zwrotny. Pożądane umiejętności zdobywano podczas długiej tresury. Trzyletnie źrebięta, już wcześniej otoczone należytą opieką, zaczynano powoli przyzwyczajać do siodła i kielzna. Oswajano je z hałasem poprzez trąbienie, strzelanie czy bicie w bębny, tak by później nie spłoszyły się w bitewnym zgiełku.

W pierwszej kolejności przyszły rumak bojowy był przyuczany do jazdy stępem, kłusem oraz nagłego zatrzymywania się, co było cenną umiejętnością na polu walki, podobnie jak obrócenie się w miejscu i przystąpienie do odwrotu. Nauka zawracania wymagała regularnego treningu, który zazwyczaj rozpoczynano od wytyczenia dwóch okręgów połączonych ok. 30-metrową ścieżką. Początkowo były one duże, lecz z czasem zmniejszono ich średnicę do 3 m. Podczas ćwiczenia zwierzęta kursujące pomiędzy okręgami nie mogły przekroczyć ich granic. Zmianie ulegało także samo tempo. Celem treningu było wypracowanie u wierzchowca umiejętności zawracania, tak by przystępował do manewru w pełnym galopie. Konie odbywały również ćwiczenia zespołowe, by w przyszłości nie było problemu z zachowaniem szyku.

KOŃ NA POLU WALKI

Zarówno w XVI, jak i w XVII wieku jazda koronna i litewska stosowała płytki szyk, co oznaczało, że po zawarciu z przeciwnikiem należało się przygotować do kolejnego rzutu. W ciężkich warunkach, w starciu z liczniejszym nieprzyjacielem, chorągwie musiały być gotowe do ponawiania szarż. Zdaniem pamiętnikarza i żołnierza Samuela Maskiewicza pod Kłuszynem niektóre rotę ruszały na wroga aż dziesięciokrotnie, co z pewnością było wycieńczające

i przynosiło straty pośród towarzysza i pocztowych, ale przede wszystkim zwierząt. Źródła z epoki obfitują we wzmianki na temat rannych i zabitych koni, co często wykluczało z walki pocztę pojedynczych towarzyszy. W skrajnych przypadkach straty uniemożliwiały prowadzenie dalszych działań wojennych lub prowadziły do rozwiązania jednostki. Zachowały się także rejestry ponoszonych przez wojsko szkód, stanowiące podstawę do wypłaty żołnierzom gratyfikacji. W XVI stuleciu miały one jeszcze charakter systemowy, w kolejnym były już rzadsze i bardziej uznaniowe. Zazwyczaj zresztą wskazywano dość ogólnie, jak po zdobyciu Sokoła na koniec kampanii połockiej 1579 roku, kto zginął, a kogo raniło. W tym przypadku na czterech martwych i 20 rannych żołnierzy przypadło 26 zabitych i 31 rannych koni.

Wojsko ponosiło straty w wierzchowcach nie tylko w wyniku walki z nieprzyjacielem. Dużo groźniejsze okazywały się choroby oraz braki w zaopatrzeniu. Głównym pożywieniem koni były siano i owies, lecz w warunkach bojowych często za jedyną paszę musiały im wystarczyć trawa, liście i kora drzew. W 1676 roku w oblężonym przez Turków obozie wojsk koronnych pod Żórawnem, gdy zabrakło i tego, część towarzysza, wyłączając dobrze zaopatrzoną starszą, wolała przepędzić swoje zwierzęta poza wały, niż przyglądać się, jak umierają z głodu. Była to jednak ekstremalna sytuacja, a wierzchowce hodowane na potrzeby polskiej kawalerii były odporne na trudy wojenne.

WYZNACZNIK STATUSU

W Rzeczypospolitej zaopatrywano się w konie na targach i jarmarkach. Największe organizowano w Lublinie, Toruniu i War-



⤴ Kawalkator, czyli zawodowy trener i ujeżdżacz koni. Za najlepszych kawalkatorów uważano Włochów, jednak ich wynagrodzenie było bardzo wysokie, dlatego z ich usług mogli korzystać tylko najbogatsi. Fot. Wikimedia Commons

szawie, ale nie brakowało również wydarzeń o charakterze lokalnym. Na początku XVII wieku koszt wybornego, tresowanego wierzchowca oscylował w okolicach 50 zł, cena zwykłego konia do użytku bojowego wahała się od 10 do 20 zł. Dla porównania żołąd towarzysza husarskiego na początku stulecia wynosił ok. 15 zł na konia kwartalnie, a wpływy z podatku łanowego z całej Litwy szacuje się na 100 tys. zł. Naturalnie rozpiętość cen wierzchowców była dużo większa. Po niektóre zwierzęta specjalnie posyłano na Wschód, m.in. do Konstantynopola, ale na takie zakupy mogło sobie pozwolić niewiele, z królem na czele.

Wierzchowce zmieniały właścicieli nie tylko w drodze handlu czy grabieży. Pośród elit istniał zwyczaj przekazywania cennych koni w prezencie, tak by olśnić, uczynić sobie powolnym lub nale-

życie wynagrodzić obdarowanego. Do ciekawej sytuacji doszło podczas pogrzebu Jana Karola Chodkiewicza w Ostrogu. Wdowa po hetmanie zdecydowała się wówczas na rozdanie koni nieboszczyka szczególnie zasłużonym przyjaciółom. Dwa wierzchowce miał m.in. otrzymać wojewoda trocki Aleksander Chodkiewicz, jednego z nich wyceniano aż na 3 tys. zł, a bogato zdobione siodło na 12 tys. zł. Naturalnie był to przypadek skrajny, ale tak cenne zwierzę musiało być wyjątkowej urody, co dla możnego właściciela stanowiło dodatkową sposobność do zmanifestowania swojej pozycji społecznej.

EPILOG

Wzrost pogłowia koni w Rzeczypospolitej był wyraźny w XVI wieku, lecz już w kolejnym stuleciu, a zwłaszcza w jego drugiej

połowie, nastąpił spadek liczby tych zwierząt, związany z regresem w rolnictwie, zniszczeniami wojennymi oraz tymczasową utratą kontroli nad obszarami, z których na ogół dostarczano wierzchowce dla jazdy. Hodowla zaczęła się rozwijać dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, ale już w innym układzie sił w regionie. Co prawda polskie stadniny utrzymały pozycję ważnego dostawcy dla armii, lecz były to już obce armie, m.in. pruska. Po 1795 roku tradycje hodowlane koni wierzchowych były kontynuowane we wszystkich zaborach. Do najbardziej znanych należały ośrodki w Janowie Podlaskim i Sierakowie, założone odpowiednio w 1817 i 1829 roku.

Karol Żojdź, historyk, pracuje w Instytucie Etnologii i Archeologii Polskiej Akademii Nauk

KTO NA MORZU RZĄDZI, rządzi całym światem

ANNA PASTOREK

Trzy kolejne wojny angielsko-holenderskie toczone w latach 1652–1654, 1665–1667 i 1672–1674 mimo różnych oficjalnie podawanych powodów ich wybuchu to klasyczny przykład walk o panowanie na morzach i zyski płynące z handlu morskiego. Oba państwa zainwestowały w konflikt ogromny potencjał finansowy i ludzki, a uzupełnieniem starć na morzach była również ostra walka propagandowa.

» Zdobycie przez Holendrów angielskiego okrętu flagowego „Royal Prince” podczas bitwy czterodniowej w 1666 roku. Fot. ze zbiorów Rijksmuseum w Amsterdamie



W XVII wieku wymiana handlowa odbywała się przede wszystkim drogą morską. Przewaga opierała się na potężnej flocie, jaką posiadało dane państwo. Hiszpania i Portugalia, dominujące w światowym handlu w XVI wieku, w połowie następnego stulecia nie odgrywały już niemal żadnej roli. W pierwszej połowie XVII wieku ich miejsce zajęła Republika Zjednoczonych Prowincji, która zmonopolizowała większość wymiany handlowej między Europą a Azją i Ameryką, zdobywając dominującą pozycję w obrębie mórz europejskich, zwłaszcza na Bałtyku i Morzu Północnym. Supremacja Holendrów osiągnęła swój szczyt około 1649 roku, a ich flota handlowa zdobyła panowanie na morzach. Holendrzy w praktyce stosowali maksimum angielskiego ad-

mirala i polityka sir Waltera Raleigha, który u schyłku XVI wieku stwierdził: *kto na morzu rządzi, ten rządzi i handlem; kto handlem rządzi, ten rządzi bogactwem świata, a przez to i samym światem*. Ich faktorie handlowe znajdowały się na całym świecie, od Archangielska po Recife i od Nowego Amsterdamu (obecnie Nowy Jork) po Nagasaki. Przez porty północnych Niderlandów przepływała większość towarów, dystrybuowanych później z zyskiem do innych państw europejskich. Szczególną rolę odgrywał Amsterdam, nazywany powszechną kasą i powszechnym domem składowym Europy.

Mimo zysków z handlu zamorskiego podstawą holenderskiej dominacji była tzw. rodzima wymiana handlowa, czyli powiązania portów holenderskich z innymi portami Morza Północnego,

Bałtyku, Zatoki Biskajskiej i Morza Śródziemnego. Holenderskie statki stanowiły co najmniej trzy czwarte ogółu wszystkich jednostek handlowych operujących na tym obszarze. Holendrzy handlowali także z konkurującą z nimi na morzu Anglią. Na Wyspy Brytyjskie eksportowali: ryby (głównie śledzie), zboże, sól, wino, drewno, papier (również liczne książki drukowane w republice w języku angielskim), przędzę. Z Anglii z kolei importowano sukno (które następnie uszlachetniano, by sprzedać je dalej po wyższej cenie), ołów, tytoń wirginijski i towary kolonialne. Głównym portem obsługującym wymianę handlową z Brytyjczykami był Rotterdam.

KONFLIKT ANGIELSKO-HOLENDRSKI

Podstawą potęgi Republiki Zjednoczonych Prowincji był handel. Dlatego warunkiem utrzymania panowania na morzach wobec narastających konfliktów z Anglią i Francją było posiadanie silnej floty wojennej, gotowej chronić wybrzeże państwa oraz jego statki handlowe. W XVII wieku normą było, że konkurent gospodarczy staje się wrogiem politycznym,



a żeglarstwo, handel i walka łączyły się w jedno rzemiosło. Aby zbudować potęgę handlową i później jej bronić, Holandia musiała stworzyć potężną flotę wojenną, z którą liczone się w całej Europie. Była ona ważnym narzędziem w polityce i gospodarce międzynarodowej.

Rosnąca w siłę Anglia, która na początku XVII wieku rozpoczęła rywalizację o kolonie zamorskie oraz dochody płynące ze światowego handlu, nie miała zamiaru dłużej tolerować rozwoju potęgi handlowej i kolonialnej małej republiki kupieckiej. Starcie z Holandią stało się nieuniknione.

Odkąd Republika Zjednoczonych Prowincji zdobyła panowanie na morzach, jej strategia stała się wyraźnie defensywna. Holenderska flota wojenna miała za zadanie przede wszystkim ochronę handlu, a nie działania zaczepne. Utrzymanie dużej marynarki wojennej było niezwykle kosztowne, dlatego Stany Generalne – czyli holenderski parlament – oszczędzały na niej, jak tylko się dało. Starano się za wszelką cenę utrzymać pokój, ponieważ każde działania wojenne na morzu wiązały się z nieuchronnymi stratami w handlu. Ataki na statki handlowe wroga były powszechną praktyką w XVII wieku.

W przeciwieństwie do defensywnej strategii państwa taktyka stosowana przez holenderskich admirałów była zawsze bardzo ofensywna. Dlatego morskie starcia z Anglikami były niezwykle ciekawe.

We wszystkich trzech wojnach z Holendrami (1652–1654, 1665–1667 i 1672–1674) strategia Anglii była ofensywna. Anglicy starali się pozabawić Republikę Zjednoczonych Prowincji panowania na morzach, zaś aby zdominować linie żeglugowe i wyprzeć z nich holenderskie statki, musieli najpierw pokonać flotę wojenną Re-

publiki. Mogli to uczynić na dwa sposoby: pokonując wroga w walnej bitwie bądź blokując jego porty. Drugiego wariantu w zasadzie nie brano pod uwagę ze względu na wysokie koszty finansowe prowadzenia długotrwałej blokady oraz problemy z aprowizacją.

JAK ZDOBYĆ PANOWANIE NA MORZACH

Na początku pierwszej wojny z Anglią holenderski polityk Adrian Pauw wypowiedział znamienne słowa: *Anglicy atakują górę złota, podczas gdy my atakujemy górę żelaza*. Stwierdzenie to doskonale oddaje charakter wszystkich trzech konfliktów angielsko-holenderskich.

Aby osiągnąć cel, jakim była zmiana panowania na morzach, Anglicy musieli nie tylko pokonać holenderską flotę wojenną, ale również w znaczący sposób osłabić potęgę handlową przeciwnika. Dopóki Republika Zjednoczonych Prowincji czerpała ogromne zyski z handlu europejskiego i zamorskiego, miała pieniądze na wystawianie nowych okrętów wojennych. Nawet duże straty zadane flocie wojennej przy jednoczesnym pozostawieniu w miarę nie naruszonego handlu morskiego Republiki nie przyniosłyby oczekiwanych skutków. W epoce, w której większość transportu odbywała się drogą morską, najlepszym rozwiązaniem było zniszczenie floty handlowej przeciwnika. Każdy zdobyty przyz nie tylko osłabiał potencjał rywal, ale i powiększał własny – ładunek sprzedawano bowiem z zyskiem bądź przeznaczano na cele wojenne. Sam statek, po zmianie imienia, był wcielany do własnej floty handlowej.

Najlepszą metodą ochrony floty handlowej przed atakami wroga była organizacja konwojów. W XVII wieku nie były one nowością, wymyślono je 100 lat wcześniej (był to bezpośredni sku-

tek odkryć geograficznych). Cenne transporty morskie chroniła mniejsza bądź większa eskorta okrętów wojennych lub uzbrojonych statków handlowych należących do wielkich kompanii handlowych. Szybki rozwój holenderskiej floty handlowej był ogromnie kosztowny, a podatki pobierane na ten cel – bardzo wysokie. Angielska flota handlowa była niewspółmiernie mniejsza od holenderskiej. Podczas gdy Anglicy mogli się bogacić, zdobywając bogate przyzy, Holendrzy wydawali duże pieniądze na ochronę swojego handlu, osiągając niewielkie zyski ze zdobywania angielskich jednostek. Był to ważny czynnik ekonomiczny, czyniący wojnę opłacalną dla strony atakującej – w tym wypadku Anglii – i nieopłacalną dla broniących swojego imperium morskiego Holendrów. Wyjaśnia to niechęć władz Republiki Zjednoczonych Prowincji do podejmowania ofensywnych kroków w polityce, które mogłyby doprowadzić do wybuchu wojny na morzu.

BITWA POD PORTLAND

Walki o konwoje były istotną częścią działań na morzu podczas trzech wojen angielsko-holenderskich oraz tuż przed ich wybuchem. Największe bitwy konwojowe miały miejsce podczas pierwszej wojny, czego przykładem może być słynna trzydniowa bitwa pod Portland. Co ciekawe, to jedna z niewielu bitew morskich, które inaczej były oceniane w epoce, a inaczej we współczesnej historiografii. Dla siedemnastowiecznych Holendrów jej wynik był satysfakcjonujący, współcześni holenderscy historycy uważają ją za porażkę.

Bitwa rozpoczęła się 28 lutego 1653 roku. 80 holenderskich okrętów pod dowództwem znakomitego adm. Maartena Trompa osła-

niało aż 250 statków handlowych. Zapewnienie bezpieczeństwa tak dużemu konwojowi było iście karkołomnym zadaniem, jeżeli weźmiemy pod uwagę chociażby kwestię manewrowania dużych zespołów jednostek żaglowych czy stosowanych wówczas systemów komunikacji pomiędzy okrętami (sygnały flagowe, dźwiękowe, świetlne). Holenderski konwój został zaatakowany przez liczącą ok. 80 okrętów flotę angielską dowodzoną przez adm. Roberta Blake'a. Pierwszego dnia bitwy Trompowi udało się odeprzeć atak Anglików i ochronić konwój. Drugiego dnia Holender ustawił swoje okręty w półksiężyc, żeby zapewnić osłonę eskortowanym statkom. Niestety, część kapitanów jednostek handlowych zignorowała jego rozkaz i zmieniła kurs na północno-wschodni, płynąc bezpośrednio w stronę Cieśniny Kaletańskiej. Trudno jednoznacznie określić, co leżało u podstaw tej niesubordynacji – czy była to panika, czy chęć ocalenia cennego ładunku za wszelką cenę. Jakkolwiek było, Anglicy zdołali odebrać część statków od konwoju i zdobyć 10–12 przyzów.

Drugiego dnia bitwy wieczorem na części holenderskich okrętów zaczęło brakować amunicji. Był to bolesny skutek krótkowzrocznej polityki oszczędzania na marynarce wojennej przez Stany Generalne. Problem ten był szczególnie dotkliwy trzeciego dnia walk. Co więcej, 2 marca część kapitanów statków handlowych ponownie nie wykonała rozkazów Trompa, rozbijając konwój od wewnątrz. Powstał chaos,



⤴ Angielski admirał i polityk sir Walter Raleigh.

Fot. Wikimedia Commons

co pozwoliło Anglikom na wzięcie kolejnych przyzów.

Po bitwie w Anglii ogłoszono oficjalnie, że Holendrzy utracili pod Portland 17 okrętów wojennych i 40 statków handlowych, Anglicy stracili najwyżej trzy okręty. Starcie niewątpliwie było taktycznym zwycięstwem Blake'a, który przy minimalnych stratach własnych zadał spore straty flocie wojennej Republiki i zdobył dużą ilość przyzów. Mimo to Holendrzy także byli zadowoleni z wyniku bitwy. Uznali bowiem, że było to strategiczne zwycięstwo floty wojennej Republiki Zjednoczonych Prowincji – Tromp potrafił skutecznie odeprzeć silną flotę admirała Blake'a i stracił niewielką część konwojowanych

statków, zwłaszcza biorąc pod uwagę niedostateczne zaopatrzenie części holenderskich okrętów w amunicję. Większość statków z cennym towarem w ładowniach dotarła bezpiecznie do ojczyzny. Holenderscy admirałowie Tromp, Johan Evertsen i Michiel de Ruyter po powrocie do kraju zostali nagrodzeni złotymi łańcuchami, niewielką kwotą pieniężną oraz medalami pamiątkowymi wybitymi z okazji bitwy. Doceniono ich heroizm w walce o ocalenie statków handlowych. Współcześni historycy uważają, że bitwa trzydniowa była największą klęską w karierze Trompa (oczywiście nie biorąc pod uwagę bitwy pod Ter Heijde, w której zginął).

Holendrzy wyciągnęli należyte wnioski z niepowodzeń pierwszej wojny z Anglią. Przeprowadzono gruntowną reformę floty wojennej, doprowadzając do jej pełnego uzawodowienia. Wysłuchano wybitnych admirałów, praktyków pola walki, którzy wiedzieli, jak zwyciężać w bitwach morskich – wcześniej rządzący raczej ignorowali ich opinie. Od lat sześćdziesiątych XVII wieku holenderska flota wojenna była w pełni sprawnym narzędziem ochrony interesów handlowych na morzu. Władze Republiki Zjednoczonych Prowincji zdały sobie sprawę, że nie można oszczędzać na marynarce wojennej.

ZAPLECZE

Prowadzenie tak intensywnych działań na morzu jak podczas trzech wojen angielsko-holenderskich byłoby niemożliwe bez odpowiedniego zaplecza gospo-



⚡ Nowy Amsterdam (czyli współczesny Nowy Jork), jedna z wielu holenderskich faktorii handlowych.
Fot. Wikimedia Commons

darczego w kraju oraz potencjału ludzkiego. Zarówno Anglia, jak i Republika Zjednoczonych Prowincji w obu tych aspektach były przygotowane znakomicie. Holandia była najgęściej zaludnionym krajem w Europie, za chlebem przybywało tam wielu obcokrajowców. Nie brakowało więc rekrutów do służby na okrętach, mimo iż w przeciwieństwie do Anglii nie stosowano nigdy przymusowego poboru do marynarki. Również Anglia dysponowała dużym potencjałem ludnościowym. W jej flotach także służyło wielu obcokrajowców pragnących przygody i łupów, co było normą w XVII wieku. Oba państwa miały dobre systemy szkolenia młodych adeptów morskiego rzemiosła wojennego, a w omawianym okresie służyło wielu wybitnych oficerów.

Prowadzenie długotrwałych wojen byłoby niemożliwe także bez dobrze rozwiniętego przemysłu stocznioowego. Republika Zjednoczonych Prowincji była w gorszej sytuacji niż Anglia, ponieważ nie posiadała własnych surowców naturalnych. Kraj był już prawie całkiem ogołocony z drzew, które wycięto na potrzeby budowy statków i okrętów. Problem rozwiązano dzięki rozwiniętym kontaktom handlowym – żelazo sprowadza-

no ze Szwecji, a wysokiej jakości drewno z Rzeczypospolitej. Anglicy mieli wówczas jeszcze własne drewno, mimo to importowali z rejonu Morza Bałtyckiego znakomitą klepkę skutniczą, którą wykorzystywano do poszycia burt i pokładów budowanych okrętów. W obu państwach funkcjonowało wiele stocznii z wykwalifikowanymi kadrami, w których budowano zarówno okręty wojenne, jak i jednostki floty handlowej, zaspokajając w całości potrzeby własnego rynku.

Holendrzy wydawali znakomite traktaty skutnicze. W 1671 roku ukazało się dzieło Nicolasa Witsena *Aeloude en Hedendaegsche Scheeps-Bouw en Bestier* (*Dawne i współczesne skutnictwo i zarządzanie*), będące pierwszym w Europie dziełem skutniczym prezentującym w szczegółowy sposób zasady budowy statków i okrętów z wyliczenia (każdy element posiadał określone parametry, dzięki czemu unikano kosztownych błędów konstrukcyjnych). Książka stała się wzorem dla skutników w całej Europie. Jej znakomitą kontynuacją była *De Nederlandsche Scheeps-Bouw-Konst Open Gestelt* (*Niderlandzka sztuka skutnicza. Udostępniona*) Cornelisa van Yk, wydana w 1697 roku. Na mar-

ginesie: okręty z wyliczenia powstawały w stoczniach Republiki Zjednoczonych Prowincji jeszcze przed wydaniem dzieła Witsena. Wyraźnie widać, że wśród jednostek zamówionych w latach 1664–1667 przez admiralicję Amsterdamu i Mozy część była budowana według sprawdzonych wzorów, ponieważ posiadała te same parametry.

Anglicy już podczas pierwszej wojny postawili na budowę dużych okrętów niosących więcej dział, aby zdobyć przewagę artyleryjską na morzu. Holendrzy poszli w ich ślady, lecz w pewnym momencie na przeszkodzie stanęła przyroda. Coraz bardziej zapiaszczone wyjscia z holenderskich portów nie pozwalały na budowę jednostek o tak dużym zanurzeniu jak angielskie, a w XVII wieku nie potrafiono jeszcze pogłębiać dna morskiego. Różnica w wielkości okrętów i ilości niesionych przez nie dział, dostrzegalna już w latach 1665–1667, podczas trzeciej wojny była bardzo widoczna.

Holendrzy nadrabiali braki w uzbrojeniu znakomitym wyszkoleniem załóg. Admirał de Ruyter organizował manewry w czasie pokoju, doprowadzając załogi do perfekcji. W angielskich i francuskich źródłach z czasów

trzeciej wojny angielsko-holenderskiej można znaleźć wiele wzmianek o znakomitej szybkostrzelności holenderskich okrętów.

RAJD HOLENDERSKIEGO NELSONA

Holendrzy, świadomi ekonomicznych konsekwencji prowadzenia wojen, w 1667 roku zrealizowali niezwykle śmiały plan, który doprowadził do natychmiastowego zakończenia przez Anglię drugiej wojny i podpisania traktatu pokojowego na warunkach korzystnych dla Republiki. Uderzyli bezpośrednio w potencjał militarny i gospodarczy wroga – atakując jego bazy morskie, niszcząc okręty oraz napotkane po drodze magazyny angielskiej marynarki wojennej (zarówno z żywnością, jak i z amunicją). 19–24 czerwca 1667 roku holenderska flota pod dowództwem adm. de Ruytera popłynęła w górę rzek Medway oraz Tamizy i zniszczyła największe angielskie okręty, a wysadzona na

brzeg piechota morska zaatakowała i zdobyła twierdzę Sheerness.

Działania Holendrów wywołały panikę w Londynie. Najbogatsi mieszkańcy w pośpiechu opuszczali miasto. Napastnicy podczas całej wyprawy stracili mniej niż 50 ludzi. Anglicy utracili osiem okrętów: dwa zostały zdobyte („Royal Charles”, „Jonathan”), reszta spalona („Carolus Quintus”, „Matthias”, „Slot van Honingen”, „Royal James”, „Loyal London”, „Royal Oak”). Ponadto Anglicy sami zatopili pewną liczbę swoich jednostek na Medway. Przy zostały odholowane do Republiki Zjednoczonych Prowincji („Royal Charles” do Hellevoetsluis, a „Jonathan” do ujścia Mozzy) i tryumfalnie wystawione na pokaz. Do Hellevoetsluis przyjeżdżały tysiące ludzi, by obejrzeć okręt, który był niegdyś postrachem mórz.

Holendrzy odnieśli znakomite zwycięstwo przy minimalnych stratach własnych. Dzięki znisz-

czeniu bądź wzięciu jako przysiężników największych angielskich jednostek wyrównał się potencjał flot angielskiej i holenderskiej. Utrata przez Anglików „Royal Charles’a” miała także znaczenie prestiżowe – Holendrom udało się zdobyć i odholować okręt głównodowodzącego flotą, wybudowany jeszcze za rządów Olivera Cromwella, na którym księżę Yorku odniósł znakomite zwycięstwo pod Lowestoft (1665 rok). Śmiały plan, który wydawał się niemożliwy do zrealizowania, biorąc pod uwagę zabezpieczenia wejść do angielskich baz morskich, został perfekcyjnie wykonany przez adm. de Ruytera, nazywanego holenderskim Nelsonem. Raid w górę rzeki Medway (nazywany przez Holendrów wyprawą do Chatham) jest uważany przez angielskich historyków za jedną z najbardziej haniebnych klęsk Anglii w jej historii militarnej, porównywalną tylko z bitwą pod Majuba Hill (1881 rok) i upadkiem Singapuru (1942 rok).

Utrzymanie potęgi handlowo-morskiej wobec rosnących w siłę konkurentów okazało się bardzo trudne, jednak Republice Zjednoczonych Prowincji udawało się to przez ponad 100 lat (od schyłku XVI do końca XVII wieku), w zasadzie aż do 1730 roku monopol Holendrów w handlu i transporcie nie był jeszcze poważnie zachwiany. Do tego czasu Republika Zjednoczonych Prowincji była głównym portem przeładunkowym, do którego szły towary z północy z przeznaczeniem na południe. Mimo wyniszczających wojen i twardej konkurencji holenderski handel nie upadał, ale tempo jego wzrostu stawało się niższe w porównaniu z angielskim i (prawdopodobnie) francuskim.



PROPAGANDA

Uzupełnieniem działań militarnych była toczona równoległe wojna propagandowa. Podczas gdy admirałowie prowadzili walkę na morzu, na lądzie rzesze ludzi (pisarzy, prawników, malarzy, rysowników, rzeźbiarzy) tworzyły propagandowy wizerunek państwa na arenie międzynarodowej. Ich działania były skierowane zarówno do odbiorcy zagranicznego, jak i do własnych obywateli, których należało upewnić, że toczona wojna mają głęboki sens nie tylko ekonomiczny, ale także moralny. Wykorzystując różne formy przekazu (plakaty, pamflety, traktaty prawnicze, ryciny, rzeźby i malowidła w budynkach użyteczności publicznej), świadomie budowa-

no obraz potęgi własnego państwa, ośmieszając wrogów, wytykając ich wady i błędy, zarzucając brak moralności, okrucieństwo i nieetyczne postępowanie w różnych dziedzinach życia. Przekaz miał być oczywisty. Republika Zjednoczonych Prowincji i Anglia przedstawiały się jako światowa potęga, a ich poczynania były zgodne z wiarą. Zepsuty moralnie, chciwy wróg czai się, aby pozbawić imperium należnych mu zgodnie z porządkiem boskim wpływów. Motyw ekonomiczny często pojawiał się zarówno w holenderskiej, jak i angielskiej propagandzie – nie ukrywano rzeczywistego celu wojen, jakim było zdobycie supremacji handlowej i militarnej na morzach i ocenach.

Anna Pastorek, historyk wojskowości, pracownik RON, Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej

MARE LIBERUM, MARE CLAUSUM

Grocjusz o prawie wojny i wojnie ekonomicznej

JAN JERZY SOWA

Hugo Grocjusz jest nazywany ojcem prawa międzynarodowego. Uznał m.in., że każdy naród ma prawo dostępu do każdego innego narodu i uprawiania z nim handlu. Oznacza to, że istnieje swoboda żeglugi po otwartym morzu, a działania mające na celu ograniczenie handlu są bezprawne.



Gdy na przełomie 1602 i 1603 roku kapitan Sebastião Serrão opuszczał na czele portugalskiej karaki „Santa Catarina” port w Makao na południowym wybrzeżu Chin, nie spodziewał się zapewne, że rejs ten będzie opisywany w podręcznikach prawa międzynarodowego. Na pokładzie statku o wyporności 1400 t oprócz 700 żołnierzy, sporej grupy kupców oraz towarzyszących im kobiet i dzieci znajdował się również bardzo cenny ładunek złota, chińskiej porcelany, cukru, jedwabiu, aloesu i używanego m.in. do produkcji perfum drewna agarowego. Portem docelowym „Santa Catarina” była Malakka, największa i najważniejsza portugalska placówka w Azji Południowo-Wschodniej, kontrolująca żeglugę przez cieśninę o tej samej nazwie. Na przełomie XVI i XVII wieku – podobnie jak dzisiaj – cieśnina Malakka była jednym z najważniejszych punktów na handlowej mapie świata. To przez nią przechodziły morskie szlaki łączą-

ce Chiny, Japonię, Archipelag Sundajski i Wyspy Korzenne (Moluki) z Indiami, a dalej z Afryką i wreszcie – Europą. 25 lutego 1603 roku na wodach Cieśniny Singapurskiej u ujścia rzeki Johor statek kapitana Serrão napotkał flotę holenderską pod dowództwem adm. Jacoba van Heemskercka.

Spotkanie to nie było przypadkowe. Jednym z głównych źródeł dochodu niderlandzkich kupców w połowie XVI wieku był handel dalekowschodnimi przyprawami, które do Europy sprowadzali Portugalczycy. Szczególnie cenne były goździki i gałka muszkatowa, które naturalnie występowały wyłącznie na kilku wyspach w archipelagu Moluków (stąd nazwa Wyspy Korzenne). Sytuacja skomplikowała się jednak, kiedy w 1580 roku doszło do połączenia Królestwa Portugalii z Koroną Hiszpańską pod berłem króla Filipa II. Od 1568 roku Holendrzy toczyli bowiem z Hiszpanami wojnę, której stawką była niepodległość zbuntowanych prowincji północnych

Niderlandów. Ponieważ kupcy holenderscy nie mogli już pozyskiwać przypraw w Lizbonie, musieli znaleźć inne źródło tego surowca. Taka była geneza holenderskiej ekspansji kolonialnej w Azji Południowo-Wschodniej. W 1595 roku z portu w Texel wyruszyła pierwsza wyprawa w tamtym kierunku. Siedem lat później z inicjatywy wpływowego holenderskiego polityka i dyplomaty Johana van Oldenbarnevelta doszło do połączenia kilku dotychczasowych kompanii handlowych specjalizujących się w handlu z Azją i utworzenia Zjednoczonej Kompanii Wschodnioindyjskiej (Vereenigde Oostindische Compagnie, VOC) – jednego z największych przedsiębiorstw w Europie doby preindustrialnej.

Rok wcześniej do Indonezji wyruszyła niderlandzka ekspedycja dowodzona właśnie przez Heemskercka. Mogło się wydawać, że wyprawę niemal od samego początku trapił wyjątkowy pech. Już w kwietniu 1601 roku kilka stat-



⚡ Okręt holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Na Dalekim Wschodzie Portugalczycy i Holendrzy rywalizowali o dostęp do produktów eksportowanych do Europy, m.in. przypraw. Fot. Wikimedia Commons

ków zostało poważnie uszkodzonych w trakcie starcia z flotą hiszpańską niedaleko Wysp Kanaryjskich. Gdy w lutym 1602 roku statki holenderskie przybiły do portu Bantam na Jawie, miejscowi kupcy zdecydowali się radykalnie podnieść ceny przypraw. Aby sfinalizować transakcję, holenderski żeglarz musiał zastosować pewien fortel: z większością floty opuścił port, zostawiając w nim dwa większe statki i kilka mniejszych jednostek. Dopiero wtedy ceny przypraw spadły do takiego poziomu, że ich zakup stał się opłacalny. Próby handlu w innych jawajskich portach zakończyły się niepowodzeniem, doszło nawet do przejściowego uwięzienia części holenderskich marynarzy przez jednego z miejscowych władców. Co gorsza, Heemskerck stracił na Jawie tyle czasu, że musiał zrezygnować z wyprawy na Wyspy Korzenne – nie zdążyłby na nie przed nadejściem pory monsunowej.

W czerwcu Holendrzy dowiedzieli się o straceniu przez Portugalczyków 17 ich rodaków w Makao. Przez kolejne miesiące bezskutecznie próbowali wypełnić przyprawami ładownie swoich statków w różnych indonezyjskich i malajskich portach. Było to efektem m.in. agresywnej polityki portugalskiego admirała André Furtado de Mendoncy, który nie wahał się użyć siły wobec lokalnych władców, by powstrzymać ich od handlowania z Niderlandczykami. Co ciekawe, Portugalczycy starali się wyprzeć Holendrów z Azji Południowo-Wschodniej nie dlatego, że ich



⤴ Hugo Groeneweg, ojciec prawa międzynarodowego.

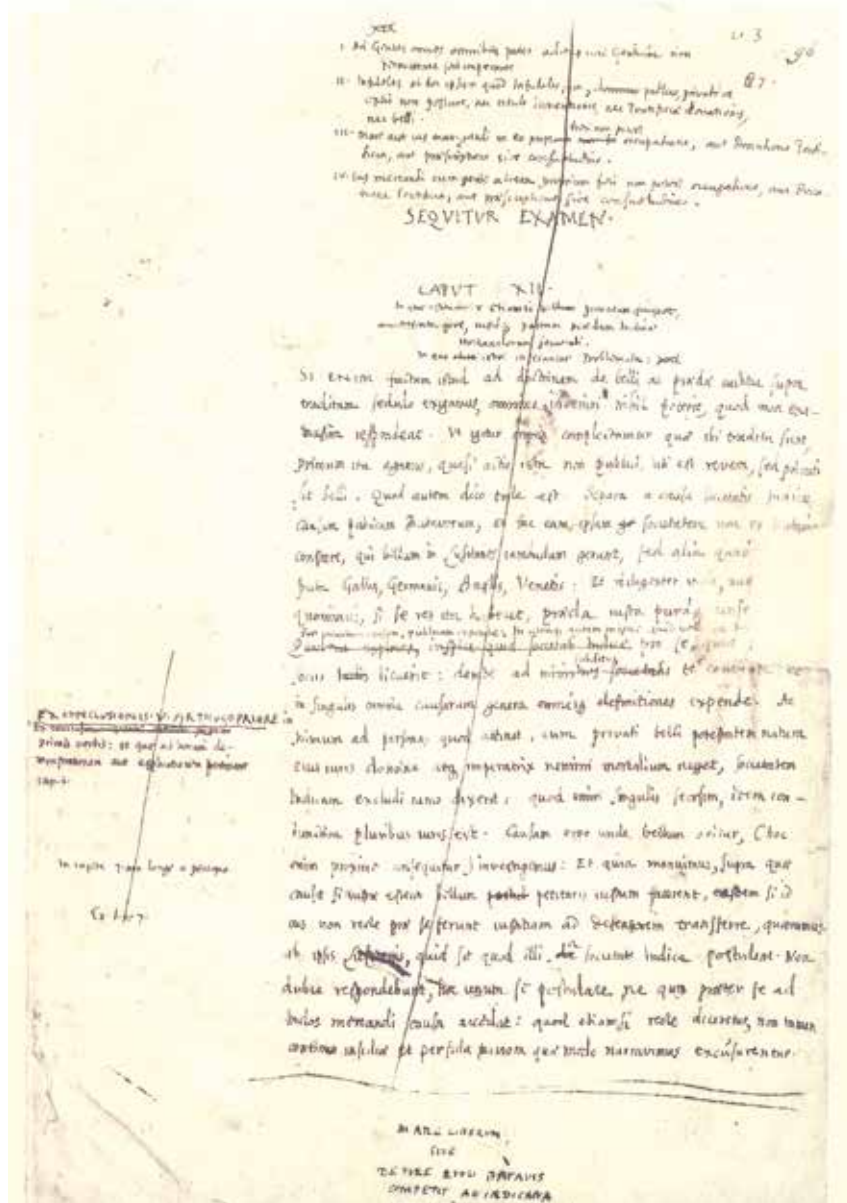
Fot. Wikimedia Commons

konkurenci byli protestantami albo wrogami hiszpańskiego (a co za tym idzie: także portugalskiego) monarchy, ale przede wszystkim dlatego, że jako nowicjusze nieświadomi lokalnych zwyczajów i tajników miejscowej ekonomii psuli rynek, znacznie przepłacając za nabywane przez siebie towary. Tak przynajmniej twierdził biskup Malakki João Ribeiro Gaio w liście do króla Filipa III z 1600 roku.

Ostatecznie Heemskerck i pozostali holenderscy kapitanowie, nie mogąc zdobyć towarów w sposób pokojowy, zdecydowali się wziąć odwet na Portugalczkach i zapolować na portugalskie statki płynące z Chin i Japonii. Zachęcili ich do tego Ala ad-Din

Riajat Szach III, skonfliktowany z Portugalczykami sułtan Johoru na Półwyspie Malajskim, i jego brat radża Bongsu. Warto zauważyć, że w późniejszych latach to właśnie sojusz z sułtanatem Johoru był podstawą holenderskiej polityki w tym regionie, która doprowadziła do ostatecznego wyparcia Portugalczyków z Malakki w 1641 roku.

Holenderska flota zaczęła się przy wyspie Tioman na wschód od Półwyspu Malajskiego. Tam 18 lutego 1603 roku Heemskerck został poinformowany przez tubylców o płynącej portugalskiej karace. Holendrzy początkowo nie uwierzyli w to doniesienie, ale gdy podobne informacje nadeszły także z innych źródeł, flota popłynęła w kierunku Cieśniny Singapurskiej, starając się doścignąć portugalski statek, zanim ten znajdzie się pod osłoną dział i fortyfikacji Malakki. 25 lutego szczęście w końcu uśmiechnęło się do holenderskiego admirała. Gdy tylko napotkał karakę u ujścia Johoru, holenderskie statki „Witte Leeuw” i „Alkmaar” otworzyły do niej ogień, niszcząc jej ożaglowanie. Portugalski kapitan, bojąc się, że jego statek wpadnie na zdradliwe mielizny u wybrzeży Singapuru, wywiesił białą flagę. W zamian za wolność swoją, swojej załogi i pasażerów Serrão oddał Holendrom statek wraz z całym ładunkiem. W ręce Heemskercka i jego marynarzy wpadł łup wart ponad milion portugalskich cruzados, czyli ponad 3 mln holenderskich guldenów – ponad połowę wartości całego kapitału zakładowego Kompanii Wschodnioindyjskiej.



⤴ Karta z dzieła Grocjusza *De iure praedae commentarius*.

Fot. Wikimedia Commons

Rok wcześniej u wybrzeży Wyspy Świętej Heleny Holendrzy zdobyli portugalską karakę „San Jago”. Zarówno to, jak i wyczyn adm. Heemskercka nie wzbudziło w Zjednoczonych Prowincjach powszechnego entuzjazmu. W północnych Niderlandach wybuchły spory o to, do kogo powinny należeć zyski ze zdobyczy. Pretensje do nich zgłosiła nie tylko Kompania Wschodnioindyjska, ale także władze prowincji Holandia i Zelandia. Odpowiedniego wynagrodzenia domaga-

li się też Heemskerck i jego podwładni. Zwrotu statków domagali się oczywiście Portugalczycy, a w przypadku „San Jago” o poszanowanie swoich praw walczyli także kupcy z państw neutralnych, których towary znajdowały się w ładowniach tego statku.

Również nie wszyscy udziałowcy VOC byli zachwyceni przebiegiem wydarzeń. Wbrew ich nadziejom założone w 1602 roku przedsiębiorstwo nie przynosiło zysków. Warto wspomnieć, że do 1610 roku kompania nie wy-

płaciła swoim udziałowcom żadnych dywidend. Zwracano uwagę, że wyprawa Heemskercka miała przede wszystkim charakter handlowy, a w instrukcji wydanej przed rozpoczęciem rejsu admiralowi pozwolono używać siły tylko do obrony własnych statków. Obawiano się, że zajęcie „San Jago” i „Santa Catariny” doprowadzi do odwetu ze strony Portugalczyków, a to z kolei spowoduje znaczny wzrost kosztów prowadzenia handlu z Azją Południowo-Wschodnią, bowiem kompania będzie musiała zaciągnąć żołnierzy, a jej statki będą musiały pływać pod eskortą lepiej uzbrojonych okrętów wojennych. Ponieważ w tym samym momencie z zamiarem utworzenia własnej kompanii wschodnioindyjskiej zaczął się nosić król Francji Henryk IV, eskalacja konfliktu holendersko-portugalskiego stawiła opłacalność dalszej działalności VOC pod dużym znakiem zapytania.

Ostatecznie decyzję w sprawie „San Jago” i „Santa Catariny” miały podjąć – odpowiednio – middelburski i amsterdamski sądy admiralicji (w tamtym okresie każda nadmorska prowincja wchodząca w skład Zjednoczonych Prowincji posiadała własną flotę wojenną i – co za tym idzie – własną admiralicję. Do utworzenia wspólnej floty doszło dopiero podczas wojen z Anglią w drugiej połowie XVII wieku. W Middelburgu obradował sąd admiralicji prowincji Zelandia, a w Amsterdamie prowincji Holandia). Oba w wyrokach z odpowiednio 21 sierpnia 1602 i 9 września 1604 roku uznały karaki za legalnie zdobyte przyzy. Sąd amsterdamski w całości podzielił stanowisko adm. Heemskercka: wobec wcześniejszej egzekucji holenderskich żeglarzy przez Portugalczyków w Makao, a także aktów agresji wobec miejscowych władców, którzy chcie-

li handlować z Holendrami, zajęcie „Santa Catariny” mogło zostać uznane za działanie w samoobronie.

Mimo to wciąż obawiano się wojny morskiej z Portugalczykami. Władze Kompanii Wschodnioindyjskiej doskonale zdawały sobie sprawę, że byłaby ona kosztowna, a Zjednoczone Prowincje już przecież walczyły z Hiszpanią. Sama kompania zaś potrzebowała wsparcia władz państwowych. Zarząd VOC podjął zatem starania, aby przekonać niderlandzkie Stany Generalne do zrzeczenia się 1/5 zysków z działalności kompanii, do których były uprawnione, aby z tych środków pokryć koszty wojny z Portugalczykami. Przedsiębiorstwo postanowiło skorzystać z usług młodego, bo ledwie 21-letniego, ale bardzo utalentowanego prawnika, cudownego dziecka niderlandzkiej jursprudencji, Huiga de Groota, znanego lepiej pod zlatynizowaną wersją swojego imienia i nazwiska jako Hugo Grotius (Grocjusz).

Przyszły ojciec prawa międzynarodowego urodził się w 1583 roku w bogatej rodzinie kupieckiej w Delft, mieście mocno zaangażowanym w antyhiszpańskie powstanie. W wieku 11 lat rozpoczął studia w Kolegium Lejdejskim (późniejszym Uniwersytecie Lejdejskim), najstarszej wyższej uczelni w Republice, założonej przez ks. Wilhelma Orańskiego w 1575 roku. Uczył się tam przede wszystkim języków klasycznych – greki i łaciny – a także retoryki i filozofii. Studia ukończył w 1597 roku, a rok później uzyskał tytuł doktora obojga praw Uniwersytetu Orleańskiego. Mniej więcej w tym samym czasie był członkiem holenderskiej misji dyplomatycznej na dwór Henryka IV, której przewodził wspomniany Johan van Oldenbarnevelt.

Po powrocie z Francji Grocjusz zaczął praktykować jako adwokat

w Hadze, a w 1601 roku mianowano go oficjalnym historykiem i kronikarzem Holandii. Kiedy kompania zatrudniła go w 1604 roku, był zatem dobrze znany holenderskim elitom politycznym i intelektualnym.

Zadaniem Grocjusza było przygotowanie traktatu broniącego nie tylko słuszności zajęcia „Santa Catariny” – zwłaszcza że ta sprawa została już rozstrzygnięta – ale też bardziej ogólnie słuszności rozpoczęcia militarnej rywalizacji z Portugalią w Azji Południowo-Wschodniej. Prawnikiem pracował od jesieni 1604 do jesieni 1606 roku. Jego książka, napisana po łacinie, za życia autora w całości nie ukazała się drukiem, dlatego też nie wiadomo, jaki tytuł Grocjusz miał zamiar jej nadać. Dziewiętnastowieczni antykwaryści, którzy odnaleźli rękopis, zatytułowali go *De iure praedae commentarius* (Komentarz o prawie łupu) – sam autor w swoich listach określał tę pracę jako traktat *de rebus Indicanis* (o sprawach indyjskich).

Należy zauważyć, iż o rzeczonych sprawach indyjskich Grocjusz miał stosunkowo niewielkie pojęcie. W kwestiach szczegółowych opierał się wyłącznie na źródłach dostarczanych mu przez Kompanię Wschodnioindyjską. Nietrudno odgadnąć, że były to dokumenty bardzo tendencyjne, prezentujące przede wszystkim holenderski punkt widzenia. Wydaje się, że Grocjusz zdawał sobie częściowo sprawę z tych ograniczeń. Dlatego sięgnął też do słynnego dzieła hiszpańskiego dominikanina Bartolomé de las Casasa *Brevísima relación de la destrucción de las Indias* (Krótka relacja o wyniszczeniu Indii), w którym duchowny próbował bronić rdzennych mieszkańców Ameryki przed brutalną eksploatacją przez kolonizatorów. Ponadto Grocjusz korzystał z innych dzieł hiszpań-

skich prawników należących do tzw. szkoły z Salamanki – Francisca de Vitorrii i Diego de Covarrubiasa. Uчени roztrząsali prawne, teologiczne i moralne aspekty podboju Ameryki przez Hiszpanów i Portugalczyków. Warto jednak zauważyć, że budowanie analogii pomiędzy Ameryką a Azją Południowo-Wschodnią mogło być zwodnicze: o ile w Ameryce Hiszpanie uważali pogańskich wodzów indiańskich za niejako z mocy samego prawa podporządkowanych hiszpańskiemu monarchowi, o tyle Portugalczycy uznawali muzułmańskich sułtanów na Malajach i Wyspach Sundajskich za, przynajmniej w teorii, suwerennych i równorzędnych władców.

Grocjusz nieprzypadkowo odwoływał się do dzieła de las Casasa i tzw. czarnej legendy Hiszpanii – czyli antyhabsburskiej propagandy, która nasiliła się w Europie, a zwłaszcza w jej protestanckiej części, w drugiej połowie XVI wieku. W tzw. części historycznej *De iure praedae* bardzo obszernie wyliczał wszystkie okrucieństwa, których dopuszczali się Portugalczycy wobec ludności tubylczej i próbujących z nimi handlować Holendrów. Wskazywał, że takie działania nie sprzyjają nawróceniu autochtonów na chrześcijaństwo, wręcz przeciwnie: tylko zniechęcają ich do ewentualnej konwersji. Dlatego nie można Niderlandczyków winić za zawarcie sojuszu z muzułmanami. Grocjusz mocno podkreślał, że miejscowi władcy są suwerennymi monarchami, którzy mają prawo nawiązywać relacje z kim zechcą (choć, jak wspomniano, w teorii Portugalczycy podzielali tę opinię). Co więcej: ani z powodu odkrycia tych ziem, ani na mocy darowizn papieskich czy zwyczaju albo zasiedzenia Portugalczycy nie mają wyłącznego prawa do żeglugi na morzach południowych. Grocjusz wskazy-

wał na bezsporny przepis prawa narodów, który zowią pierwszą zasadą i którego racja jest oczywista i niezmienna. Przepis ten brzmi: każdy naród ma prawo dostępu do każdego innego narodu i uprawiania z nim handlu. Na mocy prawa narodów istnieje zatem swoboda żegluga po otwartym morzu – państwa mogą ograniczać ruch obcych statków jedynie w zatokach i cieśninach położonych bezpośrednio u ich wybrzeży. Wszelkie działania portugalskie wymierzone w ograniczenie handlu holenderskiego na Malajach, Wyspach Sundajskich i Molukach są zatem bezprawne i w istocie godzą w prawa oraz interesy wszystkich innych państw.

Holenderski jurysta konkludował: jest zaś rzeczą naturalną i zgodną z najwyższym prawem, jak również ze słusnością, że każdy człowiek woli, by zysk dostępny dla wszystkich stał się jego udziałem, a nie innej osoby, nawet gdyby ona przedtem go pobierała. Któż liczyłby się z narzekaniami rzemieślnika dlatego, że inny rzemieślnik odbiera mu zysk wykonywaniem tego samego zawodu? Sprawa Holendrów jest tym bardziej sprawiedliwa, że ich własny pożytek łączy się w tym przypadku z pożytkiem całego rodzaju ludzkiego, który to pożytek Portugalczycy pragną zniweczyć. W związku z tym sułtan Johoru i Holendrzy na mocy prawa naturalnego, które na bezprawny gwałt pozwala odpowiedzieć siłą, mogli zaatakować portugalską karakę czy – szerzej – rozpocząć wojnę morską przeciwko Portugalii. Według Grocjusza było to przedsięwzięcie zaszczytne, które okryje chwałą Republikę Zjednoczonych Prowincji i przyniesie jej uznanie w oczach innych państw.



⤴ **Angielski jurysta John Selden. W odpowiedzi na rozważania Grocjusza o wolności mórz napisał traktat pt. *Mare clausum* (Morze zamknięte), w którym uzasadniał zwierzchnie prawa monarchów angielskich do mórz otaczających Wielką Brytanię. Fot. Wikimedia Commons**

Jak wspomniano, *De iure praedae* w całości ukazało się drukiem dopiero w XIX wieku. W 1609 roku w drukarni Lodewijka Elzevira w Lejdzie wydano jednak jako osobną publikację rozdział XII tego dzieła zatytułowany *Mare liberum sive De iure quod Batavis competit ad Indicana commercia dissertatio* (Wolność mórz czyli Dysertacja o prawie, jakie przysługuje Holendrom do handlu z Indiami). Jego wydanie najpewniej wiązało się z toczącymi się w latach 1607–

1609 negocjacjami pokojowymi pomiędzy Hiszpanią a Republiką Zjednoczonych Prowincji. Jako jeden z warunków uznania niepodległości Holandii Hiszpanie postawili rezygnację przez nią z handlu z Azją Południowo-Wschodnią. Publikacja *Mare liberum* miała być zatem kolejnym elementem lobbingu Grocjusza na rzecz interesów Kompanii Wschodnioindyjskiej. Ostatecznie do zawarcia pokoju z Hiszpanią nie doszło, zamiast tego jeszcze przed ukazaniem się traktatu podpisano dwunastoletnie zawieszenie broni.

Co ciekawe, sformułowaną przez Grocjusza zasadę wolności mórz najsilniej krytykowano w Anglii i Szkocji. Wiązało się to z angielsko-szkocko-holenderskim konfliktem o łowiska ryb na Morzu Północnym. Dlatego w latach 1617–1618 angielski prawnik John Selden napisał traktat *Mare clausum seu De dominio maris* (Morze zamknięte czyli o zwierzchnictwie morskim). Tytuł dzieła wprost nawiązywał do pracy Holendra. Selden polemizował z tezami Grocjusza i uzasadniał zwierzchnie prawa monarchów angielskich do mórz otaczających Wielką Brytanię.

Ostatecznie historia prawa międzynarodowego przyznała rację Holendrowi. Współczesne prawo morza opiera się na zasadzie wolności mórz – wszystkie wody z wyjątkiem tych przylegających do wybrzeży poszczególnych państw są uznane za międzynarodowe.

Jan Jerzy Sowa, historyk, wykłada na uniwersytecie w Białymstoku



CIEMNA STRONA SŁOŃCA

Negatywne konsekwencje imperialnej polityki Ludwika XIV

MICHAŁ BĄK

Jednym z priorytetów polityki Ludwika XIV była gloire – osobista chwała. Dla przydomka Wielki monarcha był w stanie poświęcić wszystkie dostępne środki państwowe, bez względu na konsekwencje. Po latach wielu zastanawiało się, czy zyski były warte wszystkich strat poniesionych w imię ambicji jednego władcy.

Kiedy Ludwik XIV rozpoczął osobiste rządy po śmierci kardynała Mazarina w 1661 roku, sytuacja finansowa Francji była, delikatnie rzecz ujmując, nie najlepsza. Kraj stanął na krawędzi bankructwa, przytłoczony wydatkami związanymi z wojną trzydziestoletnią i wyczerpany zakończoną w 1659 roku wojną z Hiszpanią. Z 84 mln liwrów przychodu jedynie 23 mln trafiały do skarbu, resztę pochłaniały koszty obsługi długu oraz samego poboru podatków. Za radą Jeana-Baptiste'a Colberta, świeżo

mianowanego generalnym kontrolerem finansów, do rozwiązania tych problemów Ludwik powołał Radę Finansową i Komisję Sprawiedliwości. Zajęły się one kontrolą i likwidacją tworzonych pod zastaw pożyczek synekur biurokratycznych oraz dzierżaw dóbr państwowych. Odzyskano w ten sposób znaczną część dochodów oraz przerzucono koszty bankructwa państwa na społeczeństwo, zwłaszcza na samych wierzycieli.

Skutki tych działań były jednak krótkotrwałe. Przyczyny tego tłumaczył sam Colbert, który często narzekał, że król *myśli o wojnie dziesięć razy częściej niż o finansach*. Konieczność nieustannego finansowania wojen Króla Słońce dopro-

wadziła do sytuacji, w której niemożliwa stała się głębsza reforma skomplikowanego i niewydajnego systemu podatkowego. Szybko zaczęto więc stosować stare metody: pożyczki pod zastaw i podwyższanie obciążeń fiskalnych. Aby zwiększyć efektywność podatkową, Colbert wprowadził nowy podatek pośredni zwany *ferme generale*: łączono ze sobą różne podatki bezpośrednio w pakiety, które następnie odsprzedawano na aukcji chętnym do ich zbierania poborcom. Faktycznie był to zastrzyk gotówki dla budżetu, jednak istniała groźba brutalnego ucisku podczas pobierania podatków przez zwycięzcę aukcji, który, inwestując w zakup możliwości ściągania

« Ludwik XIV, król Francji
w latach 1643–1715.
Fot. Wikimedia Commons

podatków, chciał na nich zarobić. Prowadziło to do zwiększenia obciążeń finansowych najbiedniejszych, bo to oni byli głównymi płatnikami podatków. Sam Colbert doskonale zdawał sobie sprawę z tej patologii, otwarcie jednak mówił, że lepiej, by chłopi cierpieli pod jarzmem poborców, niż żeby państwo zbankrutowało.

CENTRALIZACJA GOSPODARKI

W czasach Ludwika XIV szczególnie źle miało się francuskie rolnictwo. Konieczność wyżywienia coraz większej stałej armii oraz doświadczenia klęski głodu z lat 1662–1663, która wymusiła import zboża z zagranicy, sprawiły, że król zdecydował się narzucić znaczące limity na handel płodami rolnymi, często całkowicie zakazując ich eksportu. Dzięki temu zapełniono krajowe spichlerze i obniżono ceny wewnętrzne, w praktyce jednak królewskie decyzje doprowadziły francuskie rolnictwo do upadku. Rynki zbytu były bowiem niepewne, a w przypadku klęski urodzaju rolnicy musieli sprzedawać swoje produkty po bardzo zaniżonych cenach. Ponieważ uprawa roli przynosiła coraz mniejszy zysk, rolnicy porzucali regiony o gorszych glebach, wymagające większych nakładów na ich utrzymanie. To zaś sprawiało, że zmniejszała się produkcja zboża, wobec czego coraz częściej wprowadzano znaczne ograniczenia w jego obrocie. To zaś tylko powiększało problem.

Reformy przemysłu również miały negatywne konsekwencje. Ze względu na merkantylistyczną politykę starano się ściągać zagranicznych fachowców mogących założyć we Francji zakłady produkcyjne. Krajowych inwestorów zachęcano poprzez zwolnienia z podatków, nobilitacje czy patronat królewski. Jednocześnie zaka-

zywano, niekiedy pod groźbą kary śmierci, wyjazdu z kraju przemysłowcom i marynarzom. Wszyscy poddani Króla Słońce mający określone umiejętności mieli pracować wyłącznie na jego chwałę, stając się w ten sposób niewolnikami w jego państwie. Politykę tę realizowano z żelazną konsekwencją: katolicycy fachowcy, o których administracja burbońska dowiedziała się, że wyjechali z kraju, byli niekiedy zmuszani do powrotu groźbami wobec członków ich rodzin pozostałych we Francji.

Innym negatywnym skutkiem francuskiego modelu rozwoju przemysłowego przyjętego przez Colberta była ścisła państwowa kontrola i regulacja, szczególnie jakości produkcji. Wynikało to z faktu, że znaczna część przedsiębiorców zakładających manufaktury nie chciała robić kariery w przemyśle, lecz liczyła na awans społeczny. Właściciele dobrze prosperujących zakładów mogli liczyć na nobilitację, toteż nie dbali o długofalowe korzyści, lecz o krótkotrwały sukces zapewniający tytuł szlachecki. Dlatego we Francji konieczny był odgórny system norm łagodzących nieefektywność indywidualnych inicjatyw gospodarczych. Model ten czynił produkcję bardzo nieelastyczną i wyjątkowo podatną na zmiany koniunktury.

DANINA KRWI

Koszty wojen Ludwika XIV ponosiły wszystkie warstwy społeczne. Po wprowadzeniu i zwiększeniu stałej armii powstał też stały korpus oficerski i ujawniły się konflikty społeczne. W interesie państwa była absolutna kontrola nad tym korpusem, wyrażająca się w nominacji na wyższe stanowiska oficerskie wyłącznie szlachty związanej z Wersalem. Oznaczało to jednak sztuczne ograniczenie możliwości awansu dla warstw

niższych, szczególnie dla bogatego mieszczaństwa, które mogło sobie pozwolić na zakup szarży. Miało to też negatywne konsekwencje dla poziomu kompetencji kadry oficerskiej: już w połowie XVIII wieku marsz. Broglie narzekał, że *od porucznika aż po generała-lejtnanta panuje całkowita niewiedza względem obowiązków służbowych danej szarży i wszystkich spraw z nią związanych*. Wyraźny spadek jakości wojska widać było już w czasie ostatniego wielkiego konfliktu Ludwika XIV – wojny o sukcesję hiszpańską, kiedy to Francuzi przegrali większość bitew.

O ile dla oficera służba w armii była honorem, o tyle dla przeciętnego szeregowca – koszmarem. Jeden z teoretyków nowożytnej wojskowości stwierdził: *Wojsko to ściek, do którego spływają wszelkie społeczne ekskrementy*. Tak traktowano prostych żołnierzy. Żołd, często zresztą niski i ledwie wystarczający na przeżycie, był wypłacany nieregularnie. Rosnąca przepaść społeczna pomiędzy oficerami i szeregowcami prowadziła do postępującej alienacji korpusu oficerskiego i intensyfikacji nieludzkich praktyk wobec szeregowców. Wyrażało się to m.in. w dążeniach do izolacji społecznej żołnierzy i ścisłej kontroli każdego aspektu ich życia. Ograniczono np. możliwość zakładania przez nich rodzin, zakazując ożenku znajdującym się w aktywnej służbie. Dla arystokratycznych oficerów szeregowi często byli tylko maszynami czy wręcz zabawkami, mającymi maszerować i prowadzić manewry jak od linijki, niczym ołowiane figurki na mapie. Dla wyższej szlachty prowadzenie wojska do walki stało się rodzajem sportu, częścią arystokratycznej kultury, i przypominać miało dworskie zabawy odbywające się w Wersalu, których forma przeważała nad treścią.

Przez straty i nieustanne dezercje wojska Ludwika zaczęły topnieć, szczególnie że werbunek do armii odbywał się głównie na zasadzie ochotniczej. Kilkakrotnie musiał on być wspomagany różnymi formami poboru, nigdzie jednak nie był tak brutalny jak na galerych śródziemnomorskich. Stanowiska wioślarzy były obsadzone przez niewolników i więźniów. Tych jednak, w związku ze stratami ponoszonymi przez francuską flotę, ubywało. W związku z tym administracja królewska naciskała na sędziów, by wydawali więcej wyroków skazujących na galery – ale tylko więźniów o odpowiedniej budowie fizycznej. Co więcej, często nie wypuszczano ich nawet po odsiedzeniu wyroku, chyba że znalazło się dla nich zastępstwo. Następnie rozpoczęto wylapywanie włóczęgów i bezdomnych. Ostatecznie, wobec coraz gwał-

towniejszego wyczerpywania się zasobów ludzkich w kraju, zalecano zwiększyć zakupy muzułmańskich niewolników u joannitów oraz polować na ludzi podczas łupieżczych najazdów na Afrykę Północną. Szczególnie ceniono sobie czarnoskórych niewolników, mających w opinii współczesnych dobre kwalifikacje fizyczne na wioślarzy. Jednak ich większość stanowili rodowici Francuzi, często trafiający na galery za niezdolność do płacenia wyśrubowanych podatków. Proces ten wiązał się też z zaostrzeniem warunków bytowych galerników. Ich właściciele przestrzegano, by nie traktowali ich zbyt łagodnie i nie karmili zbyt obficie, bowiem *nie ma nic bardziej szkodliwego u niewolnika niż tkanka tłuszczowa i nadmiar tężyzny*. Całą sprawę próbowano zresztą obrócić na wizerunkową korzyść króla, który dorocz-

nie wyzwał część galerników niezdolnych już do dalszej służby, okazując jakoby wyjątkową łaskę.

OFIARY KONSOLIDACJI PAŃSTWA

W ramach konsolidacji władzy i autorytarnego dążenia do ujednolicenia kraju pod względem religijnym w 1681 roku Ludwik XIV rozpoczął tzw. dragonady. Polegały one na kwaterowaniu w domach hugenotów żołnierzy, których instruowano, by prześladowali mieszkańców domostw, wymuszając na nich konwersję na katolicyzm, dzięki temu bowiem zostaliby zwolnieni od obowiązku kwaterunku. Ta polityka była realizowana głównie przy użyciu dragonów, którzy dzięki swej mobilności mogli prowadzić w czasie pokoju działania policyjne na prowincji. Przez kilka lat 14 regimentów dragońskich obsiadało dobra hugenockie niczym szarańcza, zastraszając, dopuszczając się rozbojów, kradzieży, a nawet gwałtów i morderstw. Po wojnach hugenockich z początku wieku protestanci utracili większość swoich realnych sił politycznych i nie byli zdolni do mobilizacji i stawienia regularnego oporu zbrojnego. Wybuchły jednak powstania ludowe – największym było tzw. powstanie kamizardów, podobne do późniejszego katolickiego buntu w Wandei przeciw rewolucji francuskiej i z podobną brutalnością zdławione przez wojska królewskie, stosujące taktykę całkowitego wyniszczenia zaangażowanej ludności oraz jej dobytku.

Zwieńczeniem działań przeciw protestantom było odwołanie edyktu nantejskiego gwarantującego hugenotom tolerancję i możliwość sprawowania kultu. Został on zastąpiony edyktem z Fontainebleau, który delegalizował wyznanie hugenockie oraz nakazywał natychmiastowe zburzenie



⤴ Jean-Baptiste Colbert, generalny kontroler finansów Francji za panowania Ludwika XIV. Fot. Wikimedia Commons

zborów i zamknięcie szkół. Prześladowani protestanci zaczęli masowo uciekać z Francji – do końca lat osiemdziesiątych XVII wieku wyjechało ich z kraju zapewne ok. 200 tys. Ponieważ często byli to zamożni kupcy i rzemieślnicy, ich ucieczka była poważną stratą dla Francji. Wzmocnili oni natomiast kraje, które ich przyjęły, często wrogie Burbonom, jak Anglia czy Holandia.

Pierwszym jednak, który wyciągnął dłoń do emigrantów, był książę niewielkiego, uważanego za wyjątkowo prowincjonalne i biedne, państewka w Rzeszy. Władcą tym był Fryderyk Wilhelm, znany później jako Wielki Elektor – twórca potęgi przyszłego państwa pruskiego. We Frankfurcie, Moguncji i Kolonii zorga-

nizował on specjalne korytarze humanitarne, którymi Francuzi byli wysyłani na wschód. Otrzymywali subsydia osiedleńcze, byli zwalniani z podatków i gwarantowano im wsparcie podczas ponownego rozpoczęcia działalności gospodarczej. W ten sposób Hohenzollern zbudował fundament pod gospodarczą odnowę Brandenburgii-Prus, które nieco ponad pół wieku później pod rządami Fryderyka II zaczęły trząść Europą przy pomocy wojska finansowanego m.in. z dochodów uzyskanych dzięki przyjęciu uciekinierów z Francji.

MONARCHICZNY WANDALIZM

Wojny toczone przez Ludwika odznaczały się szczególnym, niewydzianym na kontynencie od czasów wojny trzydziestoletniej, po-

ziomem okrucieństwa. Nie wynikało ono wyłącznie z tradycyjnych przyczyn religijnych czy chęci wykarmienia wojska cudzym kosztem. Ważnym nowym czynnikiem było tu ego Króla Słońce, który, poszukując *gloire*, nie był w stanie zaakceptować porażki. Najjaskrawszym bodaj przykładem wandalizmu dokonanego w jego imieniu było zniszczenie Heidelbergu w 1693 roku. Gdy wojska wielkiej koalicji zaczęły wypierać Francuzów z doliny Nekar, Ludwik podjął decyzję o zniszczeniu Palatynatu. Jeśli on nie mógł go mieć, to nikt nie mógł. Pod pałac heidelberski podłożono 38 min zawierających w sumie 27 tys. funtów prochu, a na cześć tego „wielkiego osiągnięcia” Ludwik kazał wydać medal z inskrypcją *Heidelberg deleta*. Wyczyny wojsk francuskich w Palatynacie wywołały ogromną falę krytyki i wzmocniły tylko niechęć do Francji.

» Zamek w Heidelbergu – kiedy Francuzi przegrywali wojnę o Palatynat, Ludwik XIV postanowił wysadzić tę budowlę w powietrze. Fot. Wikimedia Commons



Podobnych ekscesów wojska Ludwika dopuszczały się w Niderlandach Hiszpańskich, gdzie szczególnym okrucieństwem wykazać się miano podczas bombardowania Brukseli. Choć zniszczenia podczas zdobywania miast były czymś normalnym, to w tym wypadku, tak jak w przypadku Heidelbergu, chodziło o coś innego. W 1695 roku Ludwik XIV wydał bezpośredni rozkaz zniszczenia miasta poprzez kilkudniowe intensywne bombardowanie, mając rzekomo nadzieję, iż cierpienie jego mieszkańców zmusi wojska Liigi Augsburskiej do odstąpienia od oblężenia zajętego przez Francuzów Namuru. Skala zniszczeń była ogromna, większa nawet niż po bombardowaniach podczas drugiej wojny światowej.

Terrorystyczna polityka Ludwika nie przyniosła oczekiwanych efektów, wzmacniając jedynie opinię o nim jako o bezlitosnym tyranie. Sam dowodzący operacją marsz. François de Villeroy powiedział później: *Zniszczenia, jakie spowodowaliśmy w mieście, są niewiarygodne; ludzie grożą nam odwe-*

tem; nie wątpię, że mają ku temu wolę, ale nie sądzę, by mieli do tego możliwości.

Bezpośrednią konsekwencją wojen z Francją był też upadek znaczenia politycznego i gospodarczego Holandii, która po wojnie o sukcesję hiszpańską nigdy już nie odzyskała mocarstwowego statusu, popadając w coraz większe problemy finansowe i stagnację gospodarczą.

WYSOKI KOSZT CHWAŁY

W pogoni za upragnioną *gloire* Ludwik XIV nie wahał się narażać wszystkich poddanych na ogromne straty. Jak sam twierdził, wspominając po latach rozpoczęcie wojny z Niderlandami w 1672 roku: *Nie będę się tłumaczył. Ambicja i chęć osiągnięcia chwały są zawsze wybaczalne u władcy, szczególnie tak młodego i dobrze sytuowanego, jakim ja byłem.* Jego polityka w pierwszych dwóch dekadach rządów osobistych, gdy spraw gospodarczych doglądał Colbert, doprowadziła do wzrostu efektywności działania aparatu państwowego. Było to jednak chwilowe, bowiem już w latach 1683–1717 Francja odczuła skutki stagnacji ekono-

micznej. Jej powodów było wiele i dotknęła ona wszystkich sektorów gospodarki. Nieefektywność przemysłu, ściśle regulowanego przez nie zawsze kompetentnych urzędników w Wersalu, pogłębiła się przez wygnanie hugenotów. Upadek handlu był spowodowany stratami ponoszonymi przez flotę handlową i utratą części rynków zbytu w krajach, z którymi toczono wojny. Stagnacja rolnictwa została wywołana przez nadmierne ograniczenia obrotu ziarnem powodowane chęcią amortyzacji skutków głodu i potrzebą wyżywienia stałego wojska. Problemy monetarne i finansowe były zaś wywołane przez nieomal nieustannie toczony wojny i konieczność utrzymywania ogromnego wojska nawet w czasie pokoju.

W chwili śmierci Ludwika XIV Francja, chociaż urosła do rangi niekwestionowanego mocarstwa europejskiego, ponownie stała na granicy bankructwa. Tym razem musiała zmobilizować środki krajowe, poważanie nadszarpnięte przez krach gospodarczy, na próby podtrzymania kosztownego imperium. To był już jednak problem następców Króla Słońce, który umierał w poczuciu osiągnięcia wymarzonej chwały.

Michał Bąk, historyk, doktorant na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego



FAŁSZYWE PIENIĄDZE

ministrów napoleońskiej policji

THIERRY LENTZ

przeł. Bogdan Borucki

Jak pisał francuski historyk Alexandre Adler, wojny napoleońskie, tak jak wojny współczesne, były wojnami totalnymi. Elementy takie jak szpiegostwo czy dezorganizacja obozu wroga są obecnie coraz lepiej znane. Ponadto można stwierdzić, że wtedy wszystkie obszary działalności państwa były podporządkowane wysiłkowi wojennemu. Sprawa, o której tu będzie mowa, jest właśnie epizodem takiej totalnej wojny.

Według francuskiego kodeksu prawa kryminalnego fałszowanie pieniędzy było karane śmiercią. Mimo to Joseph Fouché, a zwłaszcza Anne Jean Marie René Savary, diuk Rovigo, dwaj kolejni ministrowie policji Napoleona, zorganizowali i wykorzystywali wytwórnictwo fałszywych banknotów w celu destabilizacji finansów nieprzyjaciół Francji, a czasem, co jeszcze bardziej niezwykle, aby wspomóc budżet państwa francuskiego. Nasuwa się tu refleksja: takie afery są nie tylko częścią współczesnego świata. Można wręcz powiedzieć, że niektóre z potajemnych sposobów działania państwa są stare jak świat. Dlatego historia to nie tylko przeszłość, bo jej znajomość pozwala zrozumieć teraźniejszość.

W początkach 1809 roku Fouché, diuk Otranto, wspólnie z szefem tajnej policji Pierre'em Marie Desmaretsem stworzył sieć (lub raczej siatki) fałszerzy, w której skład weszli także rytownicy pracujący dla rządu i Ministerstwa Wojny. Najpierw – bez wyjaśnienia celu zadania – zostali sprawdzeni przez agentów Ministerstwa Policji, wykonując skomplikowane wkleśłodruki (w tym imitacje banknotów Banku Anglii, co powinno im dać do myślenia). Następnie trzech rytowników: Dido, Gatteaux i Lale'a, wezwano do ministerstwa (każdego oddzielnie), gdzie otrzymali wzory banknotów banków austriackiego i angielskiego do podrobienia. Desmaretz miał im powiedzieć: *Powierzam wam wielką tajemnicę państwa, wy jej musicie strzec przed każdym,*

kto by próbował ją poznać, i powiadomić nas o tym natychmiast. Następnie według relacji Lale'a szef tajnej policji wyciągnął z biurka ogromny plik biletów Banku Anglii, położył go obok wykonanej przez siebie ryciny i rzekł mi, że tę grawiurę widział minister [...] i że została uznana za doskonałą w każdym szczególe.

KLASYKA WOJNY GOSPODARCZEJ

Operacja rozpoczęta przez Fouchégo nie była niczym nadzwyczajnym. Rewolucja francuska też znała podobne afery związane z fałszerstwami pieniędzy. Emigranci, którzy wylądowali na przykładku Quiberon w 1795 roku, mieli z sobą podrobione w Wielkiej Brytanii francuskie asygnaty na sumę kilku miliardów liwrow. Jeden z czołowych polityków Fran-



⤴Francuscy ministrowie policji: Joseph Fouché (z lewej) i Anne Jean Marie René Savary.
Fot. Wikimedia Commons

cji epoki Dyrektoriatu Paul Baras twierdził w pamiętnikach, że Francuzi próbowali odpłacić Anglikom pięknym za nadobne, zarządzając produkcję i dystrybucję fałszywych funtów szterlingów. Z kolei podrobione bilety Banku Wiedeńskiego zostały wydrukowane w drukarniach armii Republiki Cisalpińskiej i rozpowszechniane we Włoszech. Podczas drugiej kampanii włoskiej Bonaparte dobrze wiedział o tych praktykach i akceptował je. Co więcej, zachęcał do fałszowania florenów. Ten proceder zapewne był kontynuowany, gdyż służby policyjne krajów będących w stanie wojny z Francją cały czas przechwytywały podejrzane bilety bankowe. Po podpisaniu francusko-austriackiego pokoju w Lunéville w 1801 roku współodpowiedzialni za fałszerstwa

kontynuowali pracę już na własny rachunek. Aresztowano ich w 1803 roku, ale np. grawer Fourmel został później ponownie zatrudniony przez Ministerstwo Policji.

Szczegóły operacji zainicjowanej przez Fouchégo i Savary'ego znamy z zachowanych dokumentów. Generalnie fałszerze nie pozostawiają wiele śladów swej działalności, ale w tym przypadku źródła nie brakuje – od raportów publikowanych po 1870 roku przez republikanów w czasie konfliktów z bonapartystami po dokumenty odnalezione przez historyków, jak pamiętniki ludzi w to zamieszanych, m.in. prefekta policji Étienne'a Denisa Pasquier'a, który w swoim czasie mógł popsuć całe przedsięwzięcie poprzez nieprzemyślaną i głupią interwencję podległych mu służb.

SYSTEM UDOSKONALONY PRZEZ SAVARY'EGO

Proceder rozpoczęty w biurze Desmaretza funkcjonował znakomicie, toteż po odejściu Fouchégo znalazł kontynuację pod zarządem Savary'ego. Ten dopracował system. Na początek przekazał swym współpracownikom regulamin bezpieczeństwa w formie rozporządzenia, który miał ich chronić przed skutecznością francuskiej policji. Ten dotyczący Lale'a głosił: *Pan Lale, który został zobowiązany do wykonywania b. tajnych map dla gabinetu Jego Wysokości, nie będzie mógł się porozumiewać w żadnym przypadku z kimkolwiek, z wyjątkiem artystów niezbędnych do wytworzenia dzieła. Jeżeli pod jakimkolwiek pretekstem funkcjonariusz policji cywilnej lub sądowej pojawi się u nie-*

go z jakimkolwiek nakazem, Pan Lale ma mu okazać to rozporządzenie i na jego mocy zabronić temuż funkcjonariuszowi wejścia do lokalu, w którym wykonuje się pracę, zabronić zadawania pytań i dokonywania rewizji, które mogłyby zaszkodzić utrzymaniu tajemnicy. Wprost przeciwnie – nakazać natychmiastowe wyjście i skomunikowanie się z władzą, która go przysłała, a ta ma zreferować wszystko Jego Ekscelencji ministrowi policji podpisanemu na rozporządzeniu i podporządkować się jego rozkazom. Sporządzono w siedzibie policji generalnej Cesarstwa, 1 kwietnia 1810 roku. Podpisano: diuk Rovigo.

✂ **Fałszywe ruble z 1808 i 1810 roku oraz fałszywa francuska asygnata. Fot. Tomasz Bohun**

W niepozornym domu przy ul. Vaugirard 25 zainstalowano 24 prasy drukarskie. Artyści, mechanicy, specjaliści od znaków wodnych i drukarze zostali umieszczeni na oddzielnych piętrach, aby nie kontaktowali się między sobą. Pracownikom płacono według godziwej stawki dziennej po 9 franków. Aby tajemnica była jak najlepiej chroniona, każdy z nich wykonywał swe zadanie oddzielnie i możliwie jak najdłużej nie wiedział o pracy innych. Lale np. wykonywał ryciny na przedmieściu Saint Jacques nadzorowany przez agenta Ministerstwa Policji nazwiskiem Terrasson.

Kiedy praca została wykonana, każdy z artystów przekazywał swoje matryce, grafiki czy papiery do domu przy Vaugirard, gdzie urzędował szef drukarni Fain, brat barona Faina, sekretarza cesarza, który koordynował produkcję fałszywych banknotów.

Lale zapewniał, że rezultaty jego pracy były okazywane Napoleonowi osobiście. Podobno cesarz

i marszałek dworu Geraud Du-roc przeprowadzili krótką kontrolę domu przy Vaugirard, aby osobiście się upewnić, że wszystko idzie dobrze. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż bez cienia wątpliwości to cesarz był inicjatorem tego, co tam się działo (wiedzieli o tym też minister skarbu i minister finansów).

Napoleon był bardzo niechętny emitowaniu biletów bankowych przez państwo, porównując je do najbardziej nedorzecznych i rujnujących pożyczek (nawiasem mówiąc, tego samego zdania był minister skarbu Nicolas Mollien). Nigdy nie pozwolił na to, aby banknoty Banku Francji stały się prawdziwym pieniądzem, ograniczając ich emisję i dbając, aby wypuszczano do obiegu jedynie wysokie nominały. Inne europejskie kraje, zwłaszcza Anglia, nie były tak ostrożne, co ułatwiało przepływ fałszywych banknotów.

**FAŁSZYWE PIENIĄDZE
WSZYSTKICH WROGICH
PAŃSTW**

Na korzystanie z efektów pracy fałszerzy w wojnie gospodarczej z reguły było mało czasu. Przed uruchomieniem nowej produkcji najpierw należało zniszczyć skład banknotów austriackich, gdyż w 1809 roku zawarto z tym krajem pokój. Napoleon powiedział to szefowi austriackiej dyplomacji Klemensowi von Metternicho-



wi. Podkreślił, że gospodarka austriacka miała dużo szczęścia, bowiem prawie 300 mln florenów było już gotowych do dystrybucji. Jakaś jednak część tej emisji musiała zostać rozpowszechniona, bo Bank Austrii donosił o przejmowaniu podrobionych banknotów, którymi próbowali płacić Francuzi. Falszywe pieniądze brytyjskie notorycznie rozprowadzano w całej Europie, toteż minister policji osobiście dbał, aby matryce były solidne i zapewniały ciągłość produkcji.

Savary, który nieco ograniczył swą tajną działalność, zaprzestawszy drukowania pieniędzy koalicjantów, już na początku 1812 roku wyznaczył nowy cel dla fałszerzy – pieniądź rosyjski. Do koordynacji tego przedsięwzięcia wyznaczono byłego szefa siatki szpiegowskiej, sekretarza stanu Lelorgne'a d'Illeville. Latem następnego roku Napoleon rozkazał poczynić przygotowania do fałszowania banknotów austriackich, choć formalnie Austria nie wypowiedziała jeszcze wojny Francji. Cesarz pisał: *diuk Otranto [...] donosi mi, że najlepszym sposobem uderzenia w to mocarstwo w razie wojny jest wpłynąć [na kurs] jego papierowego pieniądza, na którym oparte są koszty uzbrojenia. Ruszyła także produkcja pieniędzy pruskich, a Lale zanotował: przy sprawdzaniu tych banknotów stało się ze mną coś wyjątkowego. Prusy były z Francją w okresie pokoju. Ten fakt był dla mnie tak przygnębiający, że wskutek tego podjąłem stanowczą decyzję niepodjęcia się tego zadania. Dlatego Desmaretts musiał znaleźć innego artystę.*

Minister policji, biorąc udział w wojnie gospodarczej, korzystał na tym osobiście, uzupełniając swój tajny fundusz (do którego trafiały też zdefraudowane przychody z Kasy Gier – w tym procederze pomagał agent wywiadu Karl Ludwig Schulmeister). Niektórzy z do-

stawców ministerstwa wynagradzani byli w fałszywej walucie.

TAJEMNICA MINISTRA POLICJI ODKRYTA PRZEZ POLICJĘ

Gdy tajny zespół Savary'ego prowadził swą nielegalną działalność, prefektura policji była czujna. Ludzie Pasquiera, a zwłaszcza komisarz Macon, odpowiedzialny za nadzór nad drukarniami, sygnalizowali podejrzaną działalność nielegalnej oficyny w odosobnionym budynku. Dalszy ciąg akcji relacjonuje prefekt policji w swych pamiętnikach: *Bez wahania wydałem rozkaz otoczenia nocą tego domu. Doręczyłem też nakaz rewizji, by zgodnie z prawem było można wejść do środka o zaraniu dnia [...]. Trzeba było wyważyć drzwi, było kilku rannych po obu stronach, w efekcie odkryto produkcję na dużą skalę biletów bankowych. W tym przypadku chodziło o banknoty rosyjskie, a także banku wiedeńskiego. Falszywe banknoty i matryce do ich produkcji przewieziono do prefektury Policji, ale kiedy operacja była już prawie zakończona, przybył do mnie w stanie prawdziwego popłochu diuk Rovigo. Całe to przedsięwzięcie okazało się być prowadzone za jego rozkazem i zarządzane przez pana Desmarettsa przez drukarza o nazwisku Fain, brata jednego z osobistych sekretarzy Cesarza. Musiano zatem przyznać się, że służyło to opłacaniu dostaw dla armii francuskiej w Rosji.*

Diuk Rovigo mógł kontynuować swą działalność, której zaprzestano dopiero w końcu 1813 roku. Wtedy też zniszczono wszystkie narzędzia do produkcji fałszywych banknotów.

SETKI TYSIĘCY FAŁSZYWYCH BANKNOTÓW

Po upadku Paryża w 1814 roku Rosjanie chcieli przejąć sprzęt do podrobienia ich pieniędzy. Wiedzieli, że Francuzi to robią, bo carska policja przechwyciła wiele fałszywek. Jednak okupanci odeszli z pustymi

rękami, bo Savary zadbał, by wcześniej wszystko zniszczono.

Ludwik XVIII był informowany o sprawie dzięki skrupulatnemu śledztwu komisarza Jacques'a Claude'a Beugnota, nadzorującego służby policyjne (Ministerstwo Policji zostało skasowane za czasów pierwszej Restauracji). W jednym z raportów Beugnot pisał: *Ci sami ludzie, którzy uczestniczyli w pierwszej z operacji (1809), kontynuowali ją w dwu następnych (1810, 1812). Nic nie zmieniano – postępowano dokładnie tak samo jak na początku w 1809 roku, także wykonawcy pozostali ci sami. Toteż ten sam sprzęt służył od pierwszej do kolejnych produkcji. Jedynie miejsca wytwórci były zmieniane. Według tego raportu 430 tys. florenów austriackich wysłano do Italii, 180 tys. przekazano francuskiemu bankierowi, a 60 tys. odsprzedano prywatnym osobom. Falszywe bilety Banku Anglii (co najmniej 500 tys. sztuk) zostały upłynnione przez Schulmeistera i Louisa Antoine'a Bourienne'a, dawnego sekretarza Bonapartego, który został chargé d'affaires w Hamburgu. Beugnot nie sprecyzował wprawdzie, czy banknoty rosyjskie zostały rozprowadzone, ale to wielce prawdopodobne, bo – jak wspomniano – w 1814 roku Rosjanie szukali matryc. Po upadku cesarstwa opublikowano wiele pamfletów ujawniających tę aferę, a finansisci, którzy byli wynagradzani w tej „małpiej walucie”, składali skargi na Savary'ego, Desmarettsa i Schulmeistera. Aby nie szkodzić odnowionym relacjom z dawnymi wrogami Francji, Ludwik XVIII wyciszył sprawę.*

*Thierry Lentz, dyrektor
Fondation Napoléon w Paryżu.
Tekst jest tłumaczeniem artykułu,
który ukazał się w „Revue
du Souvenir Napoléonien” 2001,
nr 437. Zmiany od redakcji*

MAŁE PAŃSTWO, WIELKA ARMIA

HUBERT KORZENIOWSKI

Księstwo Warszawskie od początku swego istnienia borykało się z problemami finansowymi. Wojny toczone przez napoleońską Francję wymuszały na młodym państwie przeprowadzanie kolejnych zaciągów oraz konsekwentne powiększanie armii. Większość podatków przeznaczano na zaspokojenie potrzeb ministerstwa wojny. Warto się zastanowić, jak w takich okolicznościach funkcjonowała gospodarka, z jakimi trudnościami władze Księstwa zmagaly się w zarządzaniu armią i na co szły rządowe pieniądze.



Po zwycięstwie Napoleona i jego marszałka Louisa-Nicolas Davouta w bitwie pod Jeną i Auerstedt (16 października 1806 roku) Królestwo Prus było bliskie unicestwienia. Po zajęciu Berlina całe dywizje i korpusy poddawały się niemal bez walki, a Fryderyk Wilhelm III wraz z żoną schronił się w Królewcu. A jednak w listopadzie 1806 roku, mimo nadziei Napoleona, do końca wojny wciąż było daleko. Ku linii Wisły ciągnęło bowiem 100 tys. żołnierzy rosyjskich, którzy mogli jeszcze odmienić losy wojny. Wielka Armia została zmuszona do przejścia Odry i wkroczenia na terytoryj dawnej Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy od dziesięciu lat pojawiła się szansa na to, aby sprawa polska ponownie zaistniała na arenie międzynarodowej. Napoleon, świadomy konieczności zorga-

nizowania baz zaopatrzeniowych dla wojska oraz możliwości uzupełnienia ubytków w szeregach tysiącami nowych rekrutów, wezwał do siebie byłego dowódcę Legionów Polskich we Włoszech Jana Henryka Dąbrowskiego, który we współpracy z Józefem Wybickim wydał odezwę do narodu. Wezwanie do czynu, sformułowane w emocjonalnym tonie, kończyły słowa Napoleona: *Obaczę, jeżeli Polacy godni są być Narodem*. Dwa tygodnie później w czasie przyjęcia deputacji wielkopolskiej arystokracji i ziemiaństwa w Berlinie cesarz Francuzów sformułował już konkretne oczekiwania. Ksawery Działyński, członek poselstwa, zanotował w sprawozdaniu deklarację Napoleona w sprawie ogłoszenia niepodległości Polski, *skoro 30 do 40 tysięcy ludzi pod broń zbierzemy*.

✔ **Bitwa pod Raszynem,**
mal. January Suchodolski.
Fot. Muzeum Wojska
Polskiego w Warszawie



CHŁOPCY NIE DO KOŃCA MALOWANI

Na wezwanie do walki ruszyli ochotnicy z Kalisza, Sieradza, Łęczycy i wielu innych miejscowości, których mieszkańcy, inspirowani przez dawnych generałów ziemiańskich i oficerów czasów przedrozbiorowych, rozbrajali pruskie garnizony oraz zajmowali kasy miejskie. Równocześnie tworzone wojska regularne – na polecenie Dąbrowskiego przeprowadzono pobór z województwa sieradzkiego i kaliskiego, zaś dawny wojewoda gnieźnieński Józef Radziwiński ogłosił akt pospolitego

ruszenia szlacheckiego, w ramach którego do stycznia 1807 roku do wojska zgłosiło się 6 tys. szlachty wielkopolskiej. Polskie jednostki brały udział w oblężeniu Grudziądza i Gdańska oraz zdobyciu Słupska i Tczewa. Warte podkreślenia były także akty ofiarności ludności polskiej – mieszkańcy Poznańskiego np. uchwalili dobrowolną ofiarę pieniężną, z kolei wielu ziemian z radością gościło u siebie żołnierzy francuskich i polskich, dostarczając im potrzebne elementy wyposażenia oraz żywność. Bogatsi przedstawiciele zamożnego ziemiaństwa i arystokracji nieraz wpłacali tak-

że hojne datki, które ułatwiły formowanie nowych pułków w 1806 i 1809 roku.

Szybko jednak okazało się, że patriotyczny zapał to za mało, aby zaspokoić potrzeby armii. Działania wojenne i rekwizycje zrujnowały znaczne połacie kraju. Skarbu utworzonego na mocy traktatu tylażyckiego Księstwa Warszawskiego był zbyt mały, aby opłacić wojsko, które na mocy nadanej przez Napoleona konstytucji miało liczyć 30 tys. żołnierzy. Oficerowie narzekali na zły stan wyposażenia i umundurowania swoich podkomendnych oraz wielomiesięczne zaległości w wypłacie żołdu. Władze wojskowe imaly się przeróżnych sposobów w celu poradzenia sobie z tym problemem – 5., 10. i 11. pułk piechoty weszły w skład garnizonu Gdańska, przechodząc na żołd francuski, podobnie jak pułki 4., 7. i 9., które zostały wysłane do Hiszpanii. Oszczędzano także, kierując żołnierzy do domów na bezpłatne urlopy, z których jednak często nie wracali. Generowało to nowy problem, jakim było ściganie dezertersów.

Za kolejne niedociągnięcie administracji Księstwa należy uznać to, że ustanowiono racje żywnościowe, ale nie zadbano o regularną dystrybucję prowiantu. W okresie pokoju żywność wydawano nieregularnie z powodu złej sytuacji gospodarczej kraju, zniszczeń i nieurodzaju, w czasie wojny dodatkową przeszkodę stanowiła nierównomiernie rozciągnięta sieć magazynów. W praktyce ciężar wyżywienia wojska spadał przeważnie na barki ludności miejscowej, u której kwaterowali żołnierze. Sytuacji nie poprawiła zwycięska wojna z Austrią w 1809 roku – w myśl konwencji zawartej z Napoleonem Fryderyk August, król saski i książę warszawski, zobowiązał się do zwiększenia liczby żołnierzy do 60 tys. Potrze-



↑ Król saski i książę warszawski Fryderyk August Wettyn, mal. Marcello Bacciarelli. Fot. Zamek Królewski w Warszawie

by wojska i obronności stanowiły przeważającą część wydatków państwa (w roku 1810 nakłady wyniosły 40 z 60 mln zł), jednak wciąż były to sumy dalece niewystarczające do zaspokojenia potrzeb armii.

BLOKADA KONTYNTENTALNA

Księstwo Warszawskie, utworzone z ziem drugiego i trzeciego zaboru pruskiego, w 1809 roku powiększone o część Galicji, wciąż stanowiło mniej niż 20 proc. obszaru dawnej Rzeczypospolitej, choć trzeba przyznać, że były to najgęściej zaludnione tereny dawnej Korony. Mimo nie najgorszego potencjału ludnościowego powiązania polityczne Księstwa Warszawskiego z Francją miały poważne konsekwencje dla ekonomii kraju. Rolniczy profil gospodarki Księstwa poważnie skomplikowało jego włączenie w system napoleońskiej blokady kontynentalnej. Na dłuższą metę zmusiło to do zerwania z najpoważniejszym importerem polskiej pszenicy, jakim niewątpliwie była Anglia. Dodatkowo odcięcie od portów bałtyckich, blokada żeglugi na Wiśle przez niekorzystne cła pruskie oraz nieprzychylna polityka państw ościennych nie wróżyły pomyślnego rozwoju stosunków handlowych.

Wielkie nadzieje pokładano we władzach wykonawczych Księstwa, wydawało się bowiem, że są w stanie sprostać oczekiwaniom oświeceniowych intelektualistów, marzących o silnym rządzie. W sferze gospodarki wiązało się to z opieką nad wciąż raczkującym przemysłem – ulgami podatkowymi dla zagranicznych kupców i rzemieślników osiedlających się w Księstwie, ograniczeniami w imporcie produktów, które mogły być wykorzystane w rzemiośle na rynku krajowym, czy zakazem eksportu towarów, które były



♠ Książę Józef Poniatowski, naczelny wódz armii Księstwa Warszawskiego. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

szczególnie ważne dla funkcjonowania armii (np. mięsa, które było istotnym składnikiem żołnierskiej diety). Nie zmieniło to faktu, że wymuszone zmiany w pierwszych latach po wprowadzeniu blokady przyniosły duże straty dla rolnictwa z powodu drastycznych obniżek cen zboża. Zamiast zadbać o modernizację majątków, ziemianie zajmowali się przede wszystkim odbudową ze zniszczeń wojennych i zabieganiem o rekompensatę za szkody i świadczenia poniesione na rzecz armii.

Mimo wszystko wypada podkreślić, że blokady kontynentalnej nie można uważać jedynie za

czynnik hamujący gospodarkę. Wstrząs, do jakich doprowadziła na rynku krajowym, były znaczne, ale dzięki polityce protekcyjnej zmodernizowanego aparatu państwowego należy mówić raczej nie o stagnacji gospodarczej, lecz o przetasowaniu kapitału i otwarciu się na rynki Europy Środkowej, czego dowodzą bilanse handlu zagranicznego Księstwa. O dwojakich skutkach blokady świadczy to, że mimo wielkich nakładów ekonomicznych związanych z wysiłkiem zbrojnym egzekwowanym przez Francję Księstwo tak długo było w stanie finansować kolejne inwestycje wojskowe.

WSCHODNI BASTION NAPOLEŃSKIEJ EUROPY

Choć już wcześniej prowadzono w Księstwie prace fortyfikacyjne, dopiero po wojnie z Austrią i w obliczu potencjalnej konfrontacji zbrojnej z Rosją Napoleon zaczął dbać o rozbudowę twierdz. Nowa sytuacja geopolityczna po 1811 roku wyraźnie wpłynęła na opinię cesarza Francuzów na temat strategicznej roli Księstwa Warszawskiego, które jako najdalej wysunięte na wschód miało bronić francuskich interesów w tej części Europy. Wiązało się to z kolejnymi wysiłkami i obciążeniami, które zostały narzucone małemu krajowi w wyjątkowo niesprzyjającej sytuacji finansowej. Napoleon interesował się postępami budów, żądał raportów i rysunków aktualnego stanu twierdz, osobiście wytyczając kolejne linie umocnień. Na wałach najważniejszych twierdz w Modlinie, Zamościu i Toruniu pracowało codziennie niemal 30 tys. robotników cywilnych i wojskowych. Do tego należy doliczyć kolejnych 40 do 50 tys. chłopów, którzy w ciągu roku przewinęli się przy budowie fortyfikacji. Ciężka praca wyczerpywała pracowników, efektem była rosnąca skala dezercji. Na domiar złego w 1811 roku znacznej części Europy dotknęła klęska nieurodzaju. Odbiło się to także negatywnie na przygotowaniach wojennych, przede wszystkim na fizycznym stanie armii. Na początku roku 1812 lazarety były pełne żołnierzy chorych na szkorbut, zaś ich ogólnie słaby stan zdrowia zaprocentował wysokimi stratami marszowymi w pierwszych etapach kampanii rosyjskiej.

Warto także podkreślić, że żywienie i opłacenie robotników kosztowało krocie. Władze Księstwa Warszawskiego były zmuszone do zaciągnięcia kolejnych

pożyczek od rządu francuskiego, aby móc sfinalizować budowę twierdz. Wyłożona na ten cel kwota sięgnęła 12 mln franków. Choć nawet sam król Fryderyk August oddał część dochodów ze swoich dóbr, ostatecznie prace fortyfikacyjne nie zostały dokończone przed wybuchem drugiej wojny polskiej w 1812 roku.

WOJSKOWY RYNEK ZBYTU

Popyt na usługi świadczone na rzecz armii wykształcił specyficzną grupę przedsiębiorczych ludzi, głównie kupców i bankierów pochodzenia żydowskiego, którzy zmonopolizowali dostawy dla wojska. Liweranci (dostawcy wojskowi) organizowali dla armii konie, siano, owies, żywność, a także skóry, sukno i płótno na mundury, czerpiąc ogromne zyski z kontraktów zawieranych z państwem. Wojsko i administracja polegały na ich dostawach, także w kontekście realizacji wielkich przed-

Czas próby dla Księstwa Warszawskiego nadszedł w 1812 roku. W obliczu przygotowań do wojny z Rosją wymagania Napoleona rosły z miesiąca na miesiąc

sięwzięć fortyfikacyjnych. Oprócz zaopatrywania robotników liweranci dostarczali bowiem także materiałów budowlanych i narzędzi. Często ci sami przedsiębiorcy, którzy zajmowali się dostawami dla wojska, zawierali z ministerstwem skarbu umowy na dzierżawy monopoli państwowych (w tym najbardziej dochodowych tabacznego i solnego; ten drugi był szczególnie ważny ze względu na to, że solą konserwowano mięso dla wojska). Dysponując pieniędzem w gotówce, mogli inwestować w rzemiosło i przemysł, zasilać jednocześnie budżet Księstwa.

O ich pozycji świadczyły znaczne majątki oraz protekcja i przywileje nadawane im przez najważniejsze osoby w państwie.

KRAJ U KRESU WYTRZYMAŁOŚCI

Prawdziwy czas próby dla Księstwa Warszawskiego nadszedł w 1812 roku. W obliczu przygotowań do wojny z Rosją wymagania Napoleona rosły z miesiąca na miesiąc: przeprowadzenie kolejnych zaciągów rekrutów, uzupełnienia dla pułków wracających z Hiszpanii, przygotowanie zapasów żywności i oporządzenia dla nadciągających korpusów Wielkiej Armii. Uchwalone na sejmie w 1811 roku ilości racji żywnościowych dla jednostek z Księstwa Warszawskiego okazały się za małe o dziesiątki tysięcy korców zboża, a nie brano jeszcze wtedy pod uwagę konieczności wyżywienia wojsk sprzymierzonych. Na prośbę ministerstwa wojny Fryderyk

August wyraził zgodę na przeprowadzenie rekwizycji potrzebnych zapasów kosztem ludności cywilnej, jednocześnie przekazując księciu Józefowi Poniatowskiemu, naczelnemu wodzowi wojsk polskich, aby tej decyzji nie publikować w Dzienniku Praw (innymi słowy, nie podawać do wiadomości ogółu).

Kolejne problemy pojawiły się w momencie wejścia na terytory Księstwa wojsk sprzymierzonych. Konflikty między korpusami z powodu konfiskaty zapasów przygotowanych dla innych jednostek niejednokrotnie rozwiązy-



« Polski fizyljer podczas bitwy.
Rys. Marek Szyszko

nostek pozostawionych w garnizonach, gwardii narodowej oraz szczątków pułków powracających z Rosji, do stycznia 1813 roku udało się wystawić ok. 22 tys. żołnierzy. Liczby nie oddają jednak stanu faktycznego – wielu żołnierzy i oficerów pozostawało w szpitalach lub nie posiadało mundurów, butów czy broni. Kawalerii i artylerii brakowało koni. Znajdująca się w ciężkiej sytuacji administracja wojskowa zdecydowała o przeprowadzeniu zaległego poboru, a także powrocie do koncepcji pospolitego ruszenia. Na przeszkodzie skutecznej realizacji tych przedsięwzięć stanęły chroniczny brak gotówki oraz czasu – rosyjska armia po przejściu Niemna wkroczyła na terytorium Księstwa w pierwszych miesiącach 1813 roku. Krytyczna sytuacja i dylematy moralne związane z trwaniem przy napoleońskiej Francji znalazły swój finał w początkach maja, kiedy ostatnie oddziały polskie – 14 tys. ludzi (nie licząc obleganych jeszcze twierdz Modlin i Zamość) – pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego wyruszyły z Krakowa w drogę do Saksonii. Niektórzy z żołnierzy dotrwali przy Napoleonie aż do jego upadku i abdykacji w 1814 roku.

Hubert Korzeniowski, student historii na Uniwersytecie Warszawskim, zajmuje się m.in. rewolucją francuską i epoką napoleońską

wano siłą. Oszczędności szukano na każdym kroku – brat Napoleona król Westfalii Hieronim Bonaparte w korespondencji z księciem Józefem ze zdziwieniem zauważył, że wojskom Księstwa wydawano taką samą ilość żywności jak w czasie pokoju, podczas gdy armia sprzymierzonych już od trzech miesięcy dostawała zwiększone racje wojenne.

Efektom dramatycznej sytuacji finansowej i widma nieuchronnego bankructwa była próba dymisji rządu. Wniosek w tej sprawie złożono pod koniec maja 1812 roku na ręce Fryderyka Augusta. Ministrowie, niemogący sprawować swoich funkcji, zwrócili się z prośbą do monarchy o wzięcie przez Francję Księstwa Warszawskiego pod bezpośredni zarząd wojskowy, co jednak ostatecznie nie nastąpiło ze względu na kolejną pożyczkę udzieloną przez Napoleona. Sytuacja zaczęła się stabilizować

dopiero po przejściu Wielkiej Armii przez Niemen i rozpoczęciu żniw.

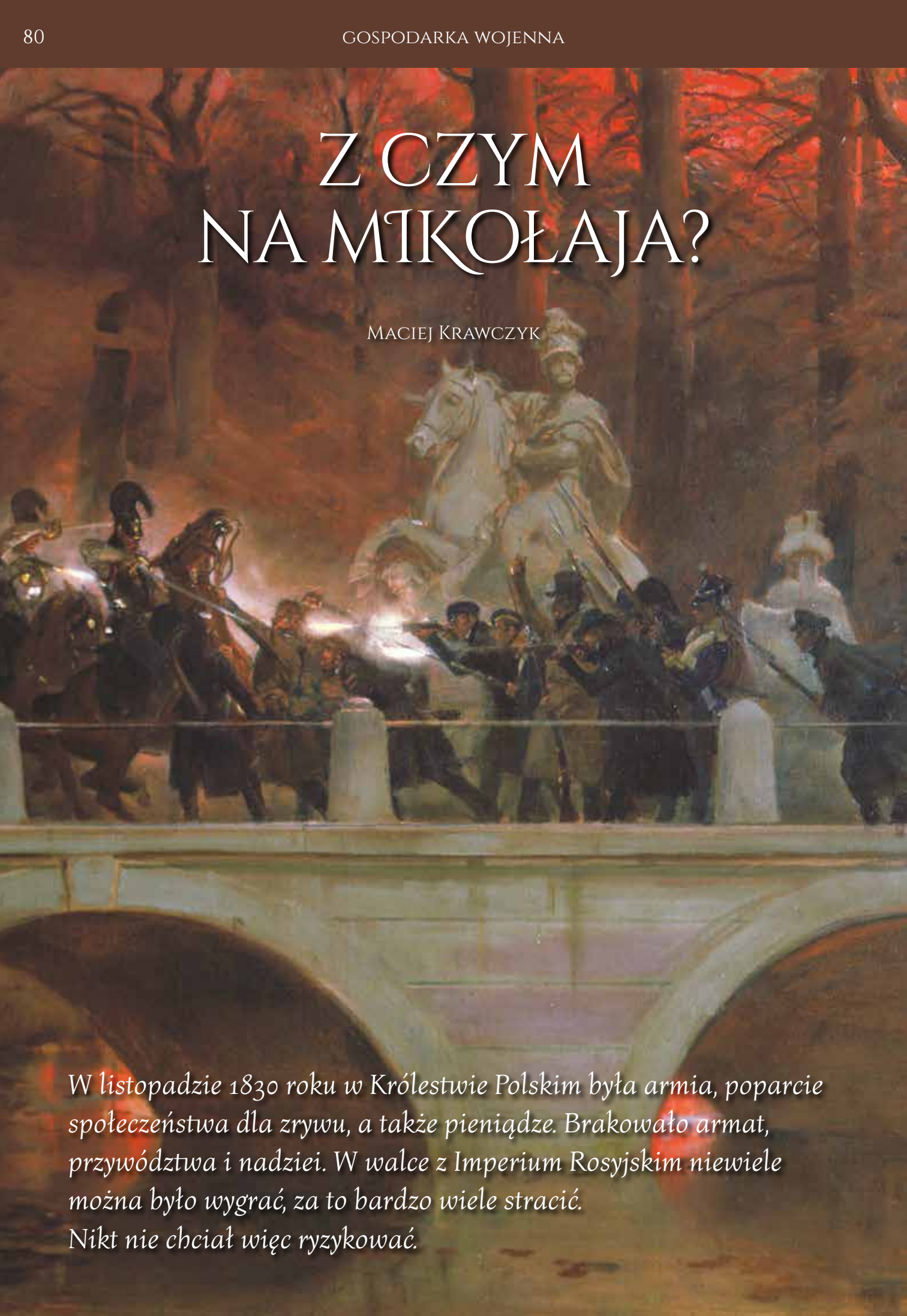
ODBUDOWA ARMII PO KAMPANII ROSYJSKIEJ – KONIEC EPOPEI

Kolejne miesiące upływały na organizacji przemarszu uzupełnień dla Wielkiej Armii i przygotowywaniu dla nich zaopatrzenia. Z powodu braku pieniędzy pod znakiem zapytania stanęła kontynuacja robót fortyfikacyjnych oraz przeprowadzenie nowego poboru. Kampania toczona przez Napoleona przybrała natomiast dramatyczny obrót i mimo bohaterstwa żołnierzy sytuacja wydawała się beznadziejna. Straty polskie szacowano na 90 tys., a armię trzeba było w większości organizować od nowa.

Mimo niełatwego zadania władze Księstwa z energią przystąpiły do działania. Korzystając z jed-

Z CZYM NA MIKOŁAJA?

MACIEJ KRAWCZYK



W listopadzie 1830 roku w Królestwie Polskim była armia, poparcie społeczeństwa dla zrywu, a także pieniądze. Brakowało armat, przywództwa i nadziei. W walce z Imperium Rosyjskim niewiele można było wygrać, za to bardzo wiele stracić. Nikt nie chciał więc ryzykować.

Powstanie listopadowe, jego szanse czy potencjał armii Królestwa Polskiego do dziś są przedmiotem ostrych sporów wśród historyków. Co interesujące, obie strony mają rację. Cała rozebrana Rzeczpospolita czy nawet jej rosyjska część w tym momencie historii mogła mieć dość siły, by zmusić cesarstwo do bardzo znacznego wysiłku. Może nawet zbyt wielkiego. Niecała Rzeczpospolita, a nawet niecałe Królestwo Polskie, wzięła jednak w powstaniu udział. Środki, jakie mieli do dyspozycji kolejni nieudolni wodzowie powstania listopadowego, pochodziły tak naprawdę tylko z czterech lewobrzeżnych województw zaboru rosyjskiego. To niewiele. Tym bardziej że część centralnych zasobów Kongresówki, np. zgromadzone rezerwy finansowe, nie została naruszona.

BYŁO SOBIE WOJSKO

Co prawda było wojsko. 25 tys. żołnierzy, świetnie wyszkolonych, do utraty tchu i rozsądku musztrowanych przez maniakalnego fana defilad Konstantego Romanowa i przez niego wyposażonych w najnowsze osiągnięcia militarnej techniki. To wcale nie tak mało. Amarantowo-biały korpus mógł się stać elitą i siłą napędową każdej europejskiej armii tego czasu. Co potrafi to wojsko, okazało się m.in. w bitwie o Olszynkę Grochowską, kiedy niemal wszystko w polskiej armii zadziało jak powinno, łącznie z mitycznymi racami Congreve'a.

Problem polegał jednak na tym, że Olszynka, ten zwycięski remis, będący źródłem tak wielu mitów

« *Noc listopadowa (starcie belwederczyków z kirasjerami), mal. Wojciech Kossak.*

Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

o powstaniu, była wyjątkiem, nie regułą. Polska armia została stworzona i zorganizowana przez księcia Konstantego. Oprócz tak często wymienianych zalet miało to również wady. Księżę może i kochał swoich żołnierzy, ale miłością tyrańską i zaborczą. Sprzeciwu nie znosił. Ba, zdarzało mu się nawet policzkować oficerów, rzecz niebywała w polskiej tradycji wojskowej, i doprowadzać ich do samobójstwa. A im niższe szarże, tym gorzej. Nominacje podoficerskie otrzymywały najczęściej miernoty, zdolne co prawda knu-

tów w wieku 18–45 lat (roczniki 1786–1812), przy czym najstarsi pamiętali jeszcze Napoleona. Zatem w sumie pod broń można było powołać ponad 260 tys. poborowych. W powstańczy wysiłek udało się więc wciągnąć ponad 40 proc. całego potencjału. To naprawdę doskonały wynik, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę trudności wynikające z samej zasady werbunku (np. część powiatów zamiast rekruta postanowiła przysyłać bliżej nieokreślone sumy pieniędzy) i faktu, że przez umyślną opieszałość dowództwa korzystanie z zasobów

25 tys. żołnierzy, świetnie wyszkolonych, do utraty tchu i rozsądku musztrowanych przez maniakalnego fana defilad Konstantego Romanowa i wyposażonych w najnowsze osiągnięcia militarnej techniki, to niemało

tem i sznurkiem zmusić żołnierzy do równego marszu na defiladach i nienagannej koszarowej prezentacji, ale kompletnie nieprzydatne w warunkach polowych. Ponadto ci żołnierze nigdy nie wachali prochu. Nie byli otrząskanymi w boju weteranami, brakowało im polowego doświadczenia.

Obok nich na nową wojnę o niepodległość, nazywaną przez Rosjan rewolucją, powołano świeżego rekruta. Przez szeregi armii przewinęło się 115 tys. ludzi – mniej więcej połowa tego, co mogło wówczas wystawić cesarstwo. Historyk Tomasz Bohun dokonuje następującego rachunku: W 1831 roku Królestwo Polskie zamieszkiwało niewiele ponad mln mieszkańców, w tym ponad 500 tys. Żydów i Niemców, którzy obojętnie, a niekiedy wrogo, odnosili się do powstania. Zostaje ok. 3,5 mln osób, z czego mężczyźni to mniej więcej połowa. W czasie powstania powołano do wojska rekruty

na prawym brzegu Wisły było właściwie niemożliwe. Oczywiście do potencjału powstania trzeba doliczyć choćby dość istotny korpus gen. Józefa Dwernickiego, którego zwycięstwo pod Stoczkiem było nie do przecenienia dla insurekcyjnego morale. Nie zmienia to jednak faktu, że o potencjałe zrywu decydowały tak naprawdę tylko cztery lewobrzeżne województwa. To one musiały wyekwipować i wyżywić gigantyczną jak na dostępne zasoby armię.

PEŁNE ŁADOWNICE I CIASNO ZASZNUROWANA KIESA

Właściwie jedno, czego nie brakowało, to proch. Młyny prochowe, które przed wybuchem powstania były nieczynne, błyskawicznie rozpoczęły produkcję – pisał Bohun – także dzięki pomocy polskich aptekarzy, którzy sprowadzali z zagranicy kwas saletrzany, z którego odparowywano saletrę. Produkcji nowocze-



▲ Żołnierze 1. Pułku Strzelców Pieszych. W 1830 roku armia Królestwa Polskiego liczyła 25 tys. żołnierzy, jednak podczas powstania listopadowego nie wykorzystano całego potencjału państwa. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

snej broni zasadniczo jednak nie było. Rosjanie umyślnie nie pozwalali na rozwój lokalnego przemysłu zbrojeniowego. Armat nie było z czego i jak odlewać, niespecjalnie kto miał to również robić. Nicco lepiej sprawa przedstawiała się z bronią palną. W Warszawie, największym ośrodku rusznikarskim, podczas powstania udało się wyprodukować 5 tys. karabinów. To trochę mało dla 100 tys. świeżych rekrutów. Widmo polskiej armii szturmującej kosami armaty, które udało się odpędzić 20 lat wcześniej, powróciło w roku 1830.

Broń trudno też było sprowadzać z zagranicy. Mimo pewnych głosów wsparcia z przygotowywanego się już powoli do Wio-

sny Ludów Zachodu, szczególnie z Niemiec, gdzie powstańców nazywano jaskółkami rewolucji, za darmo nikt nic nie chciał dać. A z nieco niezrozumiałych powodów nie ruszono 30 mln zł ze skarbu Królestwa Polskiego (co prawda większość tych pieniędzy znajdowała się w zamrożonych oczywiście depozytach w bankach Petersburskich i moskiewskich). Tak ogromna kwota mogłaby zmienić bieg właściwie każdej wojny. Zamiast tego bezskutecznie zabiegano o zagraniczne fundusze.

Bardzo często jako główną słabość polskiego zrywu wymienia się braki w artylerii. Armaty starano się odlewać z przetopionych dzwonów lub z żelaza, z raczej marnym skutkiem, do służby

włączono również 12 ciężkich armat tureckich – zdobyczy rosyjskich z wojny z Turcją. Rzeczywiście artyleria Królestwa była słaba, jednak przewaga siły ognia armii rosyjskiej nie tak duża, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało. Nawet pod Ostrołęką wynosiła zaledwie 2 do 1. Zdecydowała ona właściwie tylko o jednej bitwie, tej ostatniej, najważniejszej – wrześniei obronie Warszawy. Tam jednak na prawie 40-tys. garnizon, wspomagany również działami, które w końcu udało się odlać, przetapiając dzwony, następnym Iwan Dybicza, bezwzględny Iwan Paskiewicz, rzucił 85 tys. weteranów, przed którymi pole zwyciężyło aż 339 dział. Warszawa to jednak nie Zbaraż.

KOSZMARY DOWÓDZTWA

No i nie było Jaremy. I to nie tylko tego wyidealizowanego przez Sienkiewicza, ale choćby prawdziwego, historycznego Wiśniowieckiego, z jego wszystkimi niemal wadami. Przywództwo zarówno polityczne, jak i przede wszystkim wojskowe, po prostu nie istniało. Zupełnie jakby na powstaniu zaciążył jego grzech pierworodny – krew zamordowanych w listopadową noc generałów. Stanisław Trębicki, Maurycy Hauke, Stanisław Potocki, Ignacy Blumer, Tomasz Jan Siemiątkowski i Józef Nowicki odrzucili władzę ofiarowaną im przez zrewoltowany tłum i przez to zginęli. Prawdopodobnie każdy z nich byłby lepszym wodzem naczelnym niż nie-

udolny Jan Skrzynecki czy Józef Chłopicki – pierwszy na tym stanowisku, którego działania trudno oceniać inaczej niż jako najzwyczajniejszą zdradę (mimo dzielnej postawy pod Olszynką).

Najzwyczajniejszy sabotaż ze strony naczelnego wodza wytrącił z rąk powstańców najcenniejsze atuty – inicjatywę i czas. Stracono siedem tygodni. 45 dni, kiedy można było przenieść działania na lewy brzeg Wisły, poderwać Litwę, zbuntować stacjonujący tam, składający się głównie z Polaków, 20-tys. korpus i obsadzić granice. I czekać, czy carowi nie zadrży ręka.

Potencjał 4-mln Królestwa Polskiego miał się nijak do potęgi ponaddziesięciokrotnie liczniejszego cesarstwa. Ale koncentracja wojsk, które musiałyby się

zmierzyć z okopanym na pozycjach i zapewne zdeterminowanym przeciwnikiem, mogła być dla cara niespodziewanie kłopotliwa, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę epidemię dziesiątkującą imperialne oddziały. Dodatkowo jeśli warszawscy politycy ułożyliby inteligentnie sformułowaną listę żądań dającą carowi szansę wyjścia z twarzą z całej sytuacji, to kto wie?

Wiemy jednak, że to nie było możliwe. Potencjał państwa to nie tylko jego mieszkańcy, bogactwo czy zdolności przemysłowe. To także ludzie u steru, polityczna wola i wspólnota celów. Tych zabrakło. Powstanie wywołała grupa niezadowolonych oficerów, której dziwnym zrzędzeniem losu, mimo krańcowej nie-

✂ **Gmach Arsenалу w Warszawie. Jedną z bolączek powstańców listopadowych był brak uzbrojenia, bowiem w Królestwie Polskim nie funkcjonował przemysł zbrojeniowy. Fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie**



kompetencji (ucieczka Konstantego z Belwederu), udało się porwać lud Warszawy i część miejskiego garnizonu. Ludzi zdolnych do przejścia władzy i rozsądnego pokierowania zrywem, z bardzo małymi wyjątkami, po prostu nie było. Z dwóch bardzo różnych powodów. Pierwszym był fakt, że odrodzenie wolnej Polski, zwłaszcza w duchu Mochnackiego i Lelewela, wcale nie leżało w interesie najwyższych warstw społeczeństwa. Bycie najbardziej uprzywilejowaną częścią imperium, swoistym poligonem reform, wiązało się z bardzo konkretnymi korzyściami. Ich beneficjentami były zresztą nie tylko elity. Co równie ważne – w przypadku pełnego powodzenia zrywu Kongresówka odłączona od potężnego wschodniego protektora, żandarma Europy, byłaby państwem małym i słabym, a w dodatku ciągłym zagrożeniem dla wszystkich zaborców. W dalszej perspektywie odrodzona Polska po prostu nie miała szans się utrzymać.

Ten brak jasno określonego planu na przyszłość był chyba najlepszym dowodem na kompletny brak przywództwa powstania listopadowego. Nikt nie zadawał pytania, co dalej, ponieważ w żadne dalej nikt nie wierzył. To od razu stawiało polskich żołnierzy w sytuacji Almanzora na alpucharskiej wieży – desperackiej obrony bez szans powodzenia. Obrazują to może najlepiej słowa gen. Józefa Bema: *Trzeba było widzieć smutek naszego wojska, które pobiwszy nieprzyjaciela częścią tylko ekspedycji, pędzone było w tył przez własnego wodza naczelnego, wtenczas kiedy siła jego więcej jak w dwójnasób się powiększyła*. Wędzidło założone powstaniu przez jego przywódców skutecznie wyhamowało jego rewolucyjny charakter i nie pozwoliło na powtórzenie się belgijskiego scenariusza. Podobna beznadzieja panowała zresztą w kołach przywództwa politycznego. Rozdzierające *zguliliście Polskę księcia Adama Czartoryskiego, słowa, które wypowie-*

dział przy podpisywaniu aktu de-tronizacji cara, pokazuje to dość dobitnie. Wyraźniej jednak przemawia brak jakiegokolwiek skon-solidowanej akcji na arenie międzynarodowej, choćby prób szukania sojuszników, nawet jeśli polską sprawę mieliby poprzeć choćby słowem. Biorąc to pod uwagę, trudno się dziwić, że *spokój zapanował w Warszawie* tak szybko, choć przecież punkt wyjścia powstania listopadowego był lepszy od większości polskich zrywów. To po prostu nie był czas dla rewolucji.

Pytanie, z czym na Mikołaja, sugerujące tradycyjną słabość polskiej armii, zwłaszcza w dziedzinie artylerii i produkcji uzbrojenia, jest być może mniej ważne od pytania: z kim, lub bardziej fundamentalnego: po co. Na nie jednak nawet najbardziej światłe i patriotyczne elity Kongresówki nie potrafiły dać odpowiedzi.

Maciej Krawczyk, redaktor „Mówią wieki”



POTENCJAŁ POWSTANIA

Królestwo Polskie – 4,2 mln obywateli. Na prawym brzegu Wisły 2,4 mln, na lewym brzegu 1,8 mln – z tych terenów udało się zmobilizować nieco ponad 20 tys. rekrutów, nie licząc sił nieregularnych, np. oddziałów Kurpiów.

Procent poborowych uznanych za niezdolnych do służby – 36,6.

Procent populacji królestwa powołany pod broń – 2,6 (na lewym brzegu Wisły odpowiednio większy).

SKARB

Budżet na rok 1831 – 79 mln zł, planowane wpływy 80 mln zł.

Dostępna rezerwa skarbowa – 8 mln zł w Banku Polskim i kasach rządowych

(1 mln talarów w Berlinie został zablokowany w grudniu 1830 roku, fundusze zdeponowane w Rosji były niedostępne).

Sumy na zakup obligacji – 2 mln zł.

Fundusze prywatne w Banku Polskim – 2,5 mln zł.

Depozyty pieczętowane – 28 mln zł.

Sumy depozytowe – 14 mln zł.

W czasie powstania mennica w Warszawie wybiła dodatkowe 12 mln zł z pozyskanych kruszców.

REZERWY PRZEMYSŁOWE

8100 t żelaza

7 mln łokci sukna

3143,5 t cyny

88 t spizu z dzwonów

REZERWY BRONI

Uzbrojenie armii regularnej, ale z rezerwą jedynie dziesięciu ładunków na karabin.

Arsenał w Warszawie – 35 644 karabiny, w tym 1333 karabiny jazdy oraz 3891 pistoletów (niestety, większość tej broni, zwłaszcza pistoletów, zniknęła podczas nocy listopadowej), 17 tys. szabli i ok. 1 tys. lanc.

PRODUKCJA ARTYLERII

Warszawa – 16 dział 12-funtowych, Samsonów, Odrowąż, Wąchock, Ostrowiec i Ćmielów – 50 spiżowych dział wałowych,

27 armat żelaznych ukończonych, 50 przygotowywanych.

« Antoine Lavoisier, francuski chemik, prawnik i finansista, członek Francuskiej Akademii Nauk. Fot. Wikimedia Commons

OJCIEC CHEMII

Życie i śmierć Antoine'a Lavoisiera

MICHAŁ GÓRNY

Aby dojrzało drzewo nauki, potrzebne są stulecia, ale jedno niszczące cięcie topora wystarczy do jego ścięcia. Te słowa francuskiego przyrodnika epoki oświecenia Bernarda de Lacépède'a w doskonały sposób obrazują życie i śmierć jednego z najwybitniejszych francuskich uczonych – Antoine'a Lavoisiera, który jeszcze stojąc na gilotynie, przeprowadził swój ostatni eksperyment naukowy.

Urodzony 26 sierpnia 1743 roku w Paryżu Lavoisier nie miał w dzieciństwie pod górkę – pochodził z bogatej rodziny urzędników sądowych i jeszcze jako dziecko odziedziczył duży majątek po matce. Wychowywany w duchu oświecenia, już od najmłodszych lat przejawiał zainteresowanie nauką, mając do niej talent. Nie jest to czczy komplement, bo już w wieku 11 lat rozpoczął naukę na Uniwersytecie Czterech Narodów – słynnym Collège des Quatre Nations, założonym przez kard. Mazarina. Odbierając nauki z zakresu astrologii i matematyki, interesował się jednocześnie botaniką, mineralogią oraz geologią. Jednak

jego twardo stąpający po ziemi ojciec Jean Antoine Lavoisier zgodnie z rodzinną tradycją namówił go na studia prawnicze. Antoine rozpoczął je w roku 1761 i ukończył dwa lata później, otrzymując tytuł licencjata. W 1764 roku, w wieku 21 lat, zdobył licencję adwokacką. Z zawodem adwokata nie było mu jednak po drodze, chociaż należy przypuszczać, że logiczny styl pisania i łatwość w formułowaniu logicznych wniosków zawdzięcza właśnie wykształceniu prawniczemu.

Pasję do nauki Lavoisiera podtrzymał jego przyjaciel, poznany jeszcze w College Mazarin geolog Jean-Étienne Guetard, z którym Antoine rozpoczął współpra-

cę przy badaniach geologicznych prowadzonych na terenie Francji. To właśnie badania minerałów i skał, a zwłaszcza gipsu, sprawiły, że chemia stała się głównym obszarem zainteresowań Lavoisiera. W 1764 roku rozpoczął on praktykę zawodową w parlamencie miasta Paryża (Parlament de Paris) i jeszcze w tym samym roku napisał pierwszą pracę z zakresu chemii. Rezygnując z pracy w zawodzie adwokata, został geologiem. Prowadził badania na terenie Alzacji i Lotaryngii. Doceniając jego dorobek w tej dziedzinie, 18 maja 1768 roku Francuska Akademia Nauk uczyniła go swoim członkiem. Utrzymanie laboratorium i praca badawcza nie były jednak tanie. Lavoisier postanowił więc zainwestować część majątku odziedziczonego po matce w Ferme Generale – przedsiębiorstwo zajmujące się poborem podatków. Był to niewątpliwie krok, który miał wielki wpływ na jego życie i śmierć.

FERME GENERALE

W absolutystycznej Francji system zbierania podatków był prywatny – zajmowali się tym dzierżawcy, którzy wpłacając określone sumy rządowi francuskiemu, odyskiwali wpłatę poprzez zbieranie podatków, oczywiście z dużą nadwyżką. Prywatny charakter zbierania podatków nie mieści się dzisiaj w głowie, jednak ówczesna administracja miała zbyt mało urzędników, by móc skutecznie egzekwować należne daniny. Kontrakty podpisywano na sześć lat. Dzięki temu stała grupa poborców zarabiała olbrzymie pieniądze; działając w imieniu króla, ludzie ci mieli specjalne względy, także w obliczu prawa. Poddawany istotnym reformom w latach sześćdziesiątych oraz osiemdziesiątych XVIII wieku system podatkowy był jednak uznawany za je-



⤴ Kalorymetr skonstruowany przez Lavoisiera i Pierre'a Laplace'a, urządzenie do pomiaru ciepła wydzielanego bądź pobieranego podczas procesów fizycznych i chemicznych.

Fot. Wikimedia Commons

den z symboli *ancien régime'u*, a poborcy byli powszechnie znienawidzeni.

Jednym z nich został Antoine Lavoisier. Miał wtedy 26 lat. Dzięki stanowisku poborcy mógł finansować swoje laboratorium i przedsięwzięcia naukowe, a o tym, że popełnił śmiertelny błąd, dowiedział się dopiero pod koniec życia. Praca nie była dla niego jedynie źródłem dochodu, o czym świadczy fakt, że podjął się opracowania nowego systemu miar i wag, który miał ujednoczyć i zniwelować różnice w pomiarach pomiędzy poszczególnymi regionami kraju.

Aby móc pozwolić sobie na bycie geniuszem i prekursorem nauk, oprócz pieniędzy dobrze mieć także wsparcie rodziny. Także w tej sprawie Lavoisier miał szczęście – w grudniu 1771 roku poślubił córkę innego poborcy podatkowego Marię Annę Pierette Paulze. Pewnej pikanterii sprawie dodawał fakt, że w dniu ślubu pan młody miał 28 lat, a panna młoda skończyła zaledwie 14. Małżeństwo było jednak udane – Maria była kobietą bardzo inteligentną i ciekawą świata oraz aktywnie wspierała męża, asystując mu w laboratorium, prowadząc salon, w którym często gościli przedstawiciele świata nauki, a także tłumacząc angielskie prace naukowe na język francuski.

OJCIEC NAUK CHEMICZNYCH

Lavoisier został zapamiętany jako ojciec współczesnej chemii z powodu swych prac dowodzących obecności tlenu i obalenia popularnej wówczas teorii flogistonu. Hipoteza ta została postawiona na przełomie XVII i XVIII wieku i zakładała obecność substancji zwanej z grecka flogistonem (od słowa *phlogistós* oznaczającego palny). Według głównego zwolennika tej teorii Georga Stahla flogi-

ston obecny w materiałach takich jak drewno czy papier odpowiadał za ich spalanie, a w metalach za proces rdzewienia (z wyjątkiem metali szlachetnych, które miały być pozbawione tej substancji). Stahl wskazywał, że w przypadku tak powolnego procesu, jakim jest rdzewienie, płomień wydzielany przez flogiston jest niewidoczny, w przeciwieństwie do gwałtownej utraty flogistonu w przypadku spalania.

Teoria flogistonu była krytykowana przez kolejne dekady XVIII wieku, została jednak obalona dopiero dzięki badaniom prowadzonym niezależnie przez dwóch uczonych – rosyjskiego chemika Michaiła Łomonosowa oraz Antoine'a Lavoisiera. Francuz, ogrzewając w zamkniętej kolbie metalowe próbki i dokładnie mierząc objętość powietrza w zbiorniku, dowiódł obecności „czystego powietrza”, stanowiącego piątą część zwykłego powietrza. W ten sposób wyodrębnił „kwasoród”, czyli tlen, klasyfikując go jako pierwiastek – termin, który także zaproponował i wprowadził do nauk chemicznych. Prowadząc eksperymenty z fosforem i siarką, Lavoisier zwrócił szczególną uwagę na fakt, iż po spaleniu obu substancji produkty spalania są cięższe od pierwotnych form, a objętość powietrza mniejsza. Badając zjawisko rdzewienia, udowodnił z kolei, że polega ono na łączeniu się metalu z tlenem. Stosując więc nowoczesną metodę ilościową, wprowadził prawo zachowania masy, udowadniając, że w przyrodzie nic nie ginie oraz że rzekomy flogiston nie istnieje, a procedura spalania jest związana z nowo odkrytym pierwiastkiem.

Udziałem Lavoisiera było obalenie jeszcze jednej, bardzo wiekowej teorii, zakładającej, że świat składa się z pięciu podstawowych żywiołów: wody, ognia, powietrza,

ziemi oraz eteru. Francuz udowodnił, że woda składa się z wodoru i tlenu, a powietrze z tlenu i azotu. Dzięki temu ukazał świat nieco bardziej skomplikowany i złożony z wielu pierwiastków.

PRAWNIK, FINANSISTA, CHEMIK I ROLNIK

W 1775 roku Lavoisier został mianowany dyrektorem Zarządu Prochów i Saletr – Administration Royale Des Poudres. Przeprowadziwszy się w sierpniu 1776 roku do Arsenалу Królewskiego, był odpowiedzialny za krajową produkcję prochu do końca trwania monarchii, a nawet dłużej, bo do 1792 roku. Podczas pracy w zarządzie Lavoisier skupił się na dwóch aspektach – wzmocnieniu mocy prochu oraz zapewnieniu stałych dostaw saletry, surowca strategicznego dla Francji. O ile pierwsza kwestia udała się jedynie połowicznie (co nie powinno budzić zdziwienia – naprawdę niewiele już można było poczynić w zakresie udoskonalenia mocy czarnego prochu), o tyle rozwiązanie drugiego problemu było bez wątpienia jego kolejnym sukcesem, zarówno naukowym, jak i po części gospodarczym.

Lavoisier nie tylko brał udział w badaniach nad nowym problemem prochowym testującym moc prochu, ale także interesował się bezpośrednią przyczyną eksplozji, jaka zachodzi po podpaleniu ładunku prochowego. W swoim niewydanym artykule naukowym poświęconym zjawisku detonacji spekulował, że moc prochu może być zależna od gatunku drewna, z którego wyprodukowano węgiel drzewny, jeden z trzech podstawowych składników prochu – oprócz siarki i saletry. Jego idea była jak najbardziej słuszna.

To jednak możliwości produkcji saletry we Francji były głównym przedmiotem zainteresowań

Lavoisiera. Występująca naturalnie saletra była eksportowana w XVIII wieku z tak odległych regionów jak Indie i Chile, jednak przy zastosowaniu ścisłych warunków środowiskowych oraz odpowiednich metod wytrącania kryształów możliwa była także produkcja saletry potasowej w warunkach umiarkowanych, chociaż na mniejszą skalę. To właśnie Lavoisier przeanalizował ówczesne metody produkcyjne, zwłaszcza kwestię cyrkulacji powietrza i wilgoci w ziemi, w której wytrącały się kryształki saletry. Na podstawie obserwacji oraz badań geologicznych wybrał następnie najbardziej obiecujące regiony w kraju, gdzie saletrę można było produkować na większą skalę. Ponadto obniżył koszty produkcyjne, używając do oczyszczenia saletry potażu – węglanu potasu.

Uznając najwyraźniej, że pracując jako poborca podatkowy, chemik oraz dyrektor Zarządu Prochów i Saletr ma wystarczająco dużo wolnego czasu, w 1778 roku Lavoisier zakupił nieopodal Blois majątek ziemski, gdzie testował wpływ nawożenia na wzrost plonów oraz popularyzował uprawę brukwi i ziemniaków. Uznając rolnictwo za jeden z głównych filarów państwowego dobrobytu, w 1783 roku został członkiem Paryskiego Towarzystwa Rolniczego, a następnie członkiem Komitetu Administracji Rolnictwa. Analizując sytuację francuskiej gospodarki ziemskiej od strony finansowej, założył specjalną kasę kredytową, której celem było wspieranie krajowego rolnictwa.

NARODZINY CHEMII KLASYCZNEJ

Bez wątpienia najważniejszym dziełem francuskiego chemika był traktat, uznawany za pierwszy podręcznik nowoczesnej chemii – *Traité élémentaire de chimie* (Traktat

podstawowy o chemii). W tej trzyczęściowej pracy nie tylko wprowadził pojęcie pierwiastka, opisując 27 znanych sobie przykładów (w tym, gwoli sprawiedliwości, kilka błędnych, jak światło i ciepło), ale omówił także wnioski na temat obecności tlenu w przyrodzie, podał tablice ze znanymi i spekulatywnymi związkami chemicznymi, skupił się na analizie metod badawczych oraz opisał narzędzia wykorzystywane do przeprowadzania eksperymentów, takich jak destylacja, rozdzielanie substancji czy spalanie. Praca oczywiście nie była pozbawiona błędów – nie mogło być inaczej. Lavoisier świadomie pominął takie zjawisko jak powinowactwo chemiczne, które zostało ostatecznie dopracowane przez Williama Thomsona. Trzymał się także błędnej teorii o istnieniu niezniszczalnego ciepłika – fluidu ciepła. Tę teorię, co interesujące, obalił angielski fizyk Benjamin Thompson, drugi mąż Marii Lavoisier, który poślubił ją w 1804 roku, po śmierci Lavoisiera.

Podręcznik Lavoisiera można uznać za symboliczne zakończenie nauk alchemicznych, będących czasem dość przypadkowym systemem zasad, hipotez i domysłów, i krok w stronę chemii jako zbioru uporządkowanych reguł i zasad umożliwiających wypełnianie luk poznawczych poprzez zastosowanie odpowiednich metod naukowych.

Uznanie istnienia ciepłika nie oznaczało zaniechania badań nad wydzielaniem ciepła. Wręcz przeciwnie. Pracując razem z innym uznanym francuskim naukowcem Pierre'em Laplace'em Lavoisier skonstruował kalorymetr – przyrząd służący do pomiarów ciepła wydzielanego podczas procesów chemicznych i fizycznych. Obserwując za pomocą tego urządzenia świnki morskie spożywające pokarm, ustalił, iż także jedzenie

prowadzi do wydzielania ciepła – stąd wprowadzenie pojęcia wartości energetycznej żywności.

WRÓG MARATA, WRÓG PUBLICZNY

Lavoisier poświęcał niemal cały swój czas nauce, jej rozwojowi oraz propagowaniu, dlatego obywatele niezwiązani ze światem nauki uważali go za aroganta i dziwaka. Gdy w 1787 roku opublikował wraz z kolegami nowe standardy nazewnictwa pierwiastków oraz substancji chemicznych (wiele z nich obowiązuje do dziś, jak kwas siarkowy czy siarczan), nie spodziewał się, że jego maniera, ale przede wszystkim brylowanie niemal wyłącznie w świecie najwyższych przedstawicieli świata nauki, jest solą w oku mniej uzdolnionych kolegów. Wspomniany traktat o chemii Lavoisier opublikował w tym samym roku, w którym rozpoczęła się rewolucja francuska. Rewolucja nie sprzyjała jednak rozwojowi nauk, co go tylko irytowało: uważał bowiem, że polityka nie tylko spowolniła i zaćmiła postępy badawcze, ale zabierała także cenny czas naukowcom. Nie oznaczało to jednak, że Lavoisier był zaciekłym wrogiem rewolucji – to właśnie w tym czasie pracował w Komisji Miar i Wag, a w 1791 roku opracował nową metodę obliczania dochodu narodowego. Ceniąc jego umiejętności, nowe władze powierzyły mu obowiązek kontrolowania wydatków związanych z dworem królewskim, duchowieństwem, sprawami zagranicznymi, drogami i mostami oraz żandarmerią narodową i akademiami.

Mimo to w tym samym 1791 roku ojciec chemii zyskał zacieklego wroga w osobie Jeana-Paula Marata, wpływowego rewolucjonisty, który bezskutecznie ubiegał się o członkostwo w Akademii Nauk. To właśnie Lavoisier uznał, że je-



⤴ Dziekan poborców podatkowych dźwigany przez francuskich chłopów, karykatura z czasów rewolucji francuskiej. Lavoisier, który był także poborcą podatkowym, został aresztowany w listopadzie 1793 roku i skazany na śmierć. Fot. Wikimedia Commons

go prace są pozbawione istotnych treści. W efekcie rozwścieczony Marat rozpoczął kampanię przeciwko chemikowi i chociaż jego działania przerwała śmierć z ręki Charlotte Corday, Lavoisier nie miał wśród rewolucjonistów dobrej opinii. Jego sytuacji nie poprawiał fakt, że był jednym z najbogatszych obywateli Paryża.

To jednak nie arogancja czy pieniądze stały się przyczyną jego końca, lecz fakt bycia poborcą podatkowym. Między 24 a 28 listopada 1793 roku wszystkich 28 poborców aresztowano, a następnie oskarżono o defraudację i liczne kradzieże. Jeszcze przed aresztowaniem zaniepokojony rewolucyjną gorączką Lavoisier pisał listy do swojego przyjaciela, wybitnego naukowca oraz polityka Benjamina Franklina. W korespondencji wyraził żal, że rewolucja francuska nie miała kogoś takiego jak on – człowieka zdolnego do ostudzenia emocji tłumu.

Współpracownicy Lavoisiera próbowali doprowadzić do wyodrębnienia w sądzie sprawy ojca chemii i sądenia go osobno, jednak bezskutecznie. Lavoisier, tak jak inni, został 8 maja 1794 roku skazany na śmierć za spisek przeciwko ludowi francuskiemu. Tego samego dnia zaplanowano egzekucję gilotyną na pl. Rewolucji. Gdy oskarżony poprosił o przełożenie wyroku, by móc dokończyć zaczęte badania, przewodniczący sądu odpowiedział: *Republika nie potrzebuje ani naukowców, ani chemików, wyrok nie może być opóźniony*. Zostało więc czasu na jeden, ostatni, prowizoryczny eksperyment, wykonany podczas egzekucji. Przed wyrokiem Lavoisier umówił się ze swoim asystentem, że po ścięciu głowy będzie mrugał jak najdłużej. Według świadków głowa przestała mrugać po ok. 20 s. Tak zakończył swój żywot ojciec chemii klasycznej.

Nie minęło jednak wiele czasu, a kaci sami stali się ofiarami

– zamach termidoriański zakończył okres jakobińskiego wielkiego terroru, a po nim nastroje częściowo opadły. Pod koniec 1795 roku władze oficjalnie rehabilitowały Lavoisiera, a dorobek naukowy jego i jego żony stał się podstawą francuskich, a następnie zachodnioeuropejskich, nauk ścisłych. Republika, która według słów przewodniczącego ławy sędziowskiej nie potrzebowała naukowców, nie przetrwała, chociaż położone za czasów jej trwania fundamenty polityczne i społeczne funkcjonują do dziś. Tak samo jednak przetrwały naukowe podstawy położone przez Lavoisiera – człowieka, który chociaż przegrał z systemem, dzięki swojemu dorobkowi dołączył do grupy wielkich reformatorów ery oświecenia.

Michał Górny, archeolog, historyk, doktorant na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego

WOJNA i inżynierowie

MICHAŁ KOPCZYŃSKI

Poranek 5 listopada 1854 roku był mglisty. Gęste opary zasłaniały ruiny pobliskiego Inkermanu i okoliczne wzgórza. Idealna pogoda do niespodziewanego ataku. Tak w każdym razie sądził dowodzący rosyjskimi wojskami książę Aleksander Mienszykow. Tydzień wcześniej nie udało się wprawdzie zająć Bałakławy i odciąć tym samym brytyjsko-francuskiego korpusu od dostarczanego z okrętów zaopatrzenia, ale przy okazji okazało się, że rozciągnięte pozycje brytyjskie były słabo obsadzone. To właśnie chciał wykorzystać Mienszykow.



Na Brytyjczyków miał uderzyć Fiodor Sojmonow, dowódca 10. Dywizji Piechoty dysponujący nominalnie 35 tys. ludzi w dwóch kolumnach. Nieporozumienia pomiędzy rosyjskimi dowódcami i szkoczkimi wojskami w nocy wywołały jednak chaos i do ataku ruszyło nieco ponad 6 tys. ludzi. I tak mieli przewagę, bo w okopach brytyjskich było niecałe 3 tys. żołnierzy. Rosjanom nie udało się jednak zaatakować Anglików, bo ci wystawili przed główne linie silne ubezpieczenia, które wdały się w walkę ogniową z wrogiem. Mieli nad atakującymi ogromną przewagę dzięki gwintowanym lufom ich karabinów, które zapewniały większą donośność niż rosyjskie gładkolufowe. O losach bitwy miała jednak zadecydować szybkość przemieszczenia sił brytyjskich na krytyczny odcinek. Piechotę i jazdę przerzucono prędko. Gorzej z działami. Ciężkie żelazne armaty grzęzły w błocie, a ich wtocze-

nie na szczyt wzgórza, z którego prowadzono ogień, wymagało pomocy 150 żołnierzy, ośmiu oficerów i trzech godzin. Ostatecznie Rosjan odparto, zadając im duże straty, ale cena była spora: Anglicy stracili ponad tysiąc ludzi.

Doniesienia z frontu wojny krymskiej śledzono w Anglii niemal na bieżąco dzięki licznej ekipie dziennikarzy (w tym fotografów), którzy obserwowali oblężenie Sewastopola. Sytuacją na Krymie interesowali się też trzej uznani inżynierowie i wynalazcy: William Armstrong, Joseph Whitworth i Henry Bessemer. Śledzili wydarzenia tyleż z ciekawości, co z powodów zawodowych. W końcu wszyscy mieli już za sobą ważne osiągnięcia na polu wynalazczości i przemysłu, choć żaden nigdy nie pracował dla armii. Kontakty pomiędzy sektorem wojskowym i cywilnym były bowiem w Anglii prawie żadne. Muszkiety wytwarzali rusznikarze z Birmingham, armaty odlewa-

no w szkockim Carron, okręty budowano w Plymouth, a saletrę wytwarzano w arsenale w Woolwich, gdzie odlewano też spiszowe armaty. Udział prywatnych przedsiębiorców w produkcji na potrzeby wojska był nieznaczny, a przecież to właśnie w sektorze cywilnym, a nie w wojskowym, już od prawie stulecia dokonywał się wielki przewrót w metodach i organizacji produkcji, znany z podręczników jako rewolucja przemysłowa.

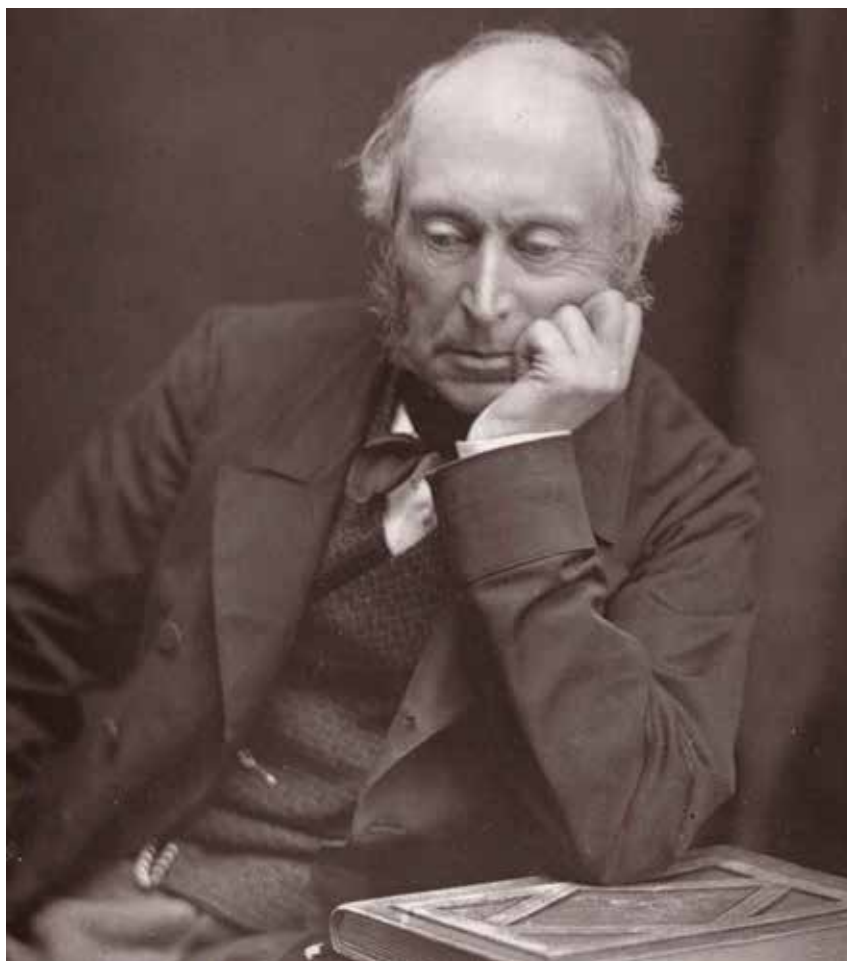
William Armstrong czytał relację „Timesa” spod Inkermanu w londyńskim domu swego przyjaciela Jamesa Rendela, inżyniera specjalizującego się w architekturze wodnej. Obaj doszli do wniosku, że brytyjska artyleria niewiele się zmieniła od XVII wieku. A przecież wojna jest sprawą zbyt poważną, aby zostawiać ją wyłącznie wojskowemu, którzy każdą przyszłą batalię wyobrażają sobie na kształt Waterloo. Tak jakby od tamtej pory w technice nic się nie zmieniło.

« Bitwa pod Inkermanem,
5 listopada 1854 roku.
Brytyjczycy wygrali tę batalię
dzięki lepszym karabinom
i mobilności swoich żołnierzy.
Fot. Wikimedia Commons

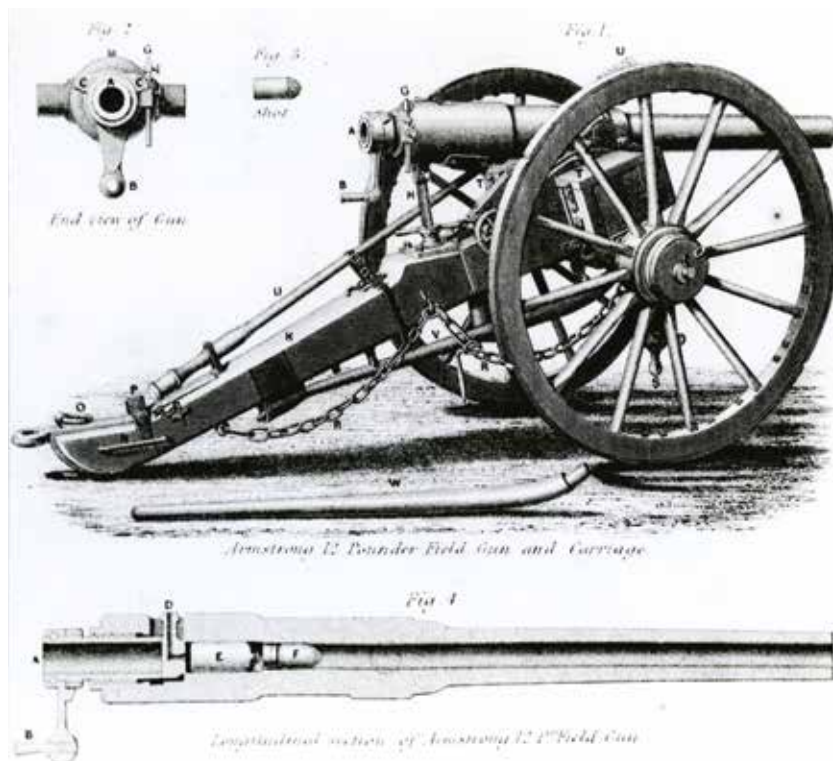


TRZEJ MUSZKIETEROWIE: WILLIAM ARMSTRONG

Pierwszy z trzech muszkieterów, którzy dokonali rewolucji technicznej i organizacyjnej w dziedzinie uzbrojenia, William Armstrong, był synem kupca zbożowego z Newcastle. Ojciec, który doszedł do dużych pieniędzy i stanowiska burmistrza miasta, koniecznie chciał uczynić zeń prawnika. Posłuszny syn skończył prawo i rozpoczął praktykę adwokacką, ale cały czas myślami był przy technice. Interesował się elektrycznością statystyczną i hydrauliką. Gdy w 1845 roku zaprojektował hydrauliczny dźwig, sam Michael Faraday zaopiniował jego członkostwo w Royal Society. Niedługo później Armstrong porzucił adwokaturę i finansowo wspierany przez swego partnera z kancelarii dostał kontrakty na budowę dźwigu hydraulicznego w porcie w Newcastle. Jego założona

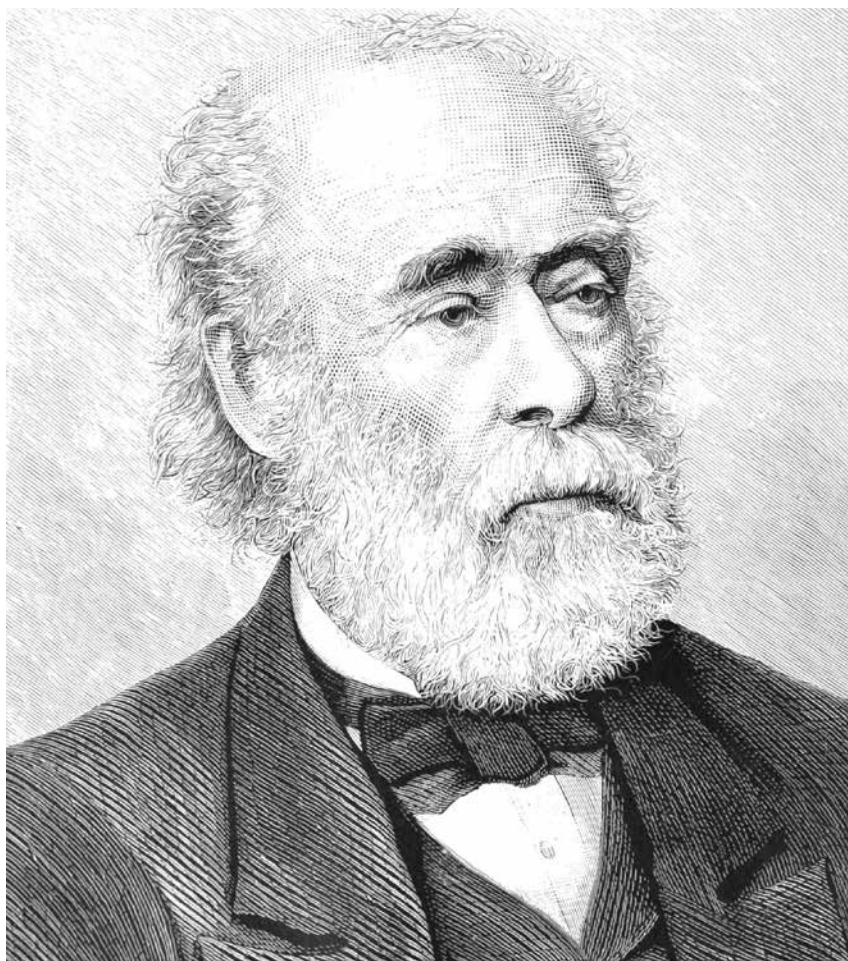


William Armstrong (powyżej), angielski inżynier i wynalazca, twórca ładowanego odtylcowo działła z żelaza zgrzewnego i stali – materiałów znacznie lżejszych niż żeliwo, z którego do tej pory wykonywano lufy armat – oraz jego działło (poniżej). Fot. Wikimedia Commons



w 1850 roku firma inżynierska zatrudniała 300 ludzi i szybko rosła. Produkował dźwigi, hydrauliczne akumulatory, a nawet mosty. Po bitwie pod Inkermanem nawet władze wojskowe zdały sobie sprawę, że niewykorzystanie cywilnych inżynierów w procesie produkcji broni byłoby poważnym błędem. Sekretarz wojny książę Newcastle przyznał więc Armstrongowi bez większych oporów środki na opracowanie armaty polowej o lepszych parametrach niż te używane na Krymie. Armstrong do spółki z Jamsem Nasmythem i Isambardem Kingdom Brunelem już w 1855 roku przedstawił władzom swą konstrukcję.

Była ona rewolucyjna. Przed wszystkim armatę ładowano od



⤴ **Joseph Whitworth produkował karabiny i działa z gwintowanymi, oktagonalnymi lufami, których donośność była znacznie większa niż broni używanej wcześniej. Fot. Wikimedia Commons**

tyłu dzięki zakręcanemu na śrubę zamkowi i wzmocnieniu lufy w jej tylnej części – tam, gdzie następował wybuch ładunku prochowego. Drugą innowacją był materiał: działo wykonano z dużo lżejszego od żeliwa żelaza zgrzewnego i stali. Wprawdzie oba te materiały znano dużo wcześniej, ale konstruując armaty, wykorzystywano żeliwo, bo tylko gruba warstwa tego odpornego na odkształcenia i wysoką temperaturę materiału zabezpieczała przed uszkodzeniami pod wpływem energii gazów działających w lufie. Stal i żelazo zgrzewne były zbyt elastyczne. Ceną za wytrzymałość były ciężar i mniejsza moc (bo sypano mniej prochu). Aby rozwiązać podstawową sprzeczność między wytrzymałością i mocą, Armstrong posta-

nowił zbudować lufę działa z wielu warstw żelaza zgrzewnego. Na warstwę wewnętrzną (gwintowaną, mającą styczność z pociskiem) nakładano kolejne warstwy żelaza w taki sposób, by stygnąc, nie osiągały naturalnego rozmiaru. W ten sposób jedna lub dwie warstwy zewnętrzne wywierały stały nacisk na warstwę wewnętrzną, co zapobiegało jej odkształceniu się w momencie eksplozji prochu podczas wystrzału. Trzecim rewolucyjnym pomysłem Armstronga był gwint w lufie, który nadawał pociskowi ruch obrotowy, co zwiększało donośność i celność. Strzelano przy tym pociskami stożkowymi z ładunkiem wybuchowym, a nie tradycyjnymi okrągłymi kulami.

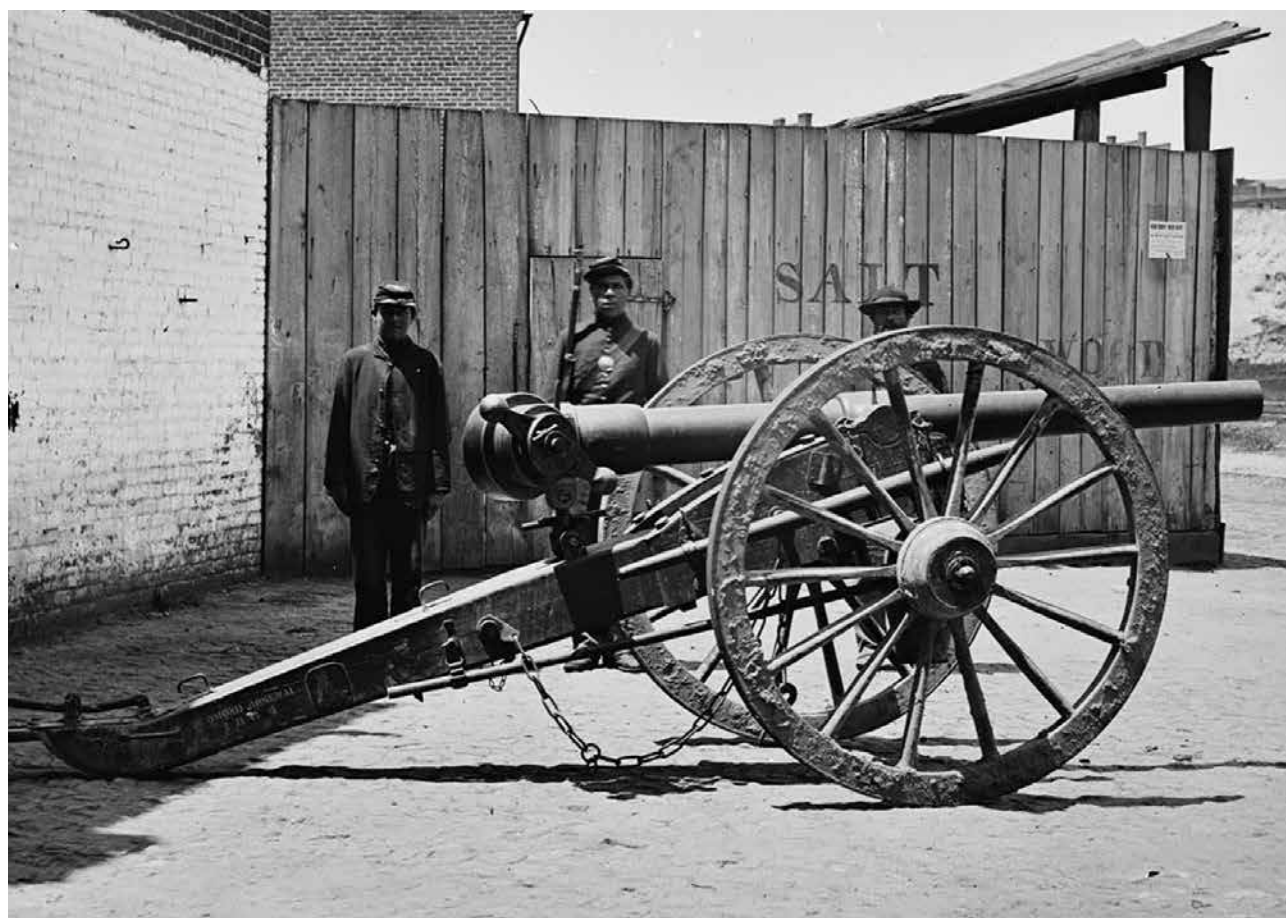
Nowe działo o wagomiarze 3 funtów zaprezentowano w lipcu 1855

roku. Armata, choć lekka, miała wspaniałe właściwości: z 2 tys. jardów przebijała 60-cm deskę wiązową. Powiększenie wagomiaru nie stanowiło problemu: w ciągu kilku lat powstały wersje od 5- do 110-funtowej, przy czym ta ostatnia zapowiadała rewolucję w artylerii okrętowej. Armaty sprawdziły się znakomicie w czasie drugiej wojny opiumowej w Chinach i wojny z Maorysami na Nowej Zelandii w 1863 roku. Ale rewolucja nie trwała długo.

Jeszcze lepsze skutki miała pokerowa zagrywka Armstronga, który przekazał prawa do armaty rządowi i zobowiązał się do niesprzedawania dział za granicę (Londynowi zależało, aby nie trafiły one do Francji). W zamian otrzymał posadę w arsenale w Woolwich, jego fabryce zwrócono nakłady kapitałowe i obiecano zakupy kolejnych armat w liczbie wystarczającej dla utrzymania zakładów z pełnym zatrudnieniem. Państwo nie okazało się jednak wiarygodnym partnerem. W 1863 roku, a więc pięć lat po podpisaniu umowy, rządowi decydenci skorzystali z technologii ładowania odprzodowego armat gwintowanych i pomysłu mjr. Williama Pallisera, który zaprezentował technologię pozwalającą wkładać w lufy starych żeliwnych dział gwintowane wkładki z żelaza zgrzewnego. Była ona tania i pozwalała na ponowne użycie bezużytecznych, wydawałoby się, dział. Kontrakt z Armstrongiem rozwiązano, wypłacając mu wielkodusznie wszystkie przewidziane kary umowne. Ten zaś zaczął sprzedawać swe armaty wszystkim chętnym na całym świecie.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE: JOSEPH WHITWORTH

Kiedy Armstrong był jeszcze początkującym prawnikiem, Joseph Whitworth miał już renomę wy-



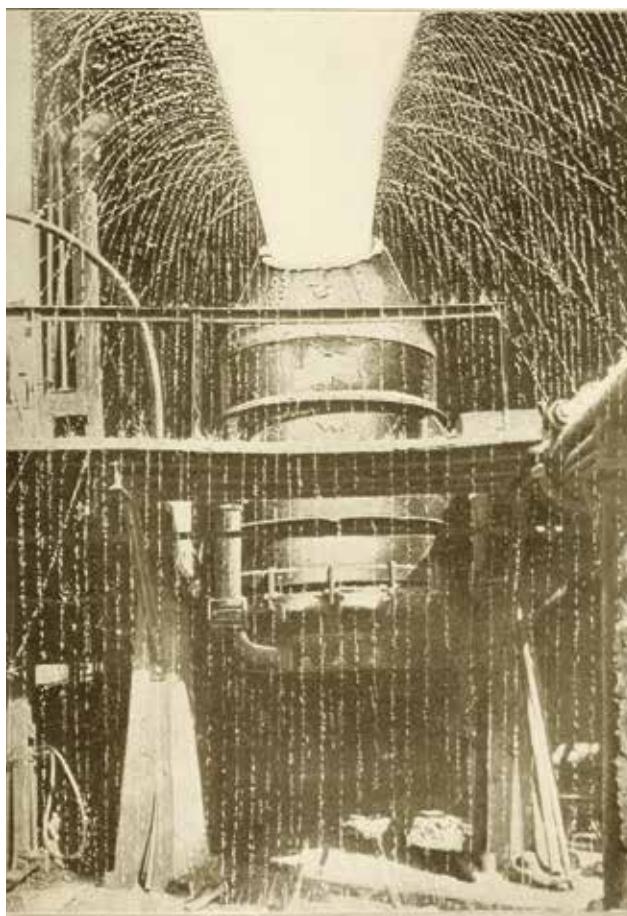
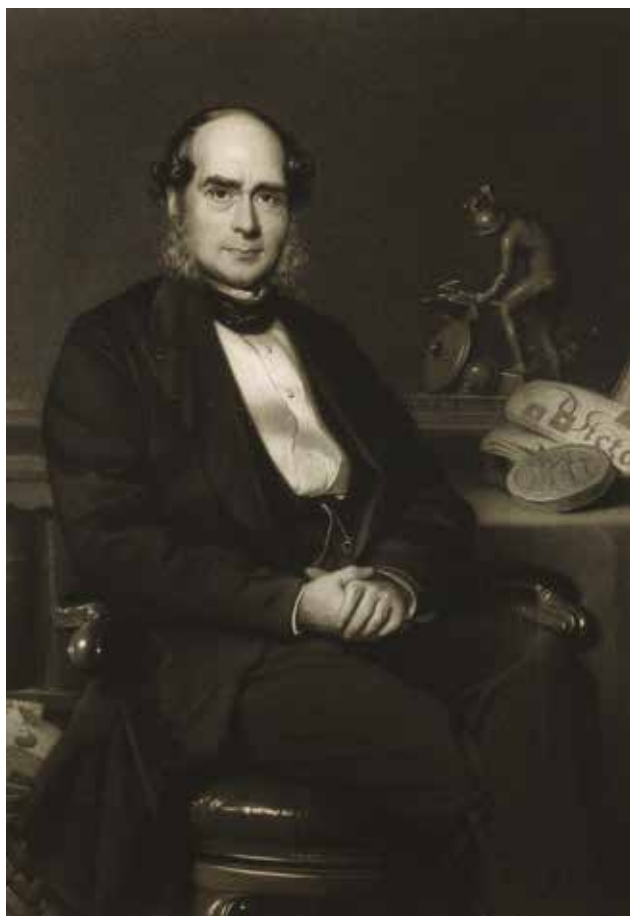
⤴ Działo Whitwortha. Fot. Wikimedia Commons

bitnego inżyniera. Jego specjalnością była precyzja, którą zainteresował się, terminując jeszcze w warsztacie sławnego wytwórcy maszyn i narzędzi Henry'ego Maudsleya. Dzięki zastosowaniu na szeroką skalę tuszu ślusarskiego uzyskiwał idealnie płaskie, łatwo dające się do siebie dopasować powierzchnie. W 1841 roku opracował pierwszy standard gwintu, który został powszechnie przyjęty w Wielkiej Brytanii, a dziesięć lat później na pierwszej wystawie światowej w Londynie zaprezentował metodę pomiaru z dokładnością do milionowej części cala. W 1853 roku, przy okazji wizyty na wystawie światowej w Nowym Jorku, odwiedził najważniejsze ośrodki przemysłowe USA, sporządzając ich opis i ocenę stanu techniki amerykańskiej ze szczególnym uwzględnieniem technolo-

gii produkcji ręcznej broni palnej. Nic więc dziwnego, że jeszcze w tym samym roku władze zwróciły się do niego z prośbą o skonstruowanie karabinu doskonalszego od broni wytwarzanej w fabryce w Enfield. Karabin Whitwortha o oktagonalnym przekroju lufy podczas prób pobił enfieldy na głowę. Precyzja była ogromna, podobnie zresztą jak cena za karabin. Nic dziwnego, że władze zadowolily się poprawioną wersją enfielda, a Whitworth musiał szukać nabywców na rynku. Znalazł ich. Broni Whitwortha, która do dziś uchodzi za prototyp karabinu snajperskiego, używali konfederacy strzelcy wyborowi, a 1 tys. karabinów zakupili agenci Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego i wyprawili z nimi przez Bałtyk kapitan Łapiński. Niestety, transport przepadł w czasie podróży i lądowania na brzegu.

Ale karabin to nie wszystko. Whitworth, który również czytał w „Timesie” sprawozdanie spod Inkermanu, niemal równocześnie z Armstrongiem zaprezentował 3-funtowe ładowane odtłycowo działo o wielkiej donośności i precyzji. Podobnie jak karabin, był to wyrób doskonały, ale jego cena okazała się zbyt wysoka dla armii. Skorzystali na tym konfederacy agenci, którzy zakupili działa dla swej armii, oraz ponownie agenci Rządu Narodowego. Działa nigdy jednak nie dotarły do Polski.

Choć wojna krymska zakończyła się w 1855 roku, brytyjski rząd nadal był zainteresowany rozwojem artylerii, tym razem z powodu obaw przed potencjalnym imperializmem Napoleona III. Pamięć o agresywnym wuju cesarza Francuzów była w Anglii żywa. Choć Anglia i Francja walczyły ramię w ramię zarówno pod Se-



⤴ Henry Bessemer i skonstruowany przez niego konwertor. Fot. Wikimedia Commons

wastopolem, jak i w Chinach, to wodowanie francuskiej pancernej fregaty „Gloire” budziło obawy, że Bonaparte może zechcieć dokonać inwazji na Albion. Ze strachu przed Napoleonem III już w 1852 roku, na wieść o ogłoszeniu Francji cesarstwem, tak trzeźwy umysł jak James Nasmyth zaczął prace nad potężną haubicą mającą zabezpieczyć Wyspy Brytyjskie przed francuskim imperializmem.

Rywalizację między cywilnymi producentami broni podsycił rząd. W latach 1862–1863 doprowadził do konfrontacji między armatami Armstronga i Whitwortha oraz płytami pancernymi wytwarzanymi przez Williama Fairbarna i Johna Browna. Wojnę armat, w której stawką były nie tyle zamówienia rządowe, ile reputacja, wygrał Armstrong, choć oba konkurujące działa miały wady i zalety.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE: HENRY BESSEMER

W odróżnieniu od Armstronga i Whitwortha, którzy prowadzili wyspecjalizowaną działalność, Bessemer był zawodowym wynalazcą niemającym przygotowania fachowego. Jak sam pisał w autobiografii, *moja wiedza o metalurgii żelaza w tym czasie była bardzo ograniczona [...], ale było to w pewnym sensie korzystne, bo nie musiałem niczego się oduczać. Mój umysł był otwarty i gotowy na przyjęcie wszelkich nowych spostrzeżeń, nieograniczony żadnymi przesądami, które muszą w mniejszym lub większym stopniu powstać w następstwie długoletniej rutyny.* Oczywiście Bessemer miał pewne doświadczenie w zakresie metalurgii, ale dotyczyło ono metali nieżelaznych. Pomysł zajęcia się właśnie żelazem, a właściwie stałą, narodził się po lekturze doniesień prasowych z Krymu.

Pierwotnym zamiarem Bessemera było skonstruowanie pocisku artyleryjskiego, który wystrzelony z niegwintowanej lufy nabierałby ruchu obrotowego i dzięki temu niezawodnie uderzał w cel. Aby to osiągnąć, należało zastąpić pocisk kulisty wydłużonym i tak go naciąć u podstawy, by wydostające się z lufy gazy prochowe nadały mu ruch wirujący. Patent uzyskany w Anglii w listopadzie 1854 roku nie wzbudził zainteresowania War Office. Wynalazca udał się więc do Francji w poszukiwaniu wdzięczniejszego audytora. Znalazł je. Dzięki zainteresowaniu kuzyna Napoleona III sam cesarz przyjął Bessemera i polecił wojskowym przeprowadzić eksperymenty. Dowiodły one słuszności idei angielskiego wynalazcy, ale zwrócono uwagę, że żeliwne działa nie będą w sta-

nie wystrzeliwać większej ilości pocisków jego pomysłu. Do tego trzeba było stalowych luf, a stal była zbyt droga. Na pożegnanie Napoleon III przyjął Bessemera i otworzył mu na swój rachunek kredyt na dalsze doświadczenia.

Wracając do Londynu, Bessemer myślał już o nowej technologii produkcji stali polegającej na odwęgleniu surówki, a nie – jak dotąd – nawęgleniu żelaza zgrzewnego. Wniosek patentowy złożył w styczniu 1855 roku, a szerszą publiczność poinformował o istocie swego procesu 12 sierpnia 1856 roku podczas konferencji British Science Association. Przed rozpoczęciem odczytu Bessemer jadł śniadanie w towarzystwie jednego z metalurgów, który – nie znając osobiście wynalazcy – z uśmiechem zaprosił go na mające się za chwilę odbyć wystąpienie pewnego szaleńca o produkcji żelaza bez użycia paliwa. Reakcja zebranych na tezy Bessemera dowodziła, że mówca nie był szaleńcem, a wygłoszony przez niego referat następnego dnia w całości przedrukował „The Times”.

Zaproponowany przez Bessemera proces polegał na odwęgleniu surówki w przypominającym gruszkę konwertorze, do którego nalewano ciekłą surówkę, po czym po podniesieniu konwertora otworem do góry wtłaczano od dołu strumień sprężonego powietrza utleniającego zawartość konwertora. Wraz z gwałtownym wzrostem temperatury metal gotował się; w tym czasie przez górny otwór konwertora uchodziły iskry i gazy powstające w wyniku spalania krzemu. Po mniej więcej dziesięciu minutach od rozpoczęcia procesu nad urządzeniem pojawiał się znamionujący utlenianie węgla silny biały płomień, na koniec zaś ulatniał się z otworu spustowego czad – dowód, że węgiel już się utlenił. Ca-

ły proces trwał nie dłużej niż 20 minut, a nawet niewielki konwertor dawał tyle stali, ile doświadczeni rzemieślnicy mogli wyrobić w ciągu pięciu godzin. Niepotrzebni więc byli ani wykwalifikowani pracownicy, ani paliwo, nie

-Vickers) w Anglii czy Friedrich Krupp AG (dziś ThyssenKrupp AG) w Niemczech. Koncerny te dzięki swym wielkim rozmiarom i w miarę stałemu finansowaniu mogły nie tylko produkować gotowe wyroby, lecz także przegna-

Przełomowe znaczenie wojny krymskiej nie polegało ani na radykalnej zmianie stosunków politycznych, ani na zastosowaniu podczas działań wojennych jakichś rewolucyjnych systemów uzbrojenia. Prawdziwym przełomem okazało się wciągnięcie w orbitę produkcji uzbrojenia cywilnych inżynierów

licząc węgla do maszyny parowej napędzającej dmuchawę. Dla wielu konwersja pięciu ton płynnej surówki w stal w ciągu kilku minut była jakby wynalezieniem legendarnego kamienia filozoficznego, przemieniającego ołów w złoto, pisał po latach wynalazca. I tak w istocie było. Dzięki Bessemerowi i jego naśladowcom powszechnie dostępna i tania stal stała się podstawowym materiałem konstrukcyjnym cywilizacji.

**KOMPLEKS
WOJSKOWO-PRZEMYSŁOWY**

Przełomowe znaczenie wojny krymskiej nie polegało ani na radykalnej zmianie stosunków politycznych w Europie, ani na zastosowaniu podczas działań wojennych jakichś rewolucyjnych systemów uzbrojenia. Prawdziwym przełomem okazało się wciągnięcie w orbitę produkcji uzbrojenia cywilnych inżynierów. Dzięki środkom, jakie rządy były gotowe przeznaczać na przygotowanie się do przyszłych wojen, mogły powstać duże firmy, takie jak Armstrong (później Armstrong-Whitworth, a w końcu Armstrong-

cząc część zysków (10–15 proc.) na badania rozwojowe, które doprowadziły do ogromnego przyspieszenia rozwoju techniki militarnej w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku. Ponieważ jednak skarb państwa nie był bez dna, rządy musiały pozostawić swym podopiecznym możliwość handlowania bronią na skalę międzynarodową. A gdy i ten rynek nie wystarczał, konieczne stało się uruchomienie produkcji uzupełniającej przeznaczonej dla rynku cywilnego. Składały się na nią różne produkty wymagające precyzyjnej obróbki metalu, takie jak maszyny do szycia i do pisania, rowery, samochody i wreszcie samoloty. W ten sposób trwale połączono technikę wojskową i cywilną, co pozwalało na przenikanie do sfery cywilnej wykorzystywanej przez wojsko wiedzy eksperckiej.

Wyjście produkcji broni z lochów królewskich arsenałów miało istotny wpływ na dzieje cywilizacji.


Michał Kopczyński, historyk, profesor na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny „Mówią wieki”

AMERYKAŃSKA BRONŃ w dziewiętnastowiecznym Egipcie

JOHN P. DUNN

przeł. Michał Kopczyński

Patrząc na Kair z murów cytadeli Saladyna, można dostrzec zabytki architektoniczne o starożytnej, średniowiecznej i nowożytnej metryce. Z kolei w muzeum w pałacu Al-Gawhara znajdują się figury żołnierzy trzymających w rękach amerykańskie karabiny Remingtona z 1869 roku. Ta broń jest pokłosiem panowania Ismaila Paszy (1863–1879), piątego władcy z dynastii założonej przez Muhammada Alego, który jako pierwszy podjął nieudaną próbę stworzenia w Egipcie przemysłu wytwarzającego broń palną.



» Otwarcie Kanału Sueskiego,
17 listopada 1869 roku.
Fot. Bridgeman Art Library

W roku 1805 sułtan turecki wyniósł do godności gubernatora Egiptu albańskiego awanturnika Muhammada Alego, któremu udało się także stworzyć imperium sięgające od Sudanu po Anatolię. Sukces zawdzięczał żelaznej woli, umiejętnemu poruszaniu się w labiryncie polityki egipskiej i serii reform znanych pod ogólną nazwą nowa organizacja. Nastąpiły one w edukacji, gospodarce i armii. Muhammad Ali stworzył monopol państwowe, które zwiększyły dochody skarbu, a napływ gotówki pozwolił finansować liczne projekty. Najwięcej środków zainwestowano w tworzenie fabryk broni, całkiem nowej floty, a także nowoczesnej i licznej armii.

Egipska potęga militarna omal nie obaliła imperium osmańskiego w latach trzydziestych XIX wieku, rozpalając tym samym na nowo „kwestię wschodnią”. Znow pojawiło się pytanie, czy zachodnioeuropejskie mocarstwa poprą Turcję, czy też zadadzą jej ostateczny cios. Zachód wsparł Osmanów i zmusił Alego, by oddał część zdobytych terytoriów, ale jednocześnie utrzymano w Egipcie dziedziczną władzę jego dynastii, jedynie luźno podlegającą sułtanowi.

Sympatyzujący z Ismailem poddani nazywali go Budowniczym. Mniej przychylni mówili o nim Alfons Pasza – jednym z wielu nowych podatków, które wprowadził, była opłata obciążająca prostytutkę

Urodzony w 1830 roku Ismail dorastał w dekadzie wielkości Egiptu. O ile lata czterdzieste i pięćdziesiąte były dość spokojne, o tyle w kolejnym dziesięcioleciu losy Egiptu splotły się z wydarzeniami rozgrywającymi się po dru-

giej stronie Atlantyku, czyli wojną secesyjną. Łącznikiem okazała się bawełna. Nazywana niegdyś w USA królem bawełną z powodu dominacji w strukturze amerykańskiego eksportu, z chwilą zablokowania południowych portów przez okręty Unii straciła na znaczeniu. Dla Egiptu wewnątrzamerykańska wojna była źródłem zysków. Ismail doszedł do władzy u szczytu europejskiego popytu na bawełnę. Cena egipskiego surowca wzrosła o 1200 proc. w porównaniu z rokiem 1860.

MARZENIE O WIELKOŚCI

Gwałtowny wzrost dochodów pozwolił Ismailowi rozpocząć wiele inwestycji, poczynając od Kanału Sueskiego, a kończąc na pierwszym na Bliskim Wschodzie budynku teatru operowego. Sympatyzujący z Ismailem poddani nazywali go Budowniczym. Mniej przychylni mówili o nim Alfons Pasza – jednym z wielu nowych podatków, które wprowadził, była opłata obciążająca prostytutkę.

Wysokie podatki i koniunktura na bawełnę sprzyjały Ismailowi. Prosperity skończyła się w 1866 roku, gdy amerykańska bawełna powróciła na międzynarodowe rynki. Deficyt w egipskim skar-

Kanału Sueskiego z taką pomocą, że przyćmiły ją dopiero zorganizowane przez Reżę Pahlawiego w 1971 roku uroczystości 2,5-tysięcznej rocznicy powstania Iranu.

Kanał Sueski otworzył przed Ismailem nowe możliwości. Wprawdzie mocarstwa przekreśliły plany dominacji nad Syrią i Anatolią, które snuł jego dziadek, ale przecież był jeszcze Róg Afryki, w którym Europejczycy nie mieli jasno skryształizowanych interesów. Lokalną potęgą było tam Cesarstwo Etiopii, oprócz niego istniało jeszcze kilka mniejszych państw. Dysponując dostateczną siłą militarną, można było je wszystkie podbić, eksploatować ich zasoby, a dzięki płynącym z tego zyskom uczynić z Ismaila nowego Muhammada Alego.

BRONŃ

W latach 1865–1875 Ismail skoncentrował uwagę na rozbudowie armii egipskiej. Wzorując się na swoim dziadku, zaciągał najemników do szkolenia wojska, importował parowce pozwalające na szybki przerzut wojsk Kanałem Sueskim i nowoczesną broń gwarantującą jego wojskom przewagę nad afrykańskimi przeciwnikami. Proces ten zainicjował już brat Ismaila Said, rządzący Egiptem w latach 1856–1863. To on w 1856 roku zakupił działa od Kruppa. Kilka lat później Said ściągnął do Egiptu francuskiego wynalazcę i znawcę balistyki płk. Claude'a Etienne'a Minié, który założył w Kairze wytwórnię gwintowanych karabinów.

Nowa broń wymusiła zmianę taktyki walki. Przed wojną krymską broń gwintowana była narzędziem używanym przez niewielkich wyspecjalizowanych żołnierzy, w armii egipskiej wykorzystywano ją w marginalnym stopniu. Rosyjska doktryna była podobna, co doprowadziło do ogromnych

bie zaczęto pokrywać pożyczkami zaciąganimi w Europie. Mimo to przez niemal całą pierwszą dekadę swych rządów Ismail miał środki, choć płacił niemałe odsetki. Nie martwił się tym jednak. W 1869 roku świętował otwarcie

strat w starciu z wojskami angielskimi i francuskimi, używającymi szybkostrzelnych, celniejszych i, co najważniejsze, mających większą donośność karabinów. W epoce broni gładkolufowej o zasięgu ok. 100 m możliwe było oddanie jedynie kilku salw w kierunku atakujących. O losie starcia decydowały walka wręcz i umiejętność posługiwania się bagnietem. Karabiny gwintowane dzięki większej donośności pozwalały zadawać ciężkie straty z odległości 800 m.

Said był pierwszym z egipskich władców zaciągających kredyty w Europie, które z czasem urosły do 4 mln funtów egipskich. Ismail kontynuował tę politykę, ale na dużą większą skalę. W 1876 roku dług Egiptu sięgnął 68 mln funtów, a wierzyciele zaczęli się zwracać po pomoc do rządów w Londynie, Paryżu i Berlinie. Większość pożyczanych pieniędzy przeznaczano na rozbudowę sił zbrojnych. Podobnie jak Ali, Ismail cenił technikę wojskową, a także interesował się technologią wytwarzania broni. Próba przeszczepienia nowoczesnej techniki na ziemię egipską przypadła na późne lata sześćdziesiąte.

Był to okres znaczących przekształceń branży zbrojeniowej. Duże wymagania pod względem jakości i ilości dostarczanej broni były bodźcem rozwojowym dla amerykańskich fabryk broni w okresie wojny secesyjnej. Ale popyt skończył się wraz z jej zakończeniem w 1865 roku. Firmy zbrojeniowe miały znakomite produkty, zdolność do produkcji na skalę masową, dokonały znaczących inwestycji – sprzedaż natomiast dramatycznie spadła.

REMINGTON & SONS

Przetrawanie zależało od zdobycia nowych rynków zbytu. Szukała ich również firma E. Remington & Sons z Ilion w stanie Nowy Jork. Prezes i jednocześnie główny specjalista do spraw sprzedaży Samuel Remington zdawał sobie sprawę z problemów, jakie miała cała branża zbrojeniowa. Jego umiejętności oraz doskonała ofer-



⤴ Ismail Pasza, wicekról Egiptu w latach 1863–1879.
Fot. Wikimedia Commons

ta pozwoliły firmie zdominować znaczną część międzynarodowego rynku ręcznej broni palnej.

Karabin z zamkiem obrotowym o osi obrotu prostopadłej do przewodu lufy (dalej: karabin *rolling block*) zaprojektowany przez Josepha Ridera i Leonarda Geigera był filarem oferty Remingtona jeszcze w latach osiemdziesiątych

XIX wieku. Karabiny *rolling block*, wytrzymałe, dokładne oraz łatwe w obsłudze i utrzymaniu, były najlepszym wyborem dla prostych żołnierzy zasilających armię z poboru. Pochwały wygłaszane przez agentów handlowych nie były czczymi przechwałkami. Karabiny chwalił gen. William T. Sherman, a przedstawiciele władz USA po testach polowych uznali je za *znakomitą broń piechoty*.

Remington nie miał na rynku międzynarodowym wielu konkurentów. Europejscy wytwórcy nie byli w stanie mu dorównać wielkością produkcji i jej rentownością, ponadto większość dostępnych na rynku karabinów ładowanych odtylcowo była gorsza jakościowo. Odchylany zamek zastosowany w wytwarzanych w Anglii karabinach Snider-Enfield, będących przeróbką odprzodowo ładowanego muszkietu, nie dorównywał remingtonowi wytrzymałością. Pruski karabin Dreysego był bardziej toporny, trudny do obsługi z powodu mechanizmu uderzeniowego i mało efektywny powyżej 500 m. Francuski chassopot był lepszy, ale wadę stanowiła amunicja – zawijane w materiał patроны wymagały specjalnego zabezpieczenia, aby zmniejszyć wyciek gazów.

Ismail zwrócił uwagę na karabiny *rolling block* w 1866 roku, podczas walk z buntownikami na Krecie. Dowodzący tam Szahin Pasza Kenj poznał amerykańskiego dyplomatę Williama Stillmana. Przy okazji rozmowy na temat amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego Szahin otrzymał kolekcję ręcznej broni palnej ładowanej odtylcowo. W 1867 roku, gdy docierała ona do Kairu, kara-

bin *rolling block* został nagrodzony srebrnym medalem na paryskiej wystawie światowej. Ponieważ było to najwyższe wyróżnienie, jakie mogli otrzymać wytwórcy broni palnej, Remington stał się firmą o międzynarodowej renomie.

Szahin powołał czternastoosobową komisję do zbadania karabinu. Porównywano go z powtarzalnym karabinem Henry'ego, jednostrzałowym karabinem Martiniego i karabinem Minié. Porównanie z punktu widzenia szybkostrzelności i celności na dystansie 1 tys. m zakończyło się jednoznacznie werdyktem na korzyść Remingtona. Jego karabin uznano za *dobrą, praktyczną broń wojсковą*, a Ismail zaprosił Samuela Remingtona do Kairu na ostatnią rundę testów.

Próby miały miejsce w 1869 roku. Remington zaprezentował swój talent zarówno jako sprzedawca, jak i strzelec. Zapewnił Ismaila, że armia amerykańska jest wyposażona w karabiny *rolling block*, co rozwiało wszystkie dotychczasowe wątpliwości, choć dalekie było od prawdy. W rezultacie 30 czerwca 1869 roku podpisano kontrakt na zakup 60 tys. karabinów, które nazwano egipskimi, kal. 0,43. Według amerykańskiego dyplomaty George'a Butlera Egipt był *dobrym rynkiem dla amerykańskiej broni*. Butler wspierał wzrost wymiany handlowej między oboma państwami. Biorąc pod uwagę fakt, że w 1872 roku Egipcjanie importowali towary o wartości 29,5 mln dolarów, a amerykański udział wynosił w tym imporcie

jedynie 358 tys. dolarów, kontrakt Remingtona był znaczny.

EGIPT, FRANCJA I AMERYKAŃSKIE KARABINY

Niedługo potem do Egiptu dotarły działa Rodmana, kartaczońce Gatlinga i inne modele broni ręcznej. Szybko osiągnięty sukces wywołał zawiść międzynarodowej konkurencji. Władze austriackie, francuskie i brytyjskie z niechęcią patrzyły na napływ do egipskiej armii amerykańskich doradców i rosnące zakupy broni zza oceanu. Wojna francusko-pruska 1870–1871 na pewien czas odwróciła jednak uwagę Europejczyków od Egiptu i kontraktu Remingtona.

Ismail chciał nabyć kolejne 100 tys. karabinów, ale Butler wytłumaczył mu, że *krok ten jest niemożliwy z uwagi na zapotrzebowanie Francji na broń*. Potrzeby armii francuskiej były ogromne i angażowały niemal cały potencjał produkcyjny Remingtona. Ismail, jak przystało na polityka, dostrzegł w tym szansę zdobycia wpływów nad Sekwaną. W tym celu prolongował umowę, umożliwiając Francji zakup dużej ilości broni. Krok ten miał również wpływ na stosunki egipsko-tureckie. Pod koniec lat sześćdziesiątych kwestie prestiżowe doprowadziły do napięć w relacjach Ismaila z jego nominalnym zwierzchnikiem. Konstantynopol był podejrzliwy wobec egipskich zakupów nowoczesnej broni i napływu nad Nil najemników, a egipcjscy dyplomaci robili wiele, aby nie zwracać

uwagi Osmanów na relacje swego kraju z Remingtonem. Polityka dezinformacji szła z samej góry. Ismail nakazał swemu ministrowi spraw zagranicznych zainspirować kilka przecieków dotyczących egipskich zakupów karabinów. W kwietniu 1870 roku dyplomaci donosili, że ich dostawcą ma być Rosja. Zaraz potem Ismail oświadczył brytyjskiemu konsulowi generalnemu Stantonowi, że kontrakt został unieważniony. Na niższych szczeblach zatajano transakcje handlowe i podejmowano różne wysiłki, aby ukryć transport karabinów Remingtona do Egiptu. W Liverpoolu, dokąd Amerykanie wysłali broń w celu załadunku jej na egipskie statki, brytyjscy obserwatorzy widzieli, jak agenci Ismaila odbierali wielkie skrzynie z napisami „Narzędzia” lub „Do Adenu”.

Dostawy zostały wznowione po 1871 roku, ale większość egipskich żołnierzy musiała czekać na nowe karabiny do 1875 roku. Piszący dwa lata później James McCoan szacował, że w egipskich arsenalach leży 200 tys. sztuk karabinów. Dodając do tego 40 tys., które trafiły już do armii, oraz potencjalny ubytek z różnych przyczyn, szacowano, że w latach 1869–1875 Remington sprzedał do Egiptu ok. 250 tys. sztuk broni.

Dostawy karabinów maszynowych zdominowała inna amerykańska firma, Colt's Firearms Company z Hartford w stanie Connecticut. Sprzedając za pośrednictwem Remingtona, Colt dostarczył 120 sześciolufowych



♣ Karabin *rolling block*. W ramach modernizacji egipskiej armii Ismail Pasza rozpoczął zakupy nowoczesnej broni – jedną z nich był właśnie ten karabin, dostarczany przez firmę Remington & Sons. Fot. dzięki uprzejmości autora

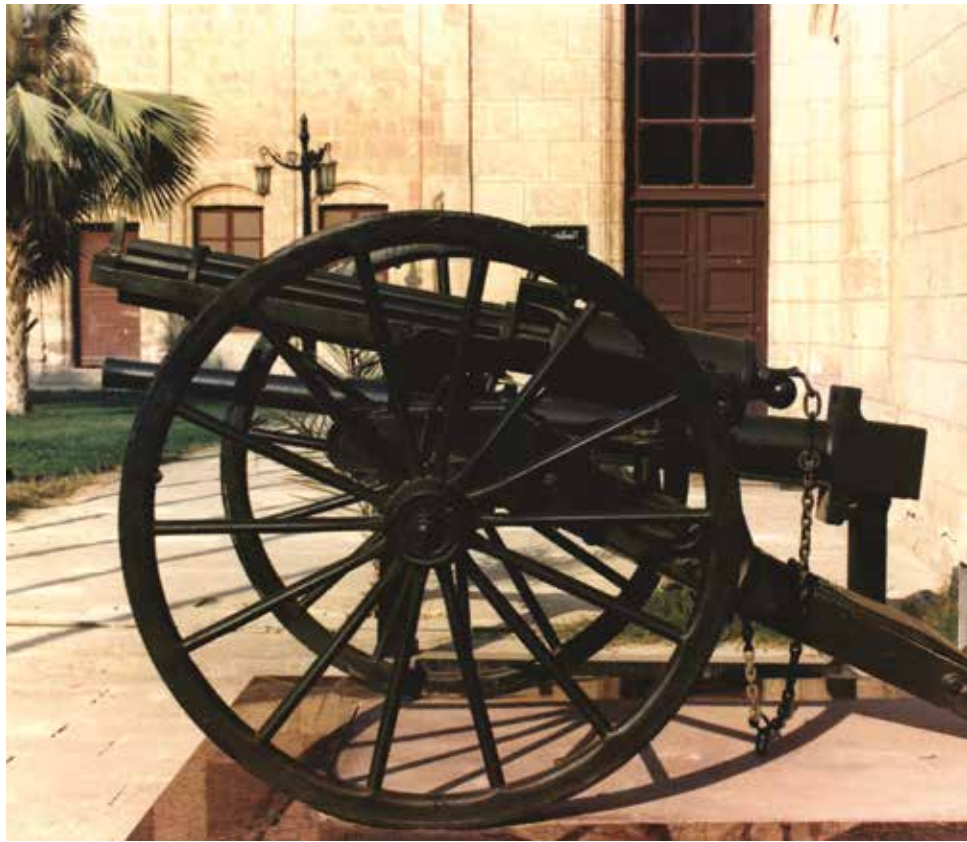
kartaczownic systemu Gatlinga. Ta najefektywniejsza z ówczesnych broni szybkostrzelnych używana była zarówno przez wojska lądowe, jak i marynarkę. Uznawano ją za szczególnie przydatną w *wojnach przeciw dzikim*, bowiem zbici w masę wojownicy stanowili łatwy cel dla strzelających.

PRZEMYSŁ

Ale to nie wszystko. Remington uczestniczył w próbie odtworzenia egipskiego przemysłu zbrojeniowego. Kadre miejscowych specjalistów stanowili pracownicy fabryki Minié, Remington miał zapatrzeć ją w maszyny. Zakłady miały za zadanie dostarczać części zamienne do karabinów, dokonywać bieżących napraw i przede wszystkim wytwarzać amunicję.

Wytwarzane w Egipcie karabiny systemu Minié stanowiły dowód, że kraj ten posiada dostatecznie wykwalifikowaną siłę roboczą, by produkować ręczną broń palną. Drugi kontrakt zawarty z Remingtonem przewidywał utworzenie fabryki, w której wytwarzano by karabiny *rolling block*. Na ostatnim etapie negocjacji w styczniu 1877 roku problemem okazał się koszt inwestycji wynoszący 33 tys. funtów. Ta suma oraz dodatkowe 8 tys. funtów zaległych płatności stały się przeszkodą nie do pokonania. Remington odmówił wysłania maszyn, co wywołało wielkie wzburzenie ministra wojny księcia Hasana i jego brata księcia Husseina, pełniącego urząd ministra finansów. Obaj wysupłali wprawdzie 10 tys. funtów, ale suma ta nie pokryła zobowiązań. Fabryka nie powstała.

Długi Ismaila rosły, a klęski w wojnie z Etiopią spowodowały spadek wartości egipskich obligacji. Wysychały źródła kredytów, a Egipt musiał przekładać terminy kolejnych zakupów. W 1875 roku Ismail musiał nakazać wypła-



⤵ Kartaczownica Gatlinga firmy Colt's Firearms Company. Ismail Pasza kupił 120 sztuk tej broni, uważanej wówczas za najefektywniejszą broń szybkostrzelną. Fot. autor

tę 35 tys. funtów kary pod zastaw dostarczonej broni, która zalegała w magazynach liverpoolskiego urzędu celnego. W 1877 roku Remington ogłosił, że dług Egiptu urósł do 1 mln dolarów, i żądał pomocy w odzyskaniu go od sekretarza stanu Hamiltona Fisha, który z kolei nakazał amerykańskiemu konsulowi generalnemu w Egipcie Elbertowi Farmanowi użycie swych nieoficjalnych wpływów, by uzyskać zadośćuczynienie. Farmanowi udało się skłonić Ismaila do pokrycia części zobowiązań wobec Remingtona. Do roku 1880 Egipt zapłacił 136 tys. funtów.

System Ismaila rozpadł się nie tyle z powodu braku popytu na broń, jak było to udziałem fabryk założonych przez Muhammada Alego po roku 1840, ile dlatego, że zabrakło środków. Władca rozpoczął działania modernizacyjne

w okresie rewolucyjnych zmian w technice zbrojeniowej. Na nieść szczęście dla Egiptu, aby sprostać tym szybkim przemianom, trzeba było mieć odpowiednio duże zasoby kapitału i wykwalifikowanych specjalistów. Tak jak wiele innych zamierzeń Ismaila pomysł wytwarzania w kraju karabinów był rozsądny z punktu widzenia militarnego, ale jego wcielenie w życie okazało się zbyt trudne. Ismail, podobnie jak jego dziadek Muhammad Ali, nigdy nie był biegły w finansach, a jego plany utknęły w miejscu i pozostały już na zawsze jedynie epizodem w dziejach handlu bronią.

John P. Dunn, amerykański historyk wojskowości, profesor Valdosta State University (Georgia), zajmuje się historią Bliskiego Wschodu w XIX wieku, napisał m.in. Khedive Ismail's Army (2005)

Hammond przedstawiał senatorom podstawowe założenie sformułowanej w połowie lat pięćdziesiątych XIX wieku doktryny *King Cotton*. Argumentem o kluczowym znaczeniu bawełny dla Wielkiej Brytanii i – szerzej – Europy południowi zwolennicy gospodarki plantacyjnej i niewolnictwa posługiwali się już od lat trzydziestych, ale sam termin *King Cotton* ukuł David Christy, publicysta polemizujący z argumentami abolicjonistów. W broszurze pod tym samym tytułem pisał on: *Podczas gdy nasza konsumpcja produktów zagranicznych wytworzonych z bawełny nie wzrasta, to popyt na naszą surową bawełnę gwałtownie rośnie. Sprawia to, że pozycja amerykańskich plantatorów w świecie międzynarodowego handlu i przemysłu jest coraz wyższa. I to jest właśnie odpowiedź na pytanie, czym staje się bawełna w kontekście relacji istniejących między niewolnictwem w Stanach Zjednoczonych a ekonomicznymi interesami świata.*

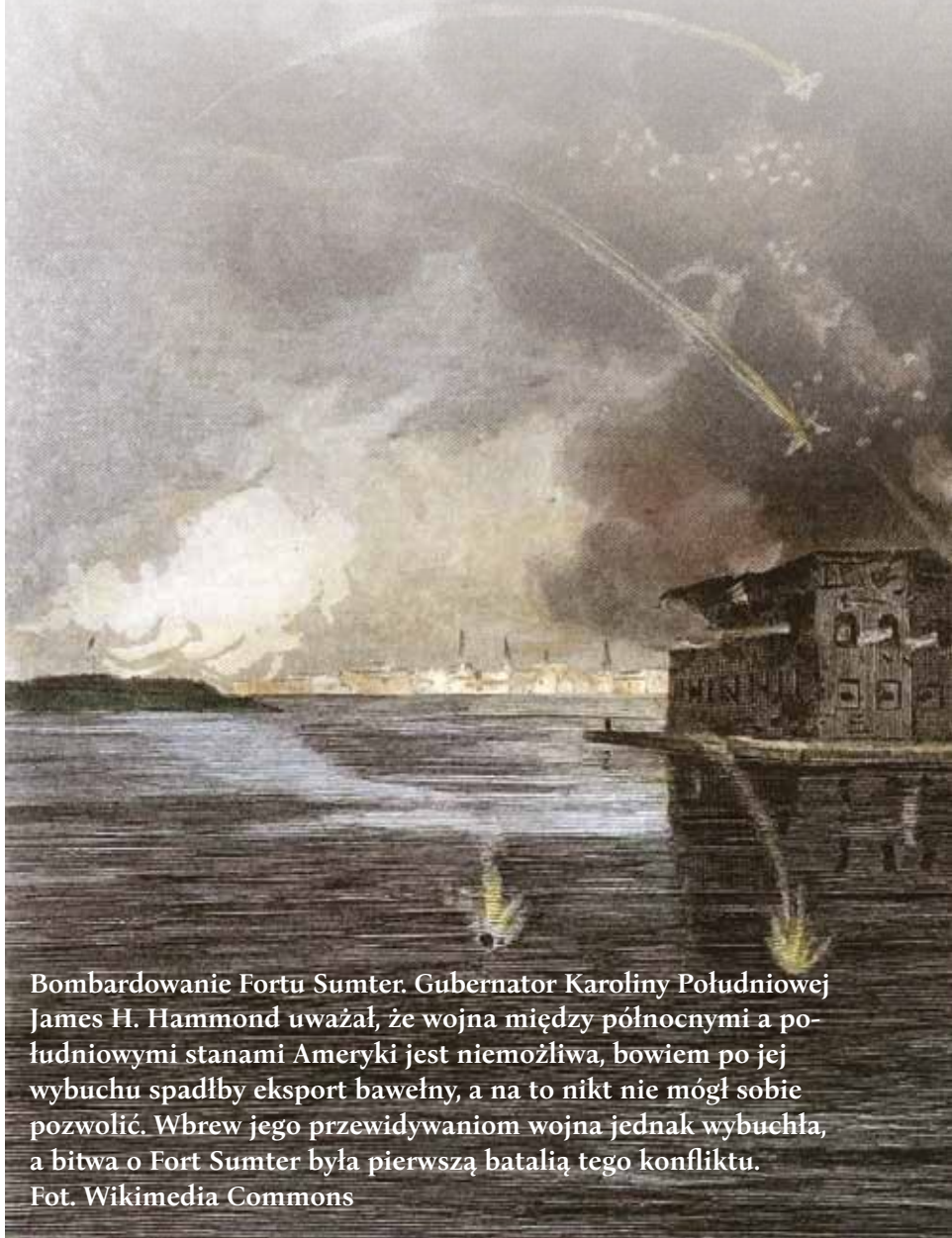
Hammend nie mógł być jednak aż tak pewien tego, że wojna nie wybuchnie. Przyszłe starcie zapowiadał konflikt wokół podziału terytorium Nebraski na dwa nowe stany: Nebraskę i Kansas, który wybuchł na przełomie 1854 i 1855 roku. Zachowanie równowagi między Północą a Południem wymagało, by *alter ego* wolnej Nebraski był niewolniczy Kansas. W nowym stanie zwolennicy niewolnictwa i wolności byli jednak niemal tak samo liczni. Doprowadziło to do zbrojnych starć, które trwały do 1858 roku.

Ostatecznie wojna wybuchła w kwietniu 1861 roku, a jej formalną przyczyną była secesja części stanów, z Karoliną Południową na czele. 13 kwietnia konfederatom poddał się Fort Sumter, kontrolujący jedno z wejść do portu w Charlestonie w Karolinie Południowej. Tego samego dnia nale-

KING COTTON

Wojna ekonomiczna Unii z Konfederacją

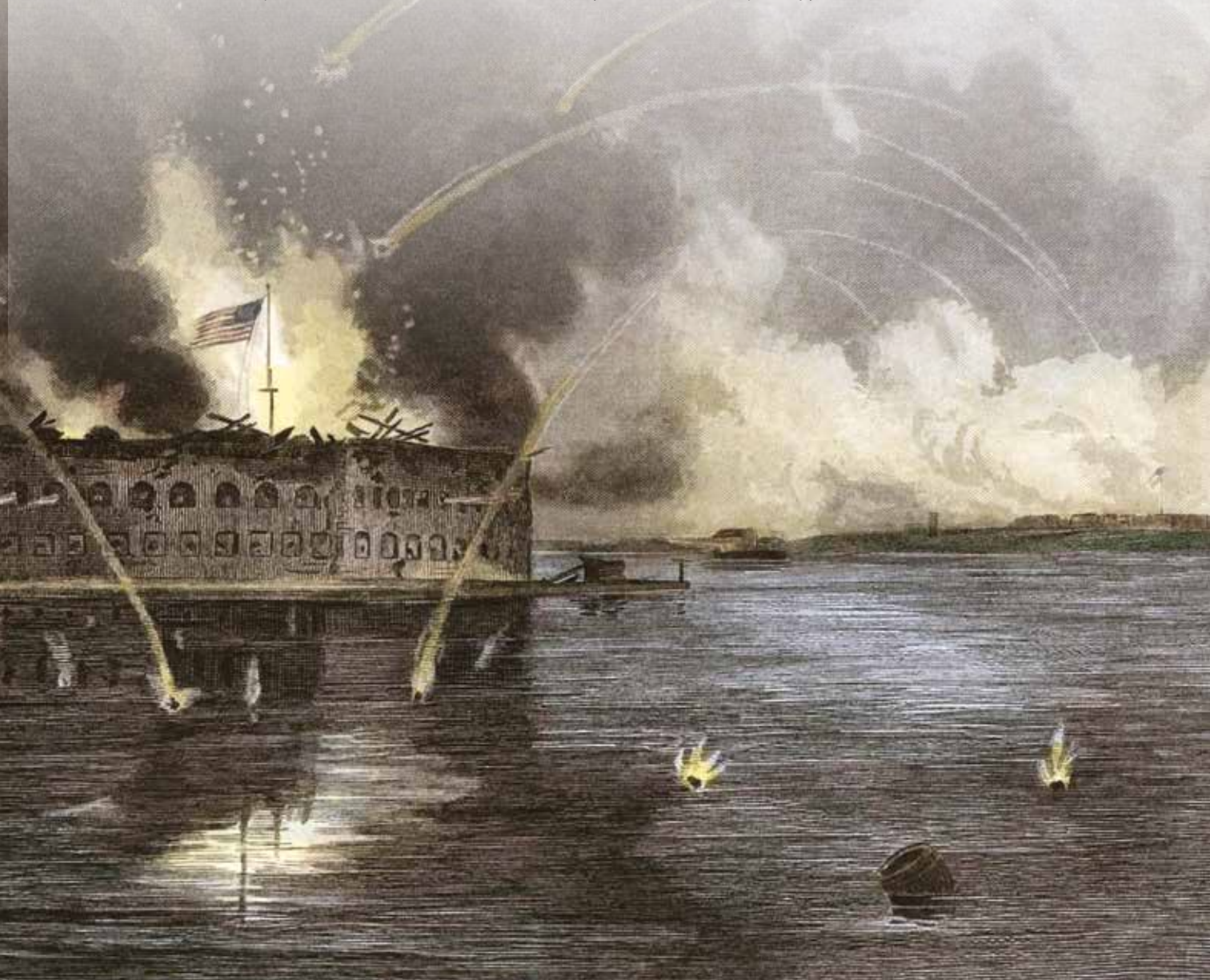
MICHAŁ KOPCZYŃSKI

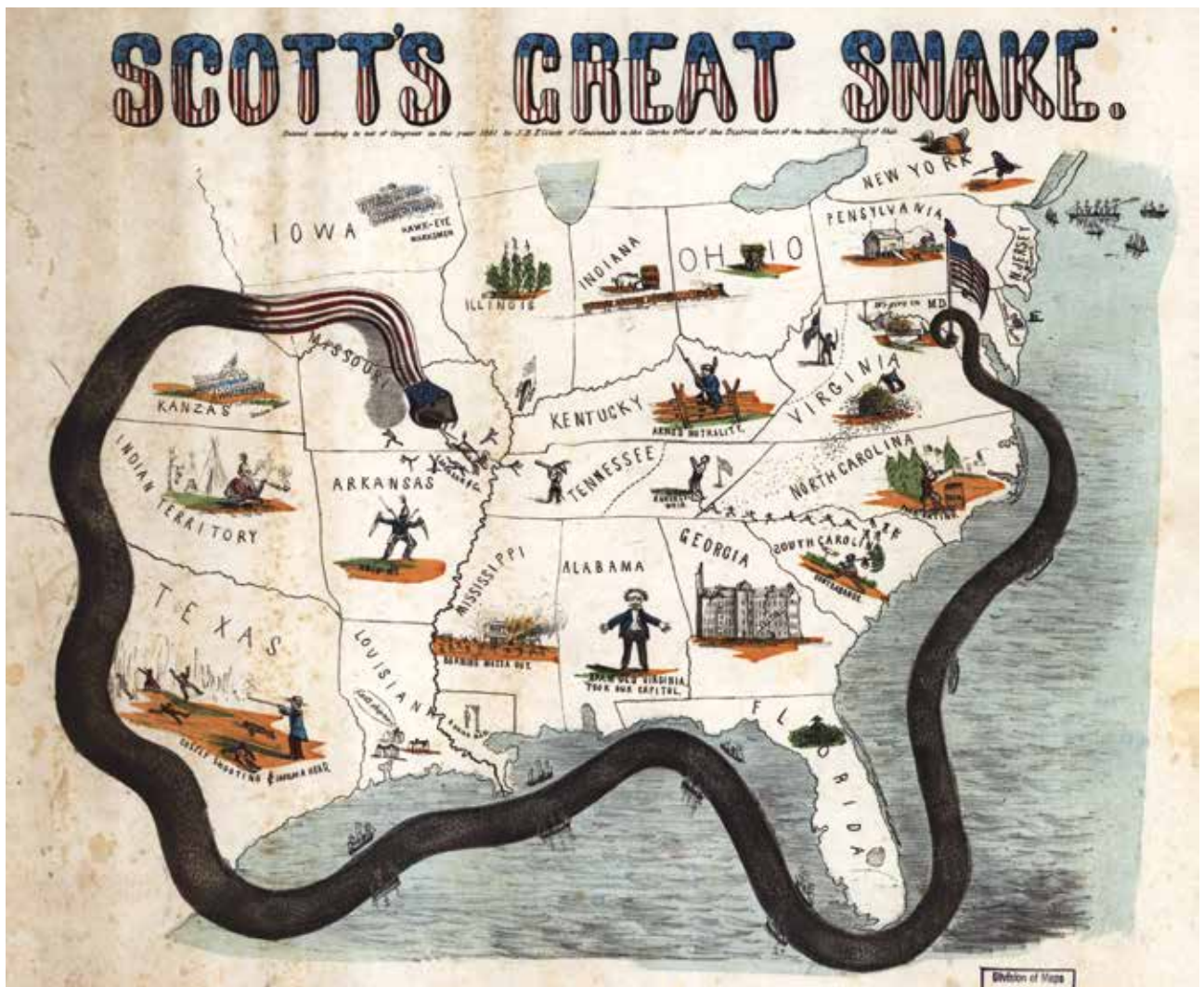


Bombardowanie Fortu Sumter. Gubernator Karoliny Południowej James H. Hammond uważał, że wojna między północnymi a południowymi stanami Ameryki jest niemożliwa, bowiem po jej wybuchu spadłby eksport bawełny, a na to nikt nie mógł sobie pozwolić. Wbrew jego przewidywaniom wojna jednak wybuchła, a bitwa o Fort Sumter była pierwszą batalią tego konfliktu.

Fot. Wikimedia Commons

Jeśli wybuchnie wojna, to bez jednego armatniego strzału, bez wyciągania szabel z pochew będziemy w stanie rzucić świat do naszych stóp. Co się bowiem wydarzy, jeśli nie dostarczy się bawełny przez trzy lata? Nie będę zatrzymywał się na opisach tego, co każdy może sobie łatwo wyobrazić, ale jest pewne, że wówczas Anglia zwali się na łeb na szyję, pociągając za sobą cały cywilizowany świat. Nie, nie musicie obawiać się wojny o bawełnę. Żadna potęga nie ośmieli się wszcząć wojny – bawełna jest królem. *Tak mówił gubernator Karoliny Południowej James H. Hammond podczas wystąpienia w Senacie.*





⤴ Wielki wąż Scotta – konfederacki rysunek propagandowy przeciwko blokadzie portów na Południu.
Fot. Wikimedia Commons

zący do Unii okręt „Sabine” rozpoczął blokadę portu w Pensacoli na Florydzie. Niecały tydzień później, 19 kwietnia, prezydent Abraham Lincoln ogłosił blokadę portów Konfederacji. W ten sposób realizował strategiczny plan wojny opracowany przez gen. Winfielda Scotta, zakładający osiągnięcie szybkiego zwycięstwa poprzez odcięcie rolniczego Południa od dostaw towarów przemysłowych i zaopatrzenia wojennego z zewnątrz dzięki blokadzie portów morskich i opanowaniu całego biegu Missisipi wraz z Nowym Orleanem. Złamanie Południa miało nastąpić, zanim Wielka Brytania odczuje bawełniany głód i zostanie zmuszona do

uznania suwerenności Konfederacji, a może i rozpoczęcia działań zbrojnych przeciwko Unii.

KING COTTON W PRAKTYCE

Skoro w doktrynę King Cotton wierzył główny militarny strateg Unii, to nic dziwnego, że do jej zastosowania w praktyce dążyło też Południe. Miała temu służyć ustawa Kongresu z 21 maja 1861 roku wprowadzająca bezwzględny zakaz eksportu bawełny pod karą grzywny lub pozbawienia wolności. Do brytyjskiej skroni przystawiono bawełniany pistolet.

Ale obok pistoletu była też marchewka w postaci starań o zdezuowanie unijnej blokady w świe-

tle prawa. Przyjęta w kwietniu 1856 roku przez mocarstwa europejskie konwencja paryska delegalizowała kaperstwo, zakazywała konfiskaty ładunków przewożonych przez statki państw neutralnych (z wyjątkiem towarów o przeznaczeniu militarnym) i stanowiła, że blokada morska jest legalna tylko wtedy, gdy jest skuteczna. Konfederacka dyplomacja usiłowała więc udowodnić, że blokada jest nieskuteczna, a tym samym bezprawna. Nie było to trudne, tym bardziej że wybrzeży atlantyckich strzec miały początkowo 22 okręty Unii, a kilkanaście następnych Zatoki Meksykańskiej. Okręty blokowały porty stosunkowo krótko, bowiem

co jakiś czas musiały odpływać w celu przeprowadzenia niezbędnych remontów, uzupełnienia wody i żywności oraz węgla w przypadku parowców. Linia brzegowa, która miała być zablokowana, liczyła 3,5 tys. mil, znajdowało się na niej wiele dużych portów strzeżonych przez armaty forteczne. Co więcej, miała poszarpany kształt, dzięki czemu bez trudu można było ominąć okręty blokujące. Konfederaci starali się przekonać o tym Anglików, zabierając na pokłady swych statków brytyjskich konsulów. O tym, że blokada jest fikcją, świadczył też przypadek okrętu „Desperate”. W grudniu 1861 roku poszedł on na dno pod Galveston i mimo że dawał sygnały syreną oraz wypuszczał z komina zwiększone ilości spalin, nie doczekał się pojawienia na horyzoncie żadnego okrętu Unii. Anglicy nie podejmowali jednak ostatecznej decyzji.

Nadzieje konfederatów podtrzymał incydent z udziałem brytyjskiego parowca pocztowego „Trent” zatrzymanego przez okręt Unii. Aresztowanie znajdujących się na pokładzie „Trenta” komisarzy dyplomatycznych Konfederacji stało się powodem ostrego kryzysu. Anglia zagroziła nawet wojną i wysłała do Kanady 11 tys. żołnierzy. Kiedy jednak Unia uwolniła zatrzymanych, Anglicy znów przyjęli wyczekującą postawę. Londyn rozważał argumenty za i przeciw uznaniu legalności blokady, bardziej dbając o realny interes brytyjski niż o abstrakcyjną literę prawa. Embargo na eksport południowej bawełny mogło być argumentem za uznaniem blokady za bezprawną, ale import zboża z portów Północy też był cenny. Co więcej, opowiedzenie się po stronie Konfederacji wiązało się z ryzykiem dla brytyjskiej floty handlowej i potencjalnym konfliktem o Kanadę. Wresz-

cie trudno było zlekceważyć opinię publiczną, niechętną niewolnictwu. Ostatecznie pod koniec grudnia 1861 roku minister spraw zagranicznych lord Russell ogłosił legalność blokady.

Dłużej wahała się Francja, zaangażowana w zwalczanie republikańskiego rządu Meksyku Benito Juareza. W 1862 roku Anglicy i Francuzi wspólnie zastanawiali się nad mediacją w amerykańskim konflikcie. Unioniści natomiast nie tracili czasu i zgodnie z planem Scotta przystąpili do opanowania biegu rzeki Missisipi. Po zaciętych walkach 25 kwietnia udało się zająć Nowy Orlean, największy port eksportowy południowej bawełny. Choć konfederaci starali się zniszczyć zgromadzone w nim zapasy surowca, jego znaczna część wpadła w ręce unionistów, którzy czym prędzej wysłali ją na północ – tyleż w celu zaopatrzenia tamtejszych fabryk tekstylnych, co wyeksportowania do Anglii, by w ten sposób odwieść ją od podejmowania wrogich kroków wobec Unii. Utrata inicjatywy strategicznej przez Konfederację po bitwie pod Antietam 17 września 1862 roku zniechęciła Anglików do mediowania, a francuskie propozycje ze stycznia 1863 roku zostały zignorowane.

NA ŁEB NA SZYJĘ

Według gubernatora Hammonda tak miał wyglądać upadek Anglii odciętej od dostaw amerykańskiej bawełny. *Na 1678 fabryk bawełnianych 218 zostało zamkniętych, a tylko 497 pracuje w pełnym wymiarze godzin – donosili w maju z Anglii konfederaccy dyplomaci. – Na 349 316 ludzi w nich zatrudnionych 57 816 jest całkiem bezrobotnych [...]. Produkcja spadła o 40 proc. w porównaniu z czasami pełnego zatrudnienia i o 30–33 proc. w porównaniu ze styczniem 1862 roku. Czyżby King Cotton działał?*

W angielskim przemyśle bawełnianym zatrudnionych było bezpośrednio ok. 500 tys. osób, kolejne 400 tys. pracowało w innych gałęziach przemysłu włókienniczego wykorzystujących bawełnę. Do tego należy dodać jakieś 150 tys. pracowników handlu, co w sumie daje 1 mln zatrudnionych. Należy jednak wziąć od uwagę ich rodziny i pomnożyć tę liczbę przez 3, co daje ok. 20 proc. ludności Wielkiej Brytanii. Imponujące, ale trzeba pamiętać, że już przed wybuchem wojny secesyjnej, w 1858 roku, brytyjscy fabrykanci utworzyli Cotton Supply Association, którego celem było poszukiwanie źródeł bawełny poza USA. W grę wchodziły Indie, Egipt, Brazylia i Indie Zachodnie. Ponadto w 1860 roku amerykańskie zbiory bawełny były rekordowe i choć po wprowadzeniu embarga eksportowego zapasy szybko się kurczyły, to Anglia miała nieco czasu na podjęcie decyzji. Rzut oka na wykresy prowadzi do wniosku, że podczas wojny secesyjnej spadek importu wyniósł 27 proc., a więc nie była to całkowita bawełniana susza. Spadek byłby z pewnością większy, gdyby nie wspomniane rezerwowe źródła surowca. Najważniejszym okazały się Indie, które podczas wojny secesyjnej miały 41 proc. udziału w imporcie bawełny do Anglii.

Kłopoty przemysłu bawełnianego oznaczały szansę dla innych gałęzi włókiennictwa. Dawną potęgę na krótko odzyskały przemysł wełniany i lniany, co pomnażało dochody rolników. Z wojny wielkie zyski czerpał też przemysł zbrojeniowy, który zarobił ok. 100 mln dolarów na zamówieniach Konfederacji i Unii.

Trudności finansowe oraz konieczność zakupu za granicą uzbrojenia i wyposażenia dla armii zmusiły Konfederację do zmiany polityki. Najpierw wpro-

wadzono płatności w postaci obligacji bawełnianych, których posiadacze musieli odebrać bawełnę z południowych portów. W końcowym okresie wojny wprowadzono rządową kontrolę handlu zagranicznego, zgodnie z którą połowa ładunku każdego statku wypływającego z Południa należała do rządu i przeznaczona była na bawełnę. W konsekwencji zarówno na Południu, jak i w Wielkiej Brytanii wykształciła się całkiem nowa gałąź przedsiębiorczości, czyli przezwyciężanie blokady.

ZACHARIAH PEARSON

Zachariah Pearson urodził się w 1821 roku w okolicy Hull w Anglii, w niezbyt bogatej rodzinie. Osierocony przez matkę, wychowywał się w domu wuja, który finansował jego naukę. Ta jednak nie przypadła chłopakowi do gustu. Pociągało go morze, a nie szkoła. Mając 12 lat, uciekł z domu, by zamustrować się na statek. Nie udało się. Dopiero cztery lata później dostał angaż jako chłopak okrętowy. Wystarczyło mu pięć lat, by dojść do rangi kapitana, a po kolejnych czterech został właścicielem statku. Z czasem flotylla Pearsona rosła, a jego firma bogaciła się na imporcie drewna ze strefy bałtyckiej, handlu oceanicznym i monopolu na dostarczanie poczty oraz przewożenie pasażerów między Australią i Nową Zelandią.

Wysoka pozycja w biznesie doprowadziła go do stanowiska doradcy rządu ds. handlu morskiego, wybór na szeryfa Hull, a w 1858 roku na burmistrza. Jako człowiek ze skromnego środowiska Pearson udzielał się jako filantrop. Finansował budowę kościołów, przytułków dla biednych i upadłych kobiet. Zainicjował też unowocześnienie portu w Hull. Po ponownym wyborze na burmistrza Hull w 1862 roku zainicjował bu-

downą ratusza, wodociągów i darował ziemię na miejski park, w którym na łonie natury mogli wypoczywać mieszkańcy przemysłowego miasta.

Od 1860 roku interesy Pearsona zaczęły się nieco psuć. Straty przyniosło wypożyczenie włoskim powstańcom Garibaldiiego bocznokołowca „Orwell” oraz zakup na kredyt sześciu nowych parowców. Chcąc powetować poniesione straty, na wieść o dziurawej blokadzie Południa Pearson wysłał siedem parowców w celu zakupu bawełny dla zamkniętej właśnie przędzalni w Hull. Tak w każdym razie później tłumaczył swe motywy wszystkim tym, którzy nie mogli uwierzyć, że metodysta i przeciwnik niewolnictwa nagle zechciał pomagać konfederatom. Jakkolwiek było, interes skończył się pechowo. Sześć statków przechwycili uniońscy, a siódmy zatonął. W ciągu czterech miesięcy, między kwietniem a sierpniem 1862 roku, zasobny biznesmen i burmistrz stał się bankrutem z długiem sięgającym 500 tys. funtów. Szczęśliwie nie trafił do więzienia. Odrobienie strat zajęło Pearsonowi 27 lat, a i tak do śmierci nie spłacił wszystkich zobowiązań.

Pearson, podobnie jak kilku innych pionierów, miał pecha. Nie docenił przeciwnika: statki, którymi dysponował, były zbyt wolne, by skutecznie łamać blokadę, a kapitanowie nie mieli doświadczenia. Jego naśladowcy poradzili sobie lepiej.

EKSCYTUJĄCY SPORT W CZYSTEJ POSTACI

Tak oceniał łamanie blokady pływający w Zatoce Meksykańskiej kapitan William Watson, Szkot, który znalazł się w Luizjanie ok. 1850 roku. Dziesięć lat później był już właścicielem tartaku i rzecznego parowca. W chwili wybuchu wojny zaciągnął się do konfe-

derackiej armii, w której dosłużył się stopnia sierżanta. Został ranny i zwolnił się z wojska, by objąć dowództwo szkunera „Rob Roy”. Od razu został jego kapitanem – na tym się bowiem znał, a z wykształcenia był budowniczym statków. W napisanym wiele lat później pamiętniku przedstawił rozliczenie za pierwszą podróż. Wynika z niego, że zysk netto z małego szkunera płynącego z Galveston w Teksasie do Hawany wyniósł w jedną tylko stronę 16 proc.

Bardziej opłacalna była eksploatacja parowca o większej ładowności. Wśród najslawniejszych łamaczy blokady znalazł się bocznokołowiec „Banshee”, którego jeden zaledwie rejs z Wilmington w Karolinie Północnej do Nassau na Bahamach przyniósł swym właścicielom 32 proc. czystego zysku. „Banshee”, jak wiele innych podobnych statków, powstał w stoczni w Liverpoolu z przeznaczeniem przełamывana blokady i był konstrukcją eksperymentalną. W kwietniu 1863 roku przepłynął Atlantyk i do listopada tego roku siedmiokrotnie pokonał tam i powrotem przemysłową trasę, wywożąc z Wilmington bawełnę, a przywożąc różne towary, w tym broń i amunicję. Dobra passa skończyła się 21 listopada 1863 roku, gdy został zatrzymany przez USS „Grand Gulf”. W marcu roku następnego parowiec wcielono jako kanonierkę do US Navy i „Banshee” stał się jednym z okrętów blokujących Wilmington.

O tym, że łamanie blokady było zyskownym interesem, świadczą dywidendy wypłacane przez utworzone w tym celu firmy, sięgające 41 proc. zainwestowanego kapitału. Część firm należała do udziałowców ze skonfederowanych stanów, ale były też brytyjskie, inwestorzy kanadyjscy, a nawet mieszkańcy stanów północnych. Do anonimowych inwesto-

rów z Północy należał mały szkuner „Rosalie”, który siedmiokrotnie pokonał trasę z Bahamów do Charlestonu, wioząc m.in. rewolwery Colta i mundury z konfederackimi insygniami. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że towar ten przeładowano na „Rosalie” z pokładu przybyłego z Nowego Jorku szkunera „Wilde Pigeon”, który w drogę powrotną zabrał bawełnę. Zyski były na tyle duże, że bez trudu można było wydać 5 tys. dolarów na łapówki dla nowojorskich celników.

Z czasem udoskonalono konstrukcję łamaczy blokady. Były to z reguły parowce, których stosunek długości do szerokości wynosił nawet 10 do 1. Pozwalało to zwiększyć szybkość nawet do rekordowych 17 węzłów, ale niekorzystnie odbijało się na ładowności. W konsekwencji najbardziej opłacalnymi ładunkami były nie broń i amunicja, lecz towary luksusowe, w tym formalnie zakazane drogie alkohole. Broń i amunicję zabierali na pokłady statków Amerykanie, dla których klęska Konfederacji była równoznaczna z końcem działalności. Statki należące do firm brytyjskich pre-

ferowały cenniejsze ładunki cywilne.

Wy pływano najczęściej w nowiu, w pełnym zaciemnieniu, a paliwem był palący się bezdymnie antracyt. Co bardziej doświadczeni dowódcy wyprowadzali swe jednostki w kwadrze, najlepiej przy niespokojnym morzu, bo załogi blokujących okrętów były najważniejsze właśnie w nowiu. W ten sposób działał „Syren”, najślawniejszy z łamaczy blokady, zbudowany specjalnie w tym celu w 1863 roku w Greenwich. Statek należał do Charleston Importing and Exporting Company. Pokonał on trasę między Charlestonem a Bermudami aż 33 razy, podczas gdy średnia żywotność łamaczy blokady wynosiła osiem rejsów. Na drugim miejscu uplasowała się „Alice” z 24 udanymi rejsami.

BLOKADA – SUKCES CZY PORAZKA?

Opinie historyków na temat znaczenia blokady dla losów wojny secesyjnej są rozbieżne. Niektórzy uważają, że była ona porażką US Navy. Amerykański historyk Marcus Price obliczył, że łamacze blokady wypłynęły w 6316 rejsów,

z czego 5389 (85 proc.) zakończyło się sukcesem. Nawet w ostatnim roku wojny dwie trzecie łamaczy blokady docierało do portów przeznaczenia. Ta statystyka jest jednak myląca. O ile bowiem towary przywożone z Bahamów do Charlestonu i Wilmington mogły szybko dotrzeć koleją do oczekującej na sprzęt armii, o tyle towary przywożone przez łamacze blokady wpływające do teksańskiego Galvestone czy meksykańskiego portu Matamoros musiały być całymi tygodniami przewożone na wozach, by dotrzeć do odbiorców. Problemem okazała się niedostatecznie gęsta sieć kolejowa Południa, i tak przeciążona transportami wojskowymi. Niekorzystna dla Konfederacji była też struktura importu, którego znaczną część stanowiły towary luksusowe, niewspierające jej wysiłku wojennego. Przede wszystkim jednak zawiodła polityka handlowa konfederatów. *Cotton is not a king yet.*

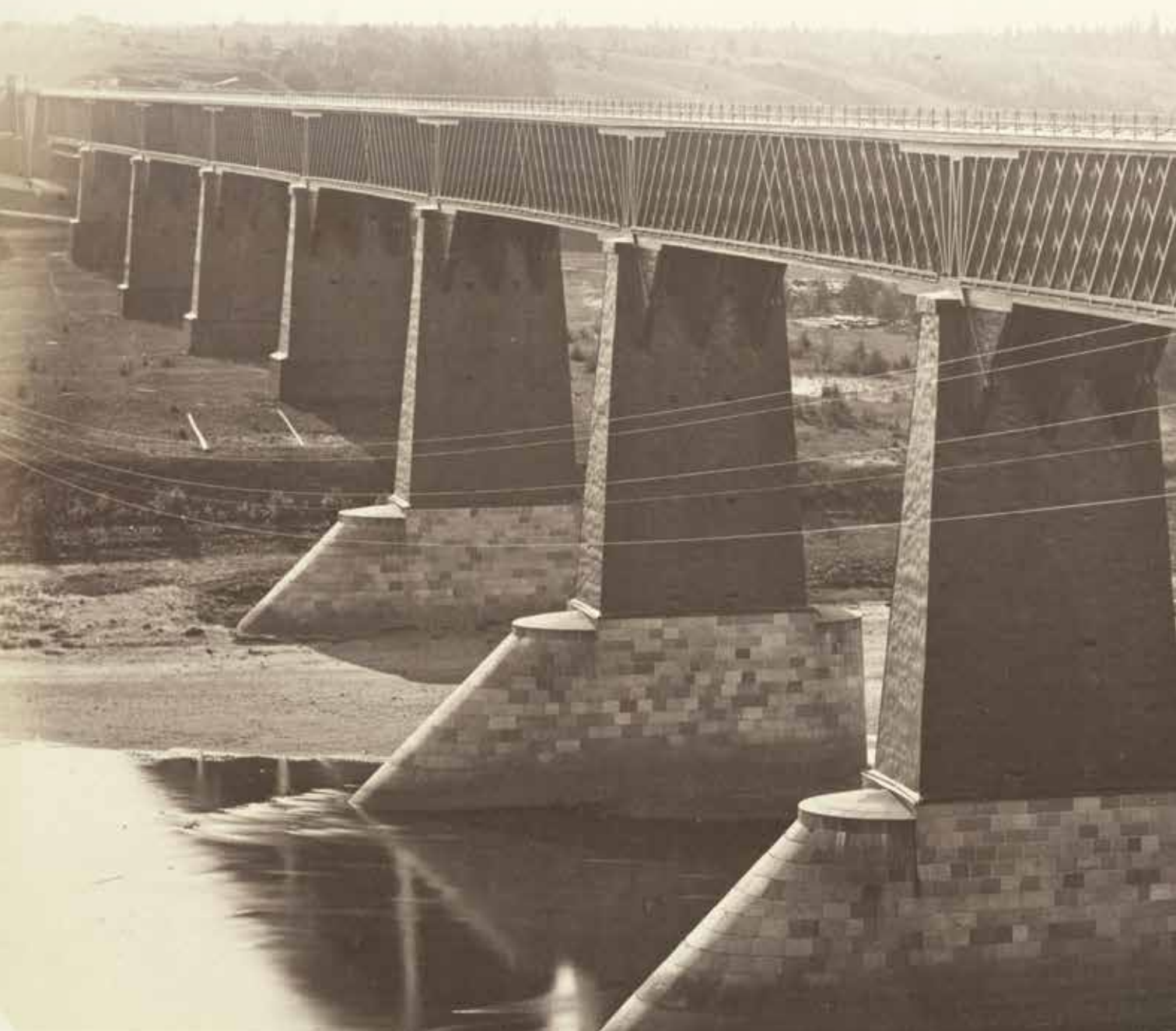
Michał Koczyński, historyk, profesor na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor naczelny „Mówią wieki”



KOLEJ I WOJSKO

ZBIGNIEW TUCHOLSKI
MACIEJ KRAWCZYK

*Współcześnie militarna rola kolei wydaje się oczywista.
Nie zawsze jednak taka była. W XIX wieku dopiero poznawano,
jak duże znaczenie ma szybki transport oddziałów.*

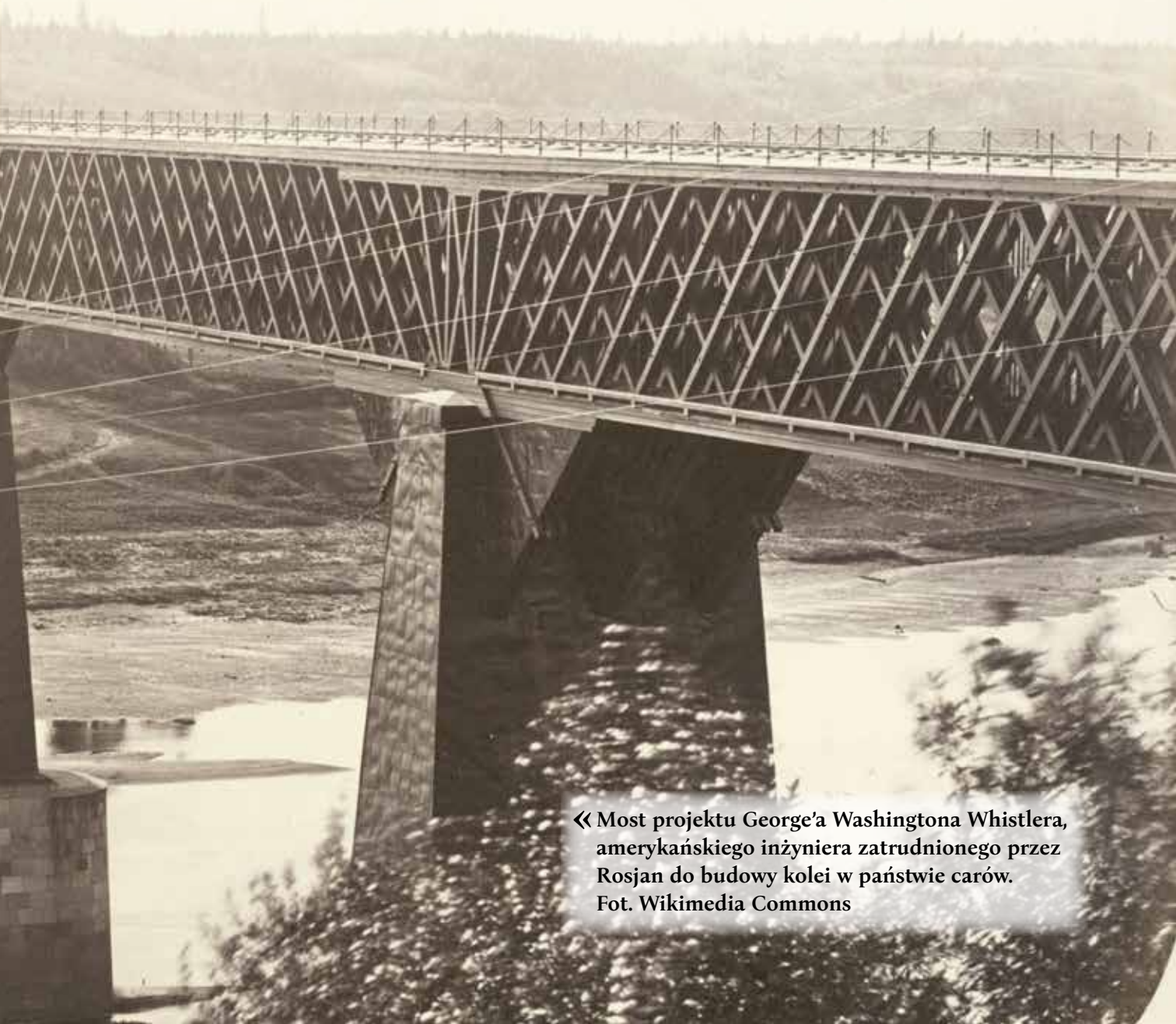


Jest oczywistością, że wojsko właściwie w każdej epoce bardzo szybko adaptowało nowinki technologiczne. Ba, sama wojna często sprzyjała postępowi, przynajmniej naukowemu. Jeśli chodzi o kolej, było jednak inaczej. Generałowie i ich armie potrzebowali niemal pół wieku, by przekonać się, jak ważna jest rozwinięta sieć kolejowa.

Pierwotnie budową kolei zajmowali się prywatni przedsiębiorcy. Do początku XIX wieku starano się zmodyfikować silnik Watta w ten sposób, by mógł udźwignąć ciężar własny i ładunku. Udało się to dość szybko – po prostu zwiększono ciśnienie w kotłach, które, dzięki postępom w metalur-

gii, miały już odpowiednią budowę. W roku 1829 lokomotywa *The Rocket* projektu George'a Stephensona osiągała zawrotną wtedy prędkość 48 km na godz., a rok później na Wyspach Brytyjskich powstała pierwsza regularna linia osobowo-towarowa między Manchesterem i Liverpooliem. Po kilku miesiącach kolejną zainaugurowano na południu Stanów Zjednoczonych – pod Charlestonem. Ani wojsko, ani rząd nie miały wiele wspólnego z tymi projektami. Służyły one przemysłowi, ciągle głodnemu ciężkich rud i węgla, a powstawały najczęściej na liniach już wcześniej obsługiwanych przez trakcję konną.

Szybko zorientowano się jednak, że drogi żelazne, łatwiejsze w budowie niż tradycyjne i bardziej odporne na zmienne warunki atmosferyczne, są przyszłością. W połowie lat trzydziestych XIX wieku otwarto w Austrii pierwszą linię publiczną. Sieć kolei zaczęła oplatać świat. Co ciekawe, pierwszy odcinek pierwszej linii na ziemiach polskich powstał tak naprawdę jako linia spacerowa z inicjatywy Henryka Łubieńskiego, wiceprezesa Banku Polskiego. Dopiero gdy założone przez niego Towarzystwo Akcyjne Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej zbankrutowało, projekt został przejęty przez państwo.



« Most projektu George'a Washingtona Whistlera, amerykańskiego inżyniera zatrudnionego przez Rosjan do budowy kolei w państwie carów.
Fot. Wikimedia Commons

Oczywiście fakt, że koleje były prywatne, nie przeszkadzał wojsku w korzystaniu z nich, gdy zaszła potrzeba. Armie wykorzystywały kolej już w połowie XIX stulecia, miała ona jakieś znaczenie w wojnie o Szlezwik, podczas tłumienia powstania na Węgrzech, włoskiego *risorgimento* czy wojny krymskiej. Ba, kolej uwzględniano nawet w planach strategicznych. Korzeni prawdziwego kolejowego wojska należy jednak szukać za oceanem.

JANKESI NA TORZE

Generał Witold Gawroński, autor jednej z pierwszych polskich broszur na temat kolejowego wojska, pisał, że pionierami w tej kwestii byli Amerykanie w czasie wojny secesyjnej. Zastrzegał jednak: *Należy jednak zaznaczyć, że formacje te powstawały samorzutnie, nie miały charakteru wojsk regularnych. W miarę potrzeby do naprawy uszkodzenia kolei znajdujących się w sferach działań wojennych dowództwa wojsk wysyłały zorganizowane partie składające się z robotników, techników, inżynierów, które miały wykonać te lub inne zadania techniczne. [...] Można podziwiać szkice śmiało rzuconych mostów i wiaduktów wybudowanych przez amerykańskich inżynierów w czasie tej wojny. Te słowa zdawałyby się potwierdzać historia słynnej tzw. wielkiej gonitwy lokomotyw z roku 1862, kiedy grupa ochotników na usługach Unii porwała pociąg na niezwykle istotnej linii Western Atlantic pomiędzy Atlantą a Chattanooga. Podczas obrony Atlanty okazało się, że kolej ma istotne znaczenie dla wojennej gospodarki oraz strategii walczących armii.*

Problemem w czasie wojny secesyjnej, tak jak właściwie przez cały wiek XIX, był fakt, że linie kolejowe nie były zunifikowane ani połączone w jeden spójny system komunikacji. Powstawały ja-

ko prywatne przedsięwzięcia, aby zaspokoić bieżące potrzeby przemysłu i ludności. Armia nie miała wystarczającej liczby wykwalifikowanych robotników, by kłaść własne linie, o funduszach w czasie pokoju nie wspominając. Musiała więc wykorzystywać te już istniejące, niekiedy łącząc je tylko za pomocą śmiałych przedsięwzięć inżynierskich, o których pisze Gawroński.

Mimo to nie do pomyslenia jest prowadzenie walk na taką skalę – były się wtedy przecież prawie 4 mln ludzi (czyli niemal dziesięć razy więcej niż w Wielkiej Armii Napoleona) – bez wsparcia kolejowego. Jak było ono istotne, dowodzi choćby pierwsza bitwa pod Bull Run, kiedy ponad połowa konfederackich oddziałów przybyła na miejsce starcia pociągami i dzięki temu gen. Thomas Jackson miał dość ludzi, by pokonać wojska Unii. Kolej zadecydowała

także o sukcesie ofensywy wojsk Unii w 1864 roku. Cóż, w końcu to właśnie Jankesi zbudowali ponad 70 proc. linii w Stanach Zjednoczonych. W dodatku stosowali podobny rozstaw torów, podczas gdy na Południu panował w tej sprawie chaos, przez co konfederacką armię trzeba było zbyt często przeładowywać do innych pociągów.

To zapewne także unioniści wpadli na pomysł, że pociągi można opancerzyć i uzbroić. Co ciekawe, pociągi pancerne bardzo szybko zaczęto wykorzystywać także jako mobilne lazarety, choć oczywiście służyły one głównie oficerom.

Innym przykładem wykorzystania tym razem nieukończonych trakcji jest bitwa pod Gettysburgiem, a konkretnie jej pierwsza faza – potyczka o tzw. *railway cut*. Generał Lysander Cutler uznał, że nasypy kolejowe można wykorzystać do celów wojskowych, i posta-

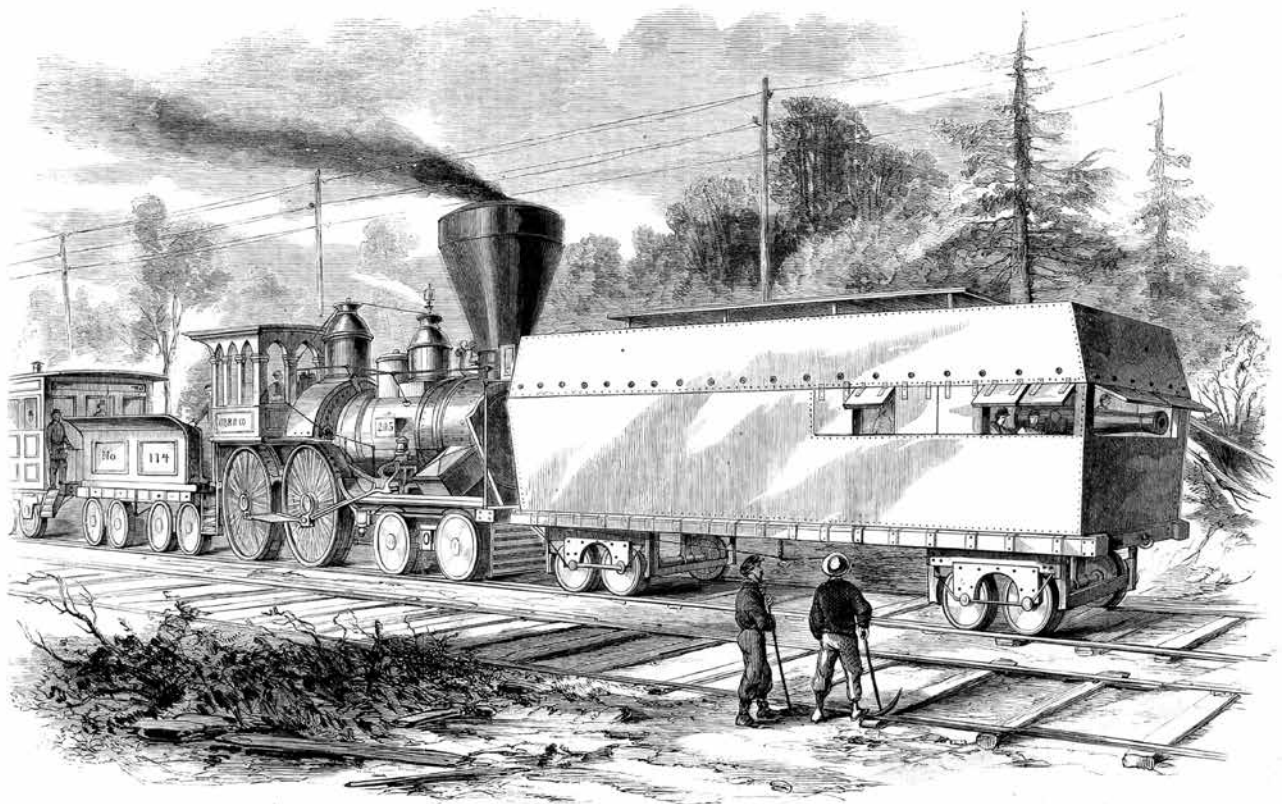


WĄSKOTOROWI WOJSKOWI

Kolej wąskotorowa znalazła zastosowanie w armii w latach dziewięćdziesiątych XIX stulecia w fortcach, jako środek komunikacji między rdzeniem twierdzy i fortami i dla zaopatrzenia w działła i amunicję samych fortów – pisał Witold Gawroński. – *Następnie przyszła myśl zastąpienia kolejkami polowymi dotychczasowych konnych środków transportu przy wojskach walczących w polu, gdyż skutkiem nadmierne-go rozrostu liczebnego nowoczesnych armii i wielokrotnego rozmnożenia ich potrzeb dawny sposób dowozu uzbrojenia, amunicji i żywności zwykłymi drogami, przy pomocy koni, stał się zupełnie niewystarczającym lub też wymagał tak olbrzymiej ilości środków przewozowych, że ani żaden kraj ich*

wystawić, ani żadna droga zmieścić by ich nie mogły.

A wąski tor w wojsku był naprawdę wąski. Prawdziwie rewolucyjny okazał się wynalazek przenośnego przęsła o długości zaledwie 600 mm, zaprezentowany w 1887 roku na wystawie światowej przez inż. Paula Decauville'a. Taką drogę żelazną żołnierze mogli przenosić niemal w plecaku, a układało się ją również znacznie szybciej. Nic więc dziwnego, że w czasie wojny rosyjsko-japońskiej sztab imperium chciał na nią stawiać niemal jako główny środek transportu. Problem polegał jednak na tym, że wąski polowy tor wytrzyma może więcej, ale nie wszystko – gdy odstępstwa od założonych przez inżynierów norm są zbyt wielkie, cały plan zaczyna się sypać.



⚡ **Podczas wojny secesyjnej wojskowi z armii Unii wpadli na pomysł opancerzenia i uzbrojenia pociągów. Fot. Wikimedia Commons**

nowił oprzeć na nich swoją linię. Pozostawił jednak nie dość chronioną flankę i został dość szybko wyparty z idealnych, zdawało by się, pozycji. O ile ten ostatni pomysł unijnych generałów może nie był zbyt szczęśliwy, o tyle cała wojna secesyjna pokazała, jak ważna dla wojska może być kolej.

KAJZEROWSKI PATCHWORK

Tę lekcję szybko odrobili Niemcy, przygotowując się do konfrontacji z Francją. Kolejowe wojsko zaczęło tworzyć w Prusach dość późno, bo dopiero w 1869 roku. Był to rodzaj partnerstwa publiczno-prywatnego. Przy sztabie generalnym utworzono wydział mający tworzyć plany mobilizacji i maksymalizacji możliwości przewozowych w porozumieniu z dyrekcjami kolei żelaznych. Liczba mnoga jest tu absolutnie decydująca, ponieważ w Prusach i pozostałych niemieckich krajach zjednoczo-

nych pod berłem Hohenzollernów, podobnie jak na całym świecie, kolei nie budowało państwo, ale prywatni przedsiębiorcy. Trzeba jednak przyznać, że wypracowane w ciągu zaledwie kilku miesięcy plany i schematy sprawdziły się doskonale i poborowa armia (w odróżnieniu od francuskich zawodowców) w sile niemal 500 tys. żołnierzy była sprawnie przerzucana na odległości często grubo przekraczające 1 tys. km.

Wiemy, jak się skończyła ta historia – pod Sedanem wzięto do niewoli 85 tys. francuskich żołnierzy. Francja została upokorzona w niemałym stopniu za sprawą pociągów. A przecież kolejowe wojsko Królestwa Prus nie przedstawiało się wcale imponująco. W całej armii było jedynie pięć połowych oddziałów kolejowych, które składały się z rzemieślników i robotników cywilnych, pracujących pod kierownictwem cywilnych inżynierów lub inżynierów powołanych do służby wojskowej w innych rodzajach broni. Były one jednak zaskakująco skuteczne – w czasie tej krótkiej przecież wojny naprawiły ok. 2 tys. km zniszczonych torów. Podczas wojny z kompletnie nieprzygotowanymi do starcia Francuzami to wystarczyło, publiczno-prywatny model sprawdził się, ale sztab kreślił już kolejne wielkie plany na przyszłość. Gawroński pisze: *Doświadczenie wojny pouczyło, że prowadzenie jej bez fachowych oddziałów kolejowych na przyszłość nie jest do pomyslenia i że praca oddziałów cywilnych nie daje najlepszych wyników. Niezwłocznie też po ukończeniu wojny przystąpiły wojskowe władze niemieckie do formowania regularnych wojsk kolejowych. 19 maja 1871 r. sformowano pierwszy bataljon wojsk kolejowych. Był to oddział z prawdziwego zdarzenia, a służących w nim żołnierzy nazywano pionierami.*

Wiem, jak się skończyła ta historia – pod Sedanem wzięto do niewoli 85 tys. francuskich żołnierzy. Francja została upokorzona w niemałym stopniu za sprawą pociągów. A przecież kolejowe wojsko Królestwa Prus nie przedstawiało się wcale imponująco. W całej armii było jedynie pięć połowych oddziałów kolejowych, które składały się z rzemieślników i robotników cywilnych, pracujących pod kierownictwem cywilnych inżynierów lub inżynierów powołanych do służby wojskowej w innych rodzajach broni. Były one jednak zaskakująco skuteczne – w czasie tej krótkiej przecież wojny naprawiły ok. 2 tys. km zniszczonych torów. Podczas wojny z kompletnie nieprzygotowanymi do starcia Francuzami to wystarczyło, publiczno-prywatny model sprawdził się, ale sztab kreślił już kolejne wielkie plany na przyszłość. Gawroński pisze: *Doświadczenie wojny pouczyło, że prowadzenie jej bez fachowych oddziałów kolejowych na przyszłość nie jest do pomyslenia i że praca oddziałów cywilnych nie daje najlepszych wyników. Niezwłocznie też po ukończeniu wojny przystąpiły wojskowe władze niemieckie do formowania regularnych wojsk kolejowych. 19 maja 1871 r. sformowano pierwszy bataljon wojsk kolejowych. Był to oddział z prawdziwego zdarzenia, a służących w nim żołnierzy nazywano pionierami.*

IMPERIA I INTERESY

Po sukcesie Niemców w wojnie z Francją Rosjanie również zapragnęli utworzyć własne kolejowe bataliony. Tu kłopot był jednak inny. O ile Amerykanie czy Niemcy wykorzystywali istniejące już linie stworzone przez prywatne przedsiębiorstwa, o tyle Rosjanie nie mieli na to szans. Co prawda w imperium istniały prywatne linie, jak choćby Kolej Warszawsko-Wiedeńska czy Warszawsko-Petersburska, zbudowana przez wybitnego polskiego inżyniera Stanisława Kierbedzia, biorąc jednak pod uwagę gigantyczne rozmiary rosyjskiego władztwa, była to dosłownie kropla w morzu potrzeb. Bez państwa i cara ani rusz.

Po raz pierwszy wojsko zaczęło budować kolej podczas wojny z Turcją. Rosyjska sieć kolejowa południowo-zachodnia, zarówno jak i koleje sprzymierzonej z Rosją Rumunii, były wówczas jeszcze bardzo słabo rozwinięte – pisze Gawroński. – Egzystowała jedna tylko linia tranzytowa, łącząca Kijów z Bukaresztem przez stację graniczną Ungeni; na stacji Ungeni, skutkiem zmiany rozpiętości toru kolejowego, konieczne było

przeładowywanie. Trzeba było budować. Rosja rzuciła więc na kolejowy front aż cztery pełne bataliony liczące po ponad 1 tys. żołnierzy. Jednym z najważniejszych projektów tej wojny była Kolej Bendero-Galacka. Budowa tego 13-kilometrowego odcinka w ciągu niespełna roku to przykład robót na większą skalę wykonanych w czasie wojny przez wojska kolejowe. Nie znaczy to jednak, że rosyjskie bataliony kolejowych saperów, składające się, jak pisze Gawroński, w wielkiej części z *niewciągniętych w fizyczną pracę półinteligentów*, wykonały tu całą robotę. Większość przygotowań i budowę konstrukcji ziemnych zlecono bowiem firmom prywatnym.

Trudno stwierdzić, jak wielki wpływ na zwycięstwo Rosji miały wojska kolejowe. Wiemy natomiast, że nie miały okazji sprawdzić się w prawdziwych warunkach bojowych jak ich niemieccy koledzy. Mimo to Rosja wyciągnęła z tego doświadczenia pewne wnioski. Niestety, nie wystarczyły one, by przełamać tradycyjne wady samodzierżawia. Ba, wielkie projekty infrastrukturalne realizowane na zasadach partnerstwa

publiczno-prywatnego wydawały się je jeszcze pogłębiać.

Świetnym przykładem jest słynny rosyjski rozstaw torów. Wokół tej kwestii przez lata narosło wiele mitów, od najbardziej absurdalnych do rzeczywiście dyskusyjnego w najwyższych kręgach problemów wpływu innej szerokości torów na obronność. Prawda była jednak dużo bardziej prozaiczna. Po prostu minister dróg Paweł Pietrowicz Mielnikow, zapatrzony we wczesne systemy amerykańskie, które obserwował na miejscu, zatrudnił inżyniera zza oceanu George'a Washingtona Whistlera. To on przekonał Rosjan do przyjęcia pięciostopowego rozstawu torów, używając argumentów natury ekonomicznej. Dlatego imperium carów, przynajmniej w początkowym okresie, pozostało zamknięte dla europejskich partnerów i niejako uzależnione od myśli inżynierskiej zza oceanu.

Ponadto kulała organizacja kolejowych batalionów, podobnie jak szkolenie żołnierzy i oficerów. Systemowo zaniedbywano np. zajęcia praktyczne. Mimo to skala robót kolejowych prowadzonych przez rosyjskie wojsko podczas

✂ Prywatna linia kolejowa w Niemczech. Fot. Wikimedia Commons



pokoju może imponować. Zwłaszcza budowa kolei środkowo-azjatyckiej – pisze Gawroński. – Jest ona przykładem wielkiej energii, wytrwałości i umiejętności przystosowania pracy do ciężkich warunków klimatycznych kraju [...]. Najtrudniejszym zadaniem technicznym były tam roboty ziemne wśród ruchomych piasków pustyni. Niejednokrotnie dziesiątki kilometrów wykonanych już robót i ułożonego toru bywały zawiane warstwą piasku o kilkumetrowej grubości: wybudowaną już kolej trzeba było w piaskach odnaleźć i odkopać. Tylko dzięki uporczywej pracy przez czas dłuższy i obsadzaniu krzewem, zwanym saksautem, przylegających do linii kolejowej udawała się walka z niszczącym działaniem ruchomych piasków. Z pewnością w żadnej wojnie nie złożyły wojska kolejowe rosyjskie tylu ofiar, ile dały one podczas budowy i w pierwszych latach eksploatacji kolei środkowo-azjatyckiej. Obok tych pięknych przykładów „wytrwałości” na kresach imperium kwitły jednak jego patologie, a zwłaszcza jedna – korupcja. Nawet budowana przez wojsko kolej w Rosji była wprost makabrycznie droga, ponieważ do zawyżania kosztów dochodziło właściwie na każdym szczeblu organizacji.

Podczas następnej wojny – przeciw Chinom – carskie wojsko kolejowe znów się sprawdziło. Było w stanie przejąć i kontrolować znaczną część sieci dróg żelaznych Państwa Środka. Znów jednak trzeba przyznać, że wyzwaniem był wtedy raczej teren niż przeciwnik.

Dużo trudniejszym testem była wojna z Japonią. Jak wiemy, test ten cesarstwo koncertowo oblało, a jedną z głównych przyczyn porażki był zły stan Kolei Transsyberyjskiej. Przekupstwa i nadużycia osiągały niewiarogodnych rozmiarów. Dobre wagony wyrzucano z pociągów pod pretekstem rzekomego uszkodzenia (w tym celu nasypywano

piasku do łożysk), wyrzucono ładunek pozostawiano bez opieki, a z opróżnionych wagonów formowano pociągi do dyspozycji miejscowych kupców, prowadzących handel z Mandżurią – pisał Gawroński. – Parowozy kolejki wąskotorowej, wysyłane na Daleki Wschód, trzeba było pakować do pudeł drewnianych, gdyż inaczej wszystkie brązowe i miedziane części składowe parowozu, wszystko, co można było łatwo zdjąć, ginęło w drodze i za ledwie z kilku parowozów dał się złożyć jeden. Złośliwi twierdzą, że armia rosyjska i jej koleje do wojny były gotowe, dopiero gdy podpisano pokój.

NA TORZE DO WOJNY

W 1905 roku rozstawiono ostatnie figury do partii, którą już niedługo rozegrać pomiędzy sobą miały ententa i trójprzymierze. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że linii kolejowe odegrały w tym konflikcie kluczową rolę. Trzeba je było zmienić z chaotycznej sieci prywatnych przedsiębiorstw w spójną sieć lokalnych i dalekobieżnych. Rozpoczęła się więc unifikacja. Pierwsi w tej kwestii znów byli Amerykanie, którzy jeszcze w roku 1886 postanowili przekuć właściwie wszystkie linie w kraju na rozstaw 1448 mm. Rozmach i prędkość tego przedsięwzięcia zasługują na oddzielną opowieść, tym bardziej że chodziło przecież o gigantyczną sieć prywatnych dróg żelaznych. Rozwiązanie kwestii unifikowanych dworców w miastach (Union Station) potrwało dużo dłużej i wymagało współpracy lokalnych magistratów.

Granice unifikacji w Cesarstwie Niemieckim wyznaczają daty 1873 i 1913. Proces ten G. Wolfgang Heinze i Heinrich H. Kill nazywają policentryczną koncentracją. Paradoksalnie drogę do unifikowanych kolei w Niemczech utoraowały bojące się pruskiej domina-

cji Bawaria i Saksonia, które znacjonalizowały swoje koleje odpowiednio w latach 1875 i 1876. Na przełomie XIX i XX stulecia 59,082 km z 63,794 km dróg żelaznych cesarstwa należało do ośmiu lokalnych administracji. Były to Prusy, Hesja, Saksonia, Bawaria, Wirtembergia, Badenia oraz księstwa Oldenburga i Meklemburgii-Schwerinu. Roczny dochód ze wszystkich wynosił miliard marek rocznie. Cesarz uważał, że jego koleje są dostatecznie przygotowane do nadchodzącego starcia.

We Francji unifikacja nie poszła to gładko. Władze co prawda niemal od początku ingerowały w funkcjonowanie kolei i nie dopuszczały do nadmiernej dywersyfikacji sieci, nie zdołały jednak doprowadzić do pełnej nacjonalizacji. Na sześć wielkich towarzystw kolejowych działających na początku XX wieku tylko jedno znalazło się w rękach publicznych – Chemins de fer de l'État (w 1908 wchłonęło Chemin de fer de l'Ouest).

W Rosji proces unifikacji kolei zakończył się najpóźniej – linie zostały znacjonalizowane właściwie w przededniu Wielkiej Wojny. Wiemy, jak się to skończyło dla imperium.

Choć w XIX wieku w wojskowym myśleniu o pociągach zaszły wielkie zmiany, to swoją prawdziwą siłę kolej pokazała podczas pierwszej wojny światowej. I to więcej niż w jednym aspekcie. Poza technologią rozwinięto bowiem logistykę, co pozwoliło mobilizować i zaopatrywać niewyobrażalnie do tej pory rzesze żołnierzy.

Zbigniew Tucholski, historyk techniki, pracuje w Instytucie Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk

Maciej Krawczyk, redaktor „Mówiący wieki”

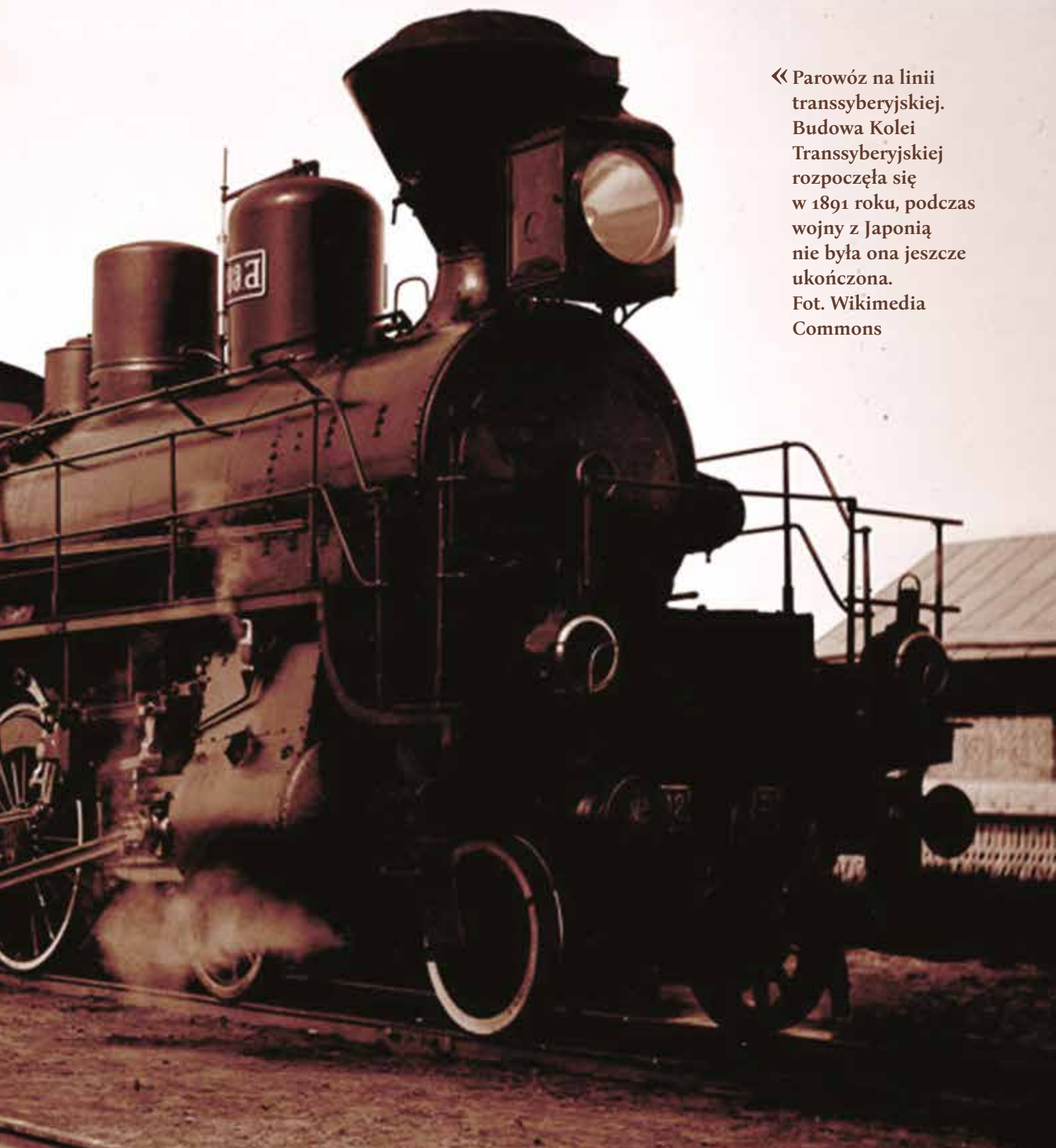
WOJNA ROSYJSKO- -JAPONŃSKA *i Kolej Transsyberyjska*

TOMASZ BOHUN



Po klęsce w wojnie z Japonią okazało się, że imperium carów było kolosem na glinianych nogach. Konflikt dowiódł także tego, że na państwowych inwestycjach nie warto oszczędzać.

« Parowóz na linii transsyberyjskiej. Budowa Kolei Transsyberyjskiej rozpoczęła się w 1891 roku, podczas wojny z Japonią nie była ona jeszcze ukończona. Fot. Wikimedia Commons



✔ Bitwa nad Yalu podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Rosja przegrała tę wojnę m.in. z powodu słabej infrastruktury, która uniemożliwiała szybki transport wojsk. Fot. Wikimedia Commons



Sukces Japonii w wojnie z Rosją z lat 1904–1906 był nie tylko wynikiem zapoczątkowanej pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku tzw. restauracji Meiji (Ery Światłych Rządów), która w ciągu jednego pokolenia pozwoliła na przeobrażenie kraju z feudalnego skansenu w militaryzujące się państwo z szybko rozwijającym się przemysłem. Równie ważne było wykorzystanie przez Japonię głównej słabości Rosji – braku na początku konfliktu zbrojnego zdolności do błyskawicznego przetrzucenia na Daleki Wschód dostatecznych sił wojskowych.

Dzięki zaskoczeniu przeciwnika – błyskawiczne przetransportowanie wojsk do Korei i zablokowanie rosyjskiej floty w Port Artur – Japonia przejęła inicjatywę i mimo ogromnych strat, ale dzięki nieudolności cara i jego dowódców, nie utraciła jej do końca wojny.

ROSJA KONTRA JAPONIA

Potencjały obu państw były nieporównywalne. Rosja, ze 132 mln mieszkańcami oraz 1,1 mln żołnierzy i 2,4 mln rezerwistów – jak ironicznie podsumowywali sami Rosjanie – czapkami mogła nakryć 45 mln Japończyków i ich 300-tys.

armię z 400 tys. rezerwistów. Diabeł jednak tkwi w szczegółach, bo o ile mobilizacja oddziałów japońskich (dzięki dość rozwiniętej sieci kolejowej w Japonii) i ich transport na kontynent (dzięki dobrze zorganizowanej części transportowej japońskiej floty i bierności Rosjan) trwały od dwóch do pięciu dni, o tyle po drugiej stronie miesiące. Wystarczy wspomnieć, że tylko przejazd transportu wojskowego po nieukończonyj jeszcze transsyberyjskiej linii kolejowej, przy ograniczonej przepustowości składów kolejowych i z niezbędnymi postojami jednostek kawaleryjskich, trwał ok. 20 dni.

Przewaga Rosji nad Japonią była więc iluzoryczna, co dostrzegł już w 1895 roku, a więc po zwycięstwie Japonii w wojnie z Chinami, szef rosyjskiego Sztabu Głównego, wybitny strateg i reformator wojskowy gen. Mikołaj Obruczew, który w raporcie dla cara Mikołaja II (władca go nie otrzymał) trzeźwo przeanalizował perspektywę rosyjskiej ekspansji na Daleki Wschód. W tamtym rejonie Rosjanie mieli mało wojska i było ono zbyt słabe, aby obronić długą granicę z Koreą i chińską Mandżurią. Co więcej, nie mieli niezamarzającego portu, infrastruktura handlowa i transportowa była mało rozwinięta, a sam region słabo skolonizowany. Dlatego Obruczew pesymistycznie szacował szanse Rosji w potencjalnym konflikcie ze zmilitaryzowaną Japonią. *Japonia ma wszystko pod ręką*

JAK ZAWOJOWAĆ DALEKI WSCHÓD

Postulaty Obruczewa zignorowano (on sam podał się do dymisji w 1897 roku), bo zdawało się, że Rosji sprzyja koniunktura polityczna. Dzięki zręcznej grze dyplomatycznej udało się jej skłonić pogębionych przez Japonię Chińczyków do udzielenia najpierw koncesji na budowę Kolei Wschodniocchińskiej (KWŻD) z położonej na Zabajkalu Czyty do Harbinu w północnej Mandżurii i dalej do Władywostoku, a następnie południowej jej odnogi, Kolei Południomandżurskiej, do Taliewanu (ros. Dalnyj) i dawnej chińskiej bazy morskiej w Lüshunkou. Dodajmy, że w podobny sposób Rosjanom udało się zmusić Japończyków do wycofania się z zawojowanego na Chinach Półwyspu

tegicznej dominacji na Dalekim Wschodzie. Ostatnim elementem tej układanki miało być zakończenie budowy KWŻD, które zaplanowano na 1905 rok. Plany jednak, jak to w rosyjskiej rzeczywistości, mocno odbiegały od rzeczywistości.

KOLEJĄ PRZEZ SYBERIĘ

Przypomnijmy: rozpoczęta w 1891 roku budowa Kolei Transsyberyjskiej, zaplanowana na dekadę inwestycja państwowa, z pozoru przebiegała bez opóźnień. Wysiłkiem 6 tys. inżynierów i specjalistów oraz ponad 100 tys. robotników do 1904 roku ukończono wszystkie najdłuższe jej odcinki, łącząc Sankt Petersburg i Moskwę z Władywostokiem, Harbinem i Port Artur (1777 km w europejskiej części i 7512 km w azjatyckiej). Uporano się nawet z rozległymi zniszczeniami infrastruktury KWŻD, które poczynili uczestnicy powstania bokserów, rebelii w wschodnich Chinach w latach 1899–1901. Tyle tylko, że z powodu oszczędności na przeważającej długości „transsybirki” ruch odbywał się jednotorowo, a na wielu stacjach brakowało bocznic i infrastruktury technicznej do obsługi ruchu kolejowego.

Główną słabością transsyberyjskiego szlaku kolejowego był jego najkrótszy odcinek – 260-km Kolej Nadbajkalska, z 40 tunelami i 200 konstrukcjami przejazdowymi (mosty, wiadukty itd.), którą ukończono krótko przed zakończeniem wojny rosyjsko-japońskiej. Z pominięciem tego odcinka droga na wschód wiodła przez Bajkał promami „Angara” i promem-lodołamaczem „Bajkał”.

Tak więc uruchomiona zimą z 1903 na 1904 rok komunikacja kolejowa na trasie transsyberyjskiej odbywała się następująco: pociągi pasażerskie na trasie Moskwa–Dalnyj kursowały cztery ra-

O ile mobilizacja oddziałów japońskich i ich transport na kontynent trwały od dwóch do pięciu dni, o tyle po drugiej stronie – miesiące. Przewaga liczebna armii rosyjskiej nad japońską była więc iluzoryczna

ka, dwa kroki od naszych władztw nad Oceanem Spokojnym, my zaś mamy wszystkie środki na drugim końcu świata – pisał. Wobec tego zaproponował rozpoczęcie okupacji północnej Mandżurii i północnej Korei do 40 równoleżnika, co pozwoliłoby na skrócenie rosyjskiej granicy i stworzenie w położonym nad Zatoką Koreańską Sinp'o (ros. Port Szestakowa) niezamarzającej bazy dla Floty Oceanu Spokojnego. Ponadto należało na niedrażnienie Japończyków, przynajmniej do zakończenia rozpoczętej w 1891 roku budowy Kolei Transsyberyjskiej.

Liaotuńskiego i przejęcia na potrzeby rosyjskiej floty Lüshunkou, który przemianowano na Port Artur. Zdevastowany przez Japończyków, wymagał trwającej lata odbudowy. O wiele ważniejsze było jednak jego niedogodne położenie nad ograniczonym nawigacyjnie Morzem Żółtym. W rzeczywistości była to pułapka, o czym Rosjanie boleśnie przekonali się w czasie wojny z Japonią.

Na razie car i jego otoczenie nie zaprzętały sobie tym głowy, oszołomieni łatwym, jak się wydawało, sukcesem: stworzeniem infrastruktury transportowej, która umożliwiłaby im osiągnięcie stra-



Podróż Koleją Transsyberyjską barwnie opisał płk Michaił Gruliew, oficer Sztabu Generalnego, agent rosyjskiego wywiadu w Japonii, dziennikarz, pisarz i uczestnik ekspedycji badawczej wytyczającej szlak KWŻD. Na czele 11. Pskowskiego Pułku Piechoty między 4 czerwca a 7 lipca 1904 roku przemierzył kolejną drogę z Tuły do Mukden. Oto obszerniejsze fragmenty jego relacji:

I popłynęło życie marszowo-wagonowe, ów wytwór naszej cywilizacji, wyglądający nieco paradoksalnie, bo gdzie tutaj „marsz”, jeśli nie idziesz, a wiozą cię – „marsz” bez biwaków, dziennych przemarszów i noclegów, także bez odcisków na nogach, bez błędnego spoczynku, kiedyś zmordowany. A jakąż poezją, obfita w bezkresne wrażenia, towarzyszyła dawnym przemarszom! Nie tak dawno, około 1886 roku, były 8. zachodniosyberyjski batalion liniowy maszerował z Turkestanu, zdaje się, do Błagowieszczeńska: w czasie przemarszu jeden z oficerów zdążył po drodze zakochać się, w biegu ożenić i przybył do Błagowieszczeńska już jako ojciec rodziny. A teraz trzeba zrobić dwa razy dłuższy przemarsz i przeznaczono nań tylko miesiąc; żyjemy w wagonie prozaicznym życiem koszarowym z tą tylko różnicą, że płynie ono wraz z pociągiem. [...]

Wagony do przewozu niższych stopniem przysposabiają teraz z o wiele większą starannością niż wcześniej. Ile babskich opowieści, niepozabawionych fatalizmu i złośliwości, szerzyło się w społeczeństwie odnośnie do zimowych przewozów wojsk w czasie obecnej kampanii. Oczywiście autorzy tych plotek, w najlepszym wypadku, tylko zimą oglądali przez wąską szparę wyposażenie wagonu z niższymi stopniem żołnierzami, i, wsuwając w nią swoje oblodzone nosy, niczego nie zobaczyli poza końcem swojego nosa. [...] Przewóz wojsk latem nie pozostawia miejsca na żadne fantastyczne wymysły. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że choć na każdym wagonie wyraźnie napisano: „40 osób, 8 koni”, jednak w rzeczywistości mieści się w nim mniej niż 40 osób. Ludzie rozmieszczają się na drewnianych narach, zbitych na dwóch poziomach; odległość między nimi pozwala na swobodne siedzenie, czytanie i pracę; słowem, ta odle-

głość nie jest mniejsza niż przy podniesionych ławkach w przedziałach wagonów pasażerskich.

Pomału zaczynają się malować scenki z wagonowego życia. Przykładowo, wagon, w którym umieszczono szweców; siedzą na skrzynkach albo pieńkach i, opierając się o nary, w swoich typowych fartuchach, jak w koszarach, cierpliwie, mrucząc pod nosem motywy z rzewnej pieśni żołnierskiej – „Jak wieczór, moja miła”, szyją dla niższych stopniem opanki [lekkie buty z noskami, dla odpoczynku nóg – aut.], których częściowo nie zdążyli uszyć przed wymarszem. Majstrowali przy czymś i w sąsiednim wagonie, gdzie umościł się krawczyk. Są tam i rymarze.

A pociąg pędzi naprzód. Jesteśmy w drodze już trzeci tydzień. Wjechaliśmy w lesisty teren guberni irkuckiej. Pociąg zatrzymał się na jakimś rozjeździe, zaimprovizowanym z błyskawicznie ułożonych dwustu-trzystu sążni torów i dwóch-trzech wagonów; to „zabudowania dworca pasażerskiego”. Zegarek, według czasu miejscowego, wskazuje południe. Dyżurny składu, porównując to z rozkładem jazdy i widząc, że pociąg przyjechał o czasie, nakazuje sygnałowemu grać „do ataku”, wrzeszcząc, że teraz będą wydawać obiad. Mentalnie ze wszystkich wagonów wybiegają żołnierze z manierkami i kociołkami w rękach i ustawiają się w kolejce na końcu składu, gdzie jest wagon specjalny z żołnierską i oficerską kuchniami polowymi. Dwaj kucharze po obu stronach wagonu wydają obiad, który znika w pół godziny. [...] Podchodzę do jedzących i próbuję z kociołka: dzisiaj na obiad zupa z młodego kartofla z makaronem; śmiem upewnić nudzących gazecianych cierpiętników żołnierskiej niedoli, atakujących, jak to żołnierz marznie i głoduje, że chyba z rzadka spożywają taką zupę w podróży w przedziałach, nawet w drugiej klasie. [...] W wagonach z końmi życie toczy się

według innego reżimu, szczegółowo określonego jeszcze przed rozpoczęciem przemarszu, ale plan to jedno, inna sprawa w czasie przejazdu. Wiedzieliśmy, na przykład, że koni nie można karmić pełną porcją owsa, zmieniając ją otrębami. Co więcej, podczas przejazdów latem korzystaliśmy z możliwości ukoszenia trawy na każdy wagon: dorodna trawa na Syberii rośnie prawie wzdłuż całej trasy kolejowej, dlatego wykorzystując każdy postój, kosiliśmy jej zapasy, a świeża trawa najlepiej sprzyja wyżywieniu koni i w znacznym stopniu zapobiega obrzękom ich nóg, które pojawiają się podczas przewozów. Oczywiście, podczas każdego postoju należy wyprowadzać konie, co robiliśmy, dwie godziny i więcej. Należy jeszcze wspomnieć, że w wagonie, w którym znajdowało się osiem koni i trzech-czterech żołnierzy obsługi, temperatura jest na tyle wysoka, że podczas każdego postoju trzeba było z pompy kolejowej pompować zimną wodę, aby zapobiec przeziębieniu koni. [...] Mukden. 7 lipca, rano, przyjechaliśmy do Mukden z opóźnieniem 20 godzin wobec rozkładu jazdy. Należy stwierdzić, że podczas przejazdu przez Syberię nasz skład kolejowy poruszał się ściśle według „planu przejazdu”, w który zaopatrzone nas na długo przed załadowaniem do wagonów; także na małe stacje nasz skład przyjeżdżał i odjeżdżał według rozkładu. Opóźnienia zaczęły się dopiero na Zabajkalskiej Linii Kolejowej [KWŻD – aut.], i to na pierwszych stacjach, tak że skład przyjeżdżał na stację z sześcioma a nawet z dziesięciogodzinnym opóźnieniem wobec rozkładu. A opóźnienia na Wschodniochińskiej Linii Kolejowej na południe od Harbinu były w pełni zrozumiałe, dlatego że „plany przejazdów” Sztabu Głównego zostały określone tylko do Harbinu; dalszy ruch kolejowy, w rejonie teatru działań wojennych, był regulowany na miejscu, w zależności od wielu warunków miejscowych i sytuacji wojennej.

zy tygodniowo. W południe trzeciego dnia podróży pociąg docierał do Czelabińska, zaś rano ósmego dnia do Irkucka. Po przeprawie przez Bajkał 12. dnia w południe pociąg wjeżdżał na stację w Mandżurii, a pięć dni później do portu Dalnyj. Podróż trwała ponad 16 dni, dwa razy krócej niż statkiem oceanicznym.

OSZCZĘDNOŚĆ NIE POPLACA

Na marginesie – mimo że nakłady na budowę kolejowej arterii komunikacyjnej spinającej europejską i azjatycką część Rosji do 1905 roku pochłonęły astronomiczną sumę 936 mln rubli w złocie (wraz z liniami ukończonymi po wybuchu pierwszej wojny światowej ogólnie nakłady wyniosły ok. 1,5 mld rubli w złocie), co było kwotą dwuipółkrotnie wyższą, niż przewidywano, to wiele wskazuje na to, że państwo, finansując tę inwestycję, i tak oszczę-

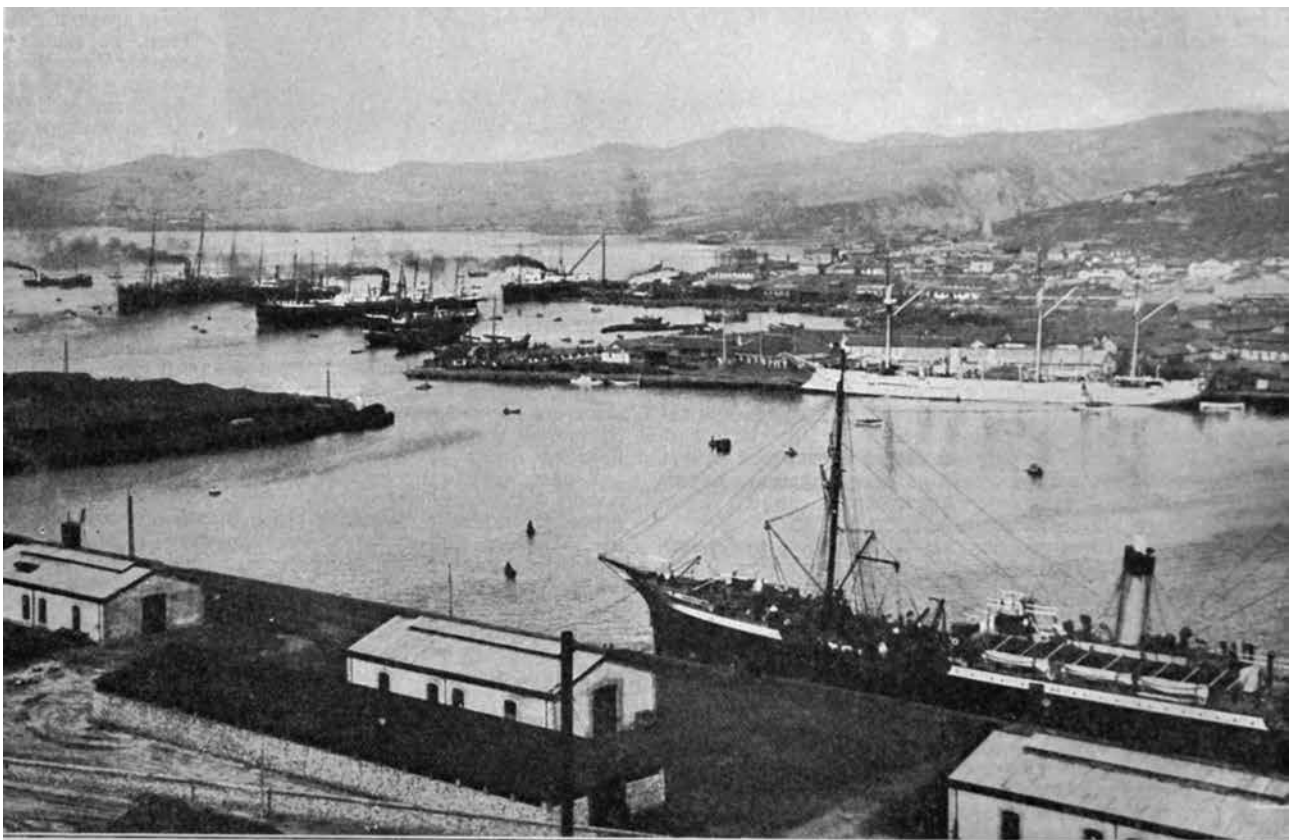
dzało jak mogło. Przykładem choćby to, że do wybuchu wojny z Japonią na przeważającej długości linii kolejowej funkcjonował tylko jeden tor.

Niewątpliwie winę za to ponosi car Mikołaj II oraz jego równie nieudolni krewni i faworyci, zwłaszcza wielki książę Aleksy Aleksandrowicz, dowódca rosyjskiej floty i urzędu morskigo, którzy bezmyślnie forsowali finansowanie marynarki wojennej kosztem wojsk lądowych i oszczędzania na syberyjskich inwestycjach kolejowych, czemu sprzeciwiał się minister finansów i minister kolei Siergiej Witte, faktyczny organizator budowy Kolei Transsyberyjskiej i przeciwnik zdrażniania relacji z Japonią. Owszem, Romanowowie, fundując sobie wystawną, ale nieustandaryzowaną i mało manewrową armadę, uczynili ze swojego władztwa trzecie mocarstwo morskie w Europie, jednak wojna z Japonią do-

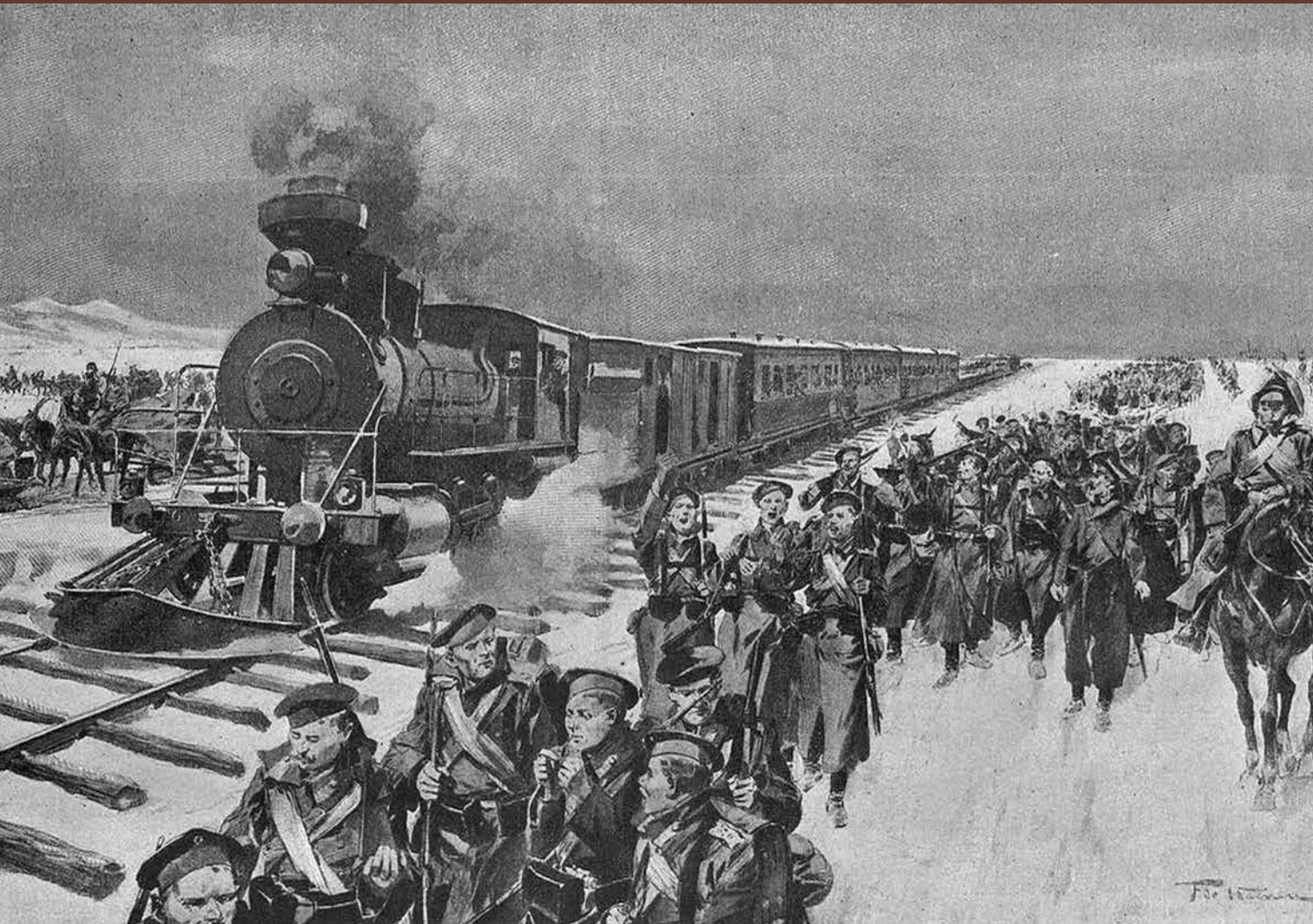
wiodła, że była to zabawka droga i nieskuteczna. W Port Artur i na polach minowych zatonała Flota Oceanu Spokojnego, a podczas pogromu pod Cuszimą Flota Bałtycka.

WOJNA

W nocy z 8 na 9 lutego 1904 roku japońskie torpedowce niespodziewanie zaatakowały rosyjskie okręty stojące na redzie Port Artur. I choć plan zatopienia rosyjskiej floty nie powiódł się – poważnie uszkodzone zostały dwa pancerniki i krążownik – to dzięki działaniom krążowniczym i postawieniu pola minowego port został zablokowany. Z kolei dzięki zajęciu koreańskiego Czemulpo Japończycy mogli bez przeszkód przrzucić swoje wojska na kontynent. Latem 1904 roku w Mandżurii i pod oblężonym Port Artur było już ok. 300 tys. japońskich żołnierzy. Rosja dysponowała wówczas na Dalekim Wscho-



⤴ Port Artur, od 1898 roku główna baza rosyjskiej Floty Oceanu Spokojnego. Fot. Wikimedia Commons



⤴ Transport rosyjskich żołnierzy na granicę z Mandżurią. Wprawdzie podróż Koleją Transsyberyjską na Daleki Wschód trwała niemal dwa razy krócej niż wcześniej statkiem, ale było to zbyt długo, aby na czas wesprzeć rosyjskie wojska podczas wojny z Japonią. Fot. Wikimedia Commons

dzie tylko ok. 150 tys. żołnierzy. Co prawda Rosjanie przy wzrastającej liczebności Japończyków osiągnęli w końcu liczebną przewagę, ale ponieważ posiłki transportowano niezwykle wolno, doszło do tego zbyt późno.

W styczniu 1904 roku Koleją Transsyberyjską mogły kursować tylko po cztery pary składów kolejowych dziennie, zaś kolejami Wschodniochińską i Południowochińską – po trzy dziennie. Dodajmy, że do transportu korpusu armijnego (40–45 tys. żołnierzy wraz z końmi, uzbrojeniem, amunicją i zaopatrzeniem) w rejon zgrupowania i rozwinięcia jego pododdziałów potrzebne były 90–92 składy kolejowe. Przy dość ograniczonej przepustowości na począt-

ku 1904 roku transport trwał zatem ok. dwóch miesięcy. Dopiero pod koniec wojny, latem 1905 roku, przepustowość Kolei Transsyberyjskiej i KWŻD wzrosła do 100 tys. żołnierzy miesięcznie. Stało się tak dzięki zwiększeniu częstotliwości kursów kosztem ograniczenia ruchu pasażerskiego, a w zimie z 1904 na 1905 rok po zastosowaniu dość wydajnej innowacji przy transporcie składów kolejowych przez Bajkał, które przetaczano po podkładach i szynach ułożonych na zamrzniętym jeziorze. Przy sprzyjającej pogodzie można było w ten sposób przetoczyć 220 wagonów dziennie (parowiec-lodołamacz „Bajkał” o wyporności 3470 t mógłby zabrać na pokład tylko 25 załadowanych wagonów).

W czasie wojny rosyjsko-japońskiej Koleją Transsyberyjską przewieziono ponad 1,5 mln żołnierzy, setki tysięcy koni, ponad 1200 jednostek artylerii. Ówczesny francuski badacz tej wojny płk Emilien Louis Victor Cordonnier trafnie ocenił wpływ nieukończenia Kolei Transsyberyjskiej na wynik dalekowschodnich zmaganiań chylącego się ku upadkowi Imperium Rosyjskiego z wyrastającym na regionalne mocarstwo Krajem Kwitnącej Wiśni: *Nigdy kolej nie miała i być może nigdy nie będzie miała tak decydującego znaczenia w wojnie. Japończycy doskonale to wykorzystali.*

Tomasz Bohun, historyk, redaktor „Mówią wieki”